

LEO KESSLER

**BATALION
CZOŁGÓW**

INSTITUTE
WYDAWNICZE

BATALION SZTURMOWY SS

Leo Kessler

BATALION CZOŁGÓW

Przekład Joanna Jankowska

BATALION SZTURMOWY SS WOTAN

Tytuł oryginału PANZER BATALION

WYDANIE PIERWSZE

Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2009

copyright text © Leo Kessler, 1974

Naszym piwem jest krew Naszym mięsem jest stal Nie wiemy, co to lęk Klęska nie jest dla nas.
Lepiej martwym byd Niż czerwonym się stad. Wotan, batalion czołgów SS Na wroga marsz!

Marsz Batalionu Pancernego SS Wotan

NOTA WYDAWCY ANGIELSKIEGO

BATALION CZOŁGÓW jest pierwszą książką z cyklu powieści opartych na wspomnieniach Kuno von Dodenburga, byłego oficera SS. Rękopisy zostały odnalezione przez Leo Kesslera w sklepie ze starociami w szwajcarskim Bernie. Nikt nie był w stanie wyjaśnić, jak się tam znalazły, ale dzięki temu, że Leo Kessler zebrał je w całość, powstała ta książka.

Kuno von Dodenburg dołączył do berlińskiej SS Reitersturm, ochotniczego oddziału kawalerii SS, w 1935

roku, gdy uczęszczał jeszcze do szkoły średniej. Mężczyźni w jego rodzinie byli od zawsze oficerami kawalerii, a jego ojciec, w randze generała, nie miał obiekcji w stosunku do tego, co nazywał

„chwilowym odchyleniem”. Prywatnie zwierzał się swoim towarzyszom z pierwszej wojny światowej, że nie zgłaszał zastrzeżeń, gdy jego chłopak dołączył do „czarnej ferajny” * przyjmował, że na niezbyt długo.

Syn mógł doskonalić jazdę konną w Reitersturm, której patronowała śmietanka towarzyska Berlina. W

szeregach tej jednostki znalazło się kilku członków książęcej rodziny Hohenzol*

lernów, książąt starej monarchii. Ale gdy rok później młody von Dodenburg ukończył szkołę i nadszedł

czas, aby dołączyć do elitarnego 4. Pułku Kawalerii, oddziału jego ojca, okazało się, że nasz bohater nie wykazywał już zainteresowania Wehrmachtem. Pomimo gorących protestów generała osiemnastoletni chłopak wstąpił na ochotnika do Czarnej Gwardii i został skierowany do Leibstandarte Adolf Hitler *

pułku osobistej ochrony Fuhrera.

W przeciwieństwie do młodzieńców równych mu wiekiem, którzy wstąpili do Wehrmachtu, nie został

natychmiast awansowany na chorążego. Musiał najpierw odsłużyć kilka miesięcy jako szeregowy członek SS. (To doświadczenie okazało się bardzo użyteczne, gdy w powojennych pamiętnikach opisywał życie szeregowych żołnierzy Waffen SS.) W końcu został wyznaczony do odbycia przeszkolenia w szkole kadetów SS w Bad Tölz, w Bawarii.

Rok później ukończył ją z wyróżnieniem, po czym skierowano go do sztabu Himmlera, zakładając prawdopodobnie, że członek starej arystokracji pruskiej trochę uszlachetni parweniu* szowskie SS.

Znalazł się zatem pod wpływem „księcia Szwabii”, Brigadeführera SS Gottloba „Chwałmy Boga” Bergera

* energicznego, pozbawionego skrupułów weterana poprzedniej wojny światowej, który był głównym doradcą Himmlera. Berger napisał do swego szefa wiele lat później, w stylu pozbawionym jakiegokolwiek skromności: „Mój Reichsführer powierza mi

i mówi rzeczy, które mogą być znane tylko osobom całkowicie zaufanym”.

(List do Himmlera datowany na 9 marca 1943 roku.)

To właśnie Berger był twórcą Waffen SS, prywatnej armii Himmlera, i to on zainspirował takich młodych ludzi jak von Dodenburg do stworzenia koncepcji żołnierza nowego typu: kombinacji łowcy, kłusownika i atlety. Była to idea, którą ukradł brytyjskiemu ekspertowi wojskowemu, kapitanowi Basilowi Liddellowi Hartowi * żołnierzowi ideologii, który był przygotowany do walki na śmierć i życie za sprawę narodowego socjalizmu.

Według Bergera wiekowi generałowie z Wehr* machtu chcieli prowadzić nową wojnę starymi

sposobami * za pomocą obywatelskiej armii opierającej się na ogromnej rzeszy poborowych. Jednak Berger bardziej wierzył w skuteczność dobrze wyszkolonych i szybko działających formacji militarnych.

Von Dodenburgowi bardzo imponowała generalska koncepcja nowej wojny i, gdy Niemcy najechały na Polskę w 1939 roku, poprosił, aby przeniesiono go ponownie do jego starego pułku, w nadziei, że zastosuje w praktyce idee Bergera.

On i jemu podobni entuzjastycznie nastawieni młodzi oficerowie zaczęli wprowadzać te pomysły w czyn, ale działało się to kosztem ogromnych strat w ludziach. Nasz bohater został ranny w trakcie bitwy nad Bzurą i otrzymał w nagrodę

Krzyż Żelazny Trzeciej Klasy (była to pierwsza z jego sześciu ran i pierwsze z jego licznych odznaczeń, wliczając do nich Krzyż Rycerski z Liśmi Dębu, który otrzymał przed zakończeniem wojny).

Mijały lata. Von Dodenburg walczył w tym czasie we Francji, potem na Bałkanach i w Grecji, ale prawdziwe talenty dowódcze pokazał w 1942 roku w Rosji, kiedy Operacja Barbarossa zaczęła tracić rozpęd. W grudniu tego roku, gdy Armia Czerwona przeprowadziła niespodziewany kontratak nad rzeką Doniec, świeżo promowany major von Dodenburg otrzymał rozkaz od nowego dowódcy pułku *

pułkownika Geiera, czyli Sępa, o którym jeszcze nie raz wspomnimy * aby dotarł do okrążonej 240.

Dywizji Piechoty próbującej przebić się do niemieckich pozycji obronnych, chociaż obciążona była piętnastoma setkami rannych.

Major, na czele Batalionu Szturmowego SS Wotan, wywalczył drogę do znajdującej się w pułapce dywizji, przerwawszy linie obronne korpusu strzelców syberyjskich. Stworzył pancerny kordon ochronny wokół

powoli poruszającej się dywizji piechoty, która składała się głównie z długiego konwoju ambulansów i zaprzęgów konnych wypełnionych rannymi, i zdołał z tym całym taborem dotrzeć do Dooca. Nad jego brzegiem odkrył, że łódź jest na tyle gruba, by mogły po nim przejechać pojazdy dywizyjne, ale zbyt cienki, by unieść jego czołgi PzKpfw IV. Inny dowódca doszedłby do wniosku, że już

dość dokonał, porzuciłby czołgi i przebył rzekę pieszo po lodzie. Ale to nie było w stylu majora von Dodenburga. Oficer pozostawił piechotę, aby sama przebiła się do niemieckich pozycji obronnych, zawrócił swój batalion i walcząc podczas dwudziestokilometrowego marszu, znalazł i zdobył most, po którym mogły przejechać jego czołgi. Nikt nie był specjalnie zdziwiony, gdy Hitler osobiście przedstawił

go do odznaczenia Krzyżem Rycerskim.

Ale von Dodenburg nie był karierowiczem. Nie obawiał się chwycić karabinu w dłoń i, jeśli zaszała taka potrzeba, walczył ramię w ramię z szeregowymi żołnierzami. Na przykład: jesienią 1943 roku, gdy potężny radziecki atak pancerny przewalał się przez niemieckie pozycje, ruszył osobiście za wielkim T*

34, uzbrojony w granatnik przeciwpancerny. W ciągu godziny zniszczył cztery czołgi wroga i zmienił całkowicie sytuację na tym odcinku frontu. Kiedy jego ludzie wychodzili z kryjówek ze wstydem na twarzy, powiedział tylko: „Przypuszczam, że to pozwoli mi starać się o bojową odznakę piechoty”.

Jednak Rosja pozostawiła głębokie blizny na ciele i w psychice von Dodenburga. Wyruszał do tego kraju, przekonany o zwycięstwie idei narodowego socjalizmu. Wracał w grudniu 1943 roku ze strzaskanym ramieniem wiszącym na kilku strzępach mięsa i pozbawiony złudzeń. W trakcie długiej rekonwalescencji w starym szpitalu kawalerii w Heidelbergu zajął się sobą i przyglądał się sytuacji w kraju.

Zaraz po zamachu na Hitlera, w lipcu 1944 roku, stary generał von Dodenburg, który był zamieszany w spisek, zajął się osobiście zniszczeniem notatek syna. Jednak na podstawie skrawków papierów i przypadkowych listów jasno wynikało, że młody major popierał opór wobec Hitlera, przynajmniej w duchu. We fragmencie jednego z listów czytamy: „Niemiecka polityka okupacyjna na wschodzie jest mistrzostwem nieudolności, w ciągu roku dokonaliśmy znaczącego i zadziwiającego wyczynu, zmieniając proniemiecko nastawioną ludność w opokę partyzantów, którzy skryli się w lasach. Wykapaliśmy się w krwi ludzi, którzy witali nas w 1941 roku jako wyzwolicieli z komunistycznego terroru”. W innym liście napisał: „Niemiecka polityka jest jedną bezlitosną brutalnością, wykorzystującą metody stosowane przed wiekami w stosunku do prymitywnych, czarnych niewolników, z których korzystają niedo* uczeni durnie, mieniący się członkami rasy panów”. Istnieje też list do starego towarzysza frontowego, który dobitnie wyraża głębię rozpaczy von Dodenburga: „Duch SS * napisał 2 stycznia 1944 roku. * Ciągłe słyszę o duchu SS! Gówno! On nie istnieje!”.

Wiosną 1944 roku powrócił do swego starego batalionu, który w tym czasie stał się grupą bojową Wotan, w sile brygady, składającą się z napływających strumieniami osiemnastoletnich ochotników

gotowych złożyć daninę krwi Hitlerowi. Ich nowy dowódca został awansowany do stopnia pułkownika Waffen SS.

W trakcie walk w Normandii i Holandii prowadził grupę bojową Wotan do walki z taką brawurą, jakby chciał pokazać, że nie może doczekać się kuli wroga, która przerwie jego młode, zmarnowane życie. Lecz nie było mu przeznaczone zginąć na polu walki. W czasie wielkiej ofensywy niemieckiej na zachodzie, w trakcie bitwy w Ardenach, schwytano go, gdy jego Tygrys został zniszczony z bazooki przez pojedynczego żołnierza, nowojorskiego Żyda, który ledwie dwa tygodnie wcześniej był kucharzem w kantynie na tyłach armii.

Von Dodenburg spędził dwa lata w alianckim obozie jenieckim, „odnajdując siebie”, aby nie popaść w apatię, z którą nie mogli sobie poradzić jego towarzysze. W lecie 1946 roku „odnalazł siebie” i uciekł z więzienia w Dachau, wykazując godną uznania pomysłowość. Dzięki pomocy organizacji ODESSA *

stowarzyszenia pozostających na wolności esesmanów * dotarł do Włoch, gdzie na poważnie zajął się pisarstwem. Ale nikt nie chciał czytać jego lekko fikcyjnych relacji z życia w Batalionie Szturmowym SS

Wotan, szczególnie w jego ojczyźnie, gdzie nazwa SS kojarzyła się z plugawym okresem historii i gdzie żaden z wydawców nie chciał wracać do mrocznych lat 1933* 1945.

Pieniądze, które przesyłali mu byli towarzysze z Waffen SS, przestały napływać. W okresie powojennego wzrostu gospodarczego Niemiec, zwanego cudem, mało kto chciał ryzykować świeżo nabyte bogactwo i pozycję dla znajomo

ści z Kunem von Dodenburgiem * uosobieniem oficera SS. Walczył do końca, pracując w ciągu dnia jako tłumacz w trzeciorzędnej agencji literackiej, a po nocach tworząc stroną po stronie historię dawno zabitych żołnierzy, którzy kiedyś tworzyli Batalion Szturmowy Wotan.

Zaczęło mu szwankować zdrowie. Zaprzyjaźnił się z pulchną, w typie matczynym, maszynistką z agencji tłumaczeo. Przeprowadził się do niej, gdy już została jego kochanką. Pod jej czułą opieką stan jego zdrowia poprawił się, ale tylko na pewien czas.

W 1952 roku trafił do rzymskiego Szpitala Niemieckiego jako umierający. Żydowski strzelec granatnika, obecnie kucharz w barze szybkiej obsługi na Brooklynie, położył kres najwyżej odznaczonemu i najmłodszemu pułkownikowi Waffen SS.

(W grudniu 1944 roku chirurg armii amerykańskiej w trakcie operacji przeoczył spory odłamek pocisku raketowego, który pozostał w ciele von Doden* burga. Zgodnie z twierdzeniem profesora Donellego, włoskiego chirurga, który operował pułkownika osiem lat później, była to bezpośrednia przyczyna śmierci dziarskiego żołnierza.)

Kuno von Dodenburg zmarł 3 czerwca tego samego roku w objęciach włoskiej kochanki. Z wielką trudnością zrozumiała jego ostatnie słowa wyszeptane szorstką, pełną wahania niemczyzną: „Byliśmy wtedy odurzeni wizją wielkiej siły. Chwycała nas jak ogromne szaleństwo, szaleństwo władzy”.

Kuno von Dodenburg zmarł w wieku trzydziestu sześciu lat.

Jego rękopisy zaginęły na dwadzieścia lat, dopóki nie odnaleziono ich w czerwcu 1973 roku, po czym przetłumaczył je Leo Kessler. Pozwoliły nam po raz pierwszy wczuć się w prawdziwego ducha Waffen SS.

Przez lata drugiej wojny światowej ta formacja, gwardia pretorianów Hitlera, stała się biczem Europy, gromadą elitarnych żołnierzy walczących w imię obłąkanej idei, która straciła słusność, i chwały, która zginęła na zawsze.

NOTA TŁUMACZA

Aby uprościć i lepiej zrozumieć system stopni i rang wojskowych, w książce tej używamy nomenklatury Wehrmachtu, a nie Waffen SS, pierwotnej dla Kuno von Dodenburga. Jednak dla tych, którzy chcieliby poznać dokładniej tytuły* w jednostkach Waffen SS, załączamy uproszczone zestawienie. Należy ponadto dodać, że w RSHA i w samym Waffen SS bardzo często używano oddzielnego nazewnictwa dla urzędników RSHA niebiorących udziału w walkach na froncie (rangi organizacyjno* partyjne) oraz odrębnego dla członków Waffen SS z jednostek liniowych (rangi wojskowe).

Waffen SS

Wehrmacht

Polski

odpowiednik

stopnia

Standartenfuhrer

Oberst pułkownik

Obersturmbann*

Oberstleutnant podpułkownik

fuhrer

Sturmbannfuhrer

Major major

Hauptsturmfuhrer

Hauptmann

kapitan

Obersturmführer

Oberleutnant porucznik

Untersturmführer

Leutnant

podporucznik

Sturmscharführer

Stabsfeldwebel chorąży, star

szy sierżant

sztabowy

Hauptscharführer

Oberfeldwebel sierżant

sztabowy

Oberscharführer

Feldwebel

starszy

sierżant

Scharführer

Unterfeldwebel sierżant

Unterscharführer

Unteroffizier

plutonowy

Rottenführer

Gefreiter

kapral

Sturmann

Oberschutze

starszy

szeregowy

SS* Schiitze

Schiitze szeregowy

Warto dodać, że siły Waffen SS składały się z 36 dywizji, w tym z siedmiu pełnowartościowych dywizji pancernych, ale żadna z tych jednostek nie była bardziej zahartowana w walkach, brutalna i bezlitosna niż Batalion Szturmowy SS Wotan.

KSIĘGA PIERWSZA

DROGA DO BITWY

Panowie, zdajecie sobie sprawę z powagi naszego zadania. Jeśli zawiedziemy, zatrzymamy natarcie całego Wehrmachtu Wielkich Niemiec!

Kapitan Geier, dowódca Kompanii Wotan, do swych oficerów * 8 maja 1940 roku.

* Stillgestanden!

Dwie setki par podkutych butów stuknęły o bruk, gdy ich właściciele przyjmowali postawę zasadniczą.

Cały oddział wysiadał z pociągu towarowego, który przywiózł żołnierzy do Eifel, a porucznik Schwarz zdawał raport oficerowi przybyłemu ze sztabu batalionu.

* Oddział poborowych z Sennelager! Wszyscy obecni i wszystko w porządku!

Schwarz zasalutował oficerowi w nienaganny sposób i wpatrywał się w niego z wyczekiwaniem.

Porucznik Kuno von Dodenburg, na którego piersi wyróżniał się czarny medal za odniesione rany oraz wstążka Krzyża Żelaznego, podziękował nonszalancko, z manierą starego wygi wojennego.

* Dziękuję, poruczniku * powiedział do Schwarza, a potem zwrócił się w stronę oddziału. * Kiedy opuścimy stację, zaśpiewamy. A kiedy ja mówię, że śpiewamy, to tak ma być! Chcę, aby miejscowi usłyszeli, że jesteśmy z Waffen SS, a nie łazęgami z armii!

Schulze, kompanijny błazen, szturchnął łokciem sąsiada, wskazując na miejscowych chłopów, którzy patrzyli na całą scenę z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami.

* Te prostytutki wyglądają, jakby ktoś im tłumaczył, żeby nie stali na deszczu. Zakładam się, że w ogóle nie wiedzą, co to jest SS!

* Cicho tam! * krzyknął Schwarz, przygotowując oddział do wymarszu ze stacji.

* Śpiew * raz, dwa, trzy! * zarządził kompanijny zapiewajło, gdy SS przechodziło ulicą. Dwieście pełnych wigoru głosów zaczęło ryczeć pierwszą zwrotkę Horst Wessel Lied. Spasieni, lokalni esamani próbowali wciągnąć tłuste brzuchy i stanąć na baczność, gdy usłyszeli drugą co do ważności pieśń, po hymnie narodowo* socjalistycznych Niemiec, która rozniosła się po wąskiej, brukowanej uliczce. Ale cherlawi wieśniacy, którzy stali na krawężnikach, nie reagowali. Patrzyli tępo na dziarskich gigantów, którzy defilowali obok nich po zniszczonym bruku, jakby byli najeźdźcami z innej planety.

* Popatrz na nich * wyszeptał sąsiad Schul* zego, przerywając na chwilę śpiewanie * jak drżą im wątle kości, oni nie lubią SS. Połowa z nich ma w sobie francuską krew. I dlatego tu jesteśmy. Musimy wykopać Francuzików za Linię Maginota i nauczyć ich, co to znaczy być Niemcem.

Schulze parsknął śmiechem i puścił oko do ładniutkiej czarnulki, która zarumieniła się i odwróciła wzrok.

* Nie * szepnął jurny hamburczyk. * Fuhrer przysłał nas tutaj nie po to, chłopie, abyśmy walczyli. On chce, byśmy wsadzili trochę niemieckiej wołowiny w lokalne dziewczyny. Nie jesteśmy tu, by walczyć, ale...

* Jeszcze raz was usłyszę * przerwał im chropawy głos * i znajdziecie się na mojej czarnej liście, zanim zdążycie podwinąć swoje brudne ogony.

Oddział skręcił za róg, przeszedł obok kościoła katolickiego, którego wieżę wieoczyła cebulasta kopuła, i oczom maszerujących żołnierzy ukazały się ściany z czerwonych cegieł * koszary Adolfa Hitlera, ich nowy dom.

Kuno von Dodenburg ścisnął rękę jeźdźcy paradnego sztyletu, który w trakcie uroczystości zakończenia szkolenia oficerskiego w ośrodku kadrowym SS w Bad Tölz wręczył mu osobiście Heinrich Himmler. Od tego czasu minęły już dwa lata.

* Krok defiladowy! * ryknął, gdy przechodzili pod drewnianym łukiem bramy wejściowej, na którym wypisano motto: „Naszym honorem jest wierność”.

* Krok defiladowy * przedrzeźniał niezrażony Schulze * kapitan ma dzisiaj żonę z głowy.

Jego słowa zagłuszył jednak stuk stalowych okud dwustu par butów, które z chrzęstem waliły w beton placu musztry. Słyszając te dźwięki, von Dodenburg poczuł przyjemne mrowienie w głowie. Wiedział, że zachowuje się jak rekrut na pierwszej paradzie. Po czterech latach służby w SS powinien się przyzwyczaić do efektu kroku defiladowego. Ale nie potrafił * rytmiczny, perfekcyjny stuk wojskowych butów ciągle wywoływał w nim dreszcz emocji, jakby był to symbol nowych Niemiec. Jak marsz od zwycięstwa do zwycięstwa. A ludzie, na których czele miał honor maszerować, byli elitą armii niemieckiej * Czarną Gwardią, która wprawdzie była jeszcze surowa i potrzebowała więcej szkolenia, ale miała stać się elitą elit * Leibstandarte SS Adolf Hitler * gwardią przyboczną Fuhrera.

* Dzień dobry, żołnierze! * zawołał kapitan Geier, gdy tylko von Dodenburg zdał mu raport.

* Dzień dobry, panie kapitanie! * z dwustu gardeł wyrwała się tradycyjna odpowiedź.

Kapitan Geier, nowy dowódca kompanii, był szczupłym, niewysokim oficerem, który nosił w oku monokl, a na nogach miał jasnoszare spodnie wykooczone po wewnętrznej stronie ud cielącą skórą. Te dwie rzeczy wyraźnie wskazywały, skąd pochodził * był oficerem

kawalerii w regularnej armii, lecz przeniósł się do SS, bo to dawało większe możliwości awansu. Miał

zacięte usta, które przypominały cienką kreskę, i lodowato niebieskie oczy. Jednak nie to przyciągało uwagę zgromadzonych żołnierzy, lecz nos kapitana * okazały, wstrętny kawał mięsa, który na twarzy kogoś innego wywołałby salwę śmiechu. Ale śmiać się z kapitana oznaczało ryzykować życiem. Gdy

von Dodenburgowi zagoiła się rana na piersi, którą odniósł poprzedniego roku w czasie kampanii w Polsce, został skierowany do kompanii Geie* ra. Wkrótce przekonał się, że jego zwierzchnik nie nawykł do odgrywania roli idioty.

* Spocznij! * rozkazał kapitan i trzepnął trzcinką jeździecką po cholewce wysokich, wypolerowanych na połysk butów. * Żołnierze, nazywam się Geier (Geier * po niemiecku: sęp.), co * jak mi powiedziano *

bardzo pasuje do mojej aparycji.

Wysunął do przodu olbrzymi nos, jakby chciał potwierdzić te słowa. Nikt się nie roześmiał, żołnierze podświadomie czuli, czym to grozi.

* Obecnie, jak widzicie, jestem w randze kapitana. Ale mój ojciec był generałem i obiecuję wam, że nim ta wojna się skończy, ja też będę generałem Geierem.

Potem wyzywająco skierował trzcinową szpicrutę w stronę milczącego szeregu żołnierzy.

* A wiecie, jak tego dokonam?

Odpowiedział sam na swoje pytanie cienkim, zgrzytliwym głosem pruskiego oficera, który podziwiali wszyscy znani von Doden* burgowi oficerowie Wehrmachtu.

* Zrobię to na waszych plecach, a kiedy umrzecie, na plecach tych, którzy was zastąpią * tak na pewno będzie!

Ziemista twarz Schwarza, stojącego obok von Dodenburga, wykrzywiła się w nieśmiałym uśmiechu, jakby kapitan Geier raczył żartować. Lecz porucznik wiedział, że jego przełożony jest śmiertelnie poważny. We wrześniu poprzedniego roku, w trakcie bitwy nad Bzurą, Geier poprowadził do walki całą kompanię przedwojennej Leibstandarte. Z wielką zręcznością wykonał powierzone mu zadania i stał się pierwszym oficerem w całym Wehrmachcie, który otrzymał Krzyż Żelazny I Klasy. Zdobył go kosztem roztrzaskanego ramienia, które nie mogło obecnie dźwignąć nic więcej poza trzcinką jeździecką, oraz trzech czwartych żołnierzy z całej kompanii. Obecni na placu rekruci mieli właśnie zastąpić tych zabitych, czyli prawie stu dwudziestu ludzi.

* Dołączyliście do najważniejszego pułku w Waffen SS * kontynuował Geier. * A batalion, do którego należycie, jest najlepszy w całym pułku. Zaś moja kompania jest oczywiście najlepsza w tym batalionie.

Czy to rozumiecie?

Jego oczy badawczo przebiegały po szeregach w poszukiwaniu najmniejszych oznak słabości czy nawet wątpliwości, ale chyba ich nie dostrzegł. Stojący przed nim młodzi ludzie byli najlepszym produktem narodowosocjali* stycznych Niemiec, bezgranicznie poświęconymi Führerowi członkami Hitlerjugend, których mózgi prano przez sześć lat w tej organizacji oraz w Służbie Pracy. Teraz mieli dołączyć do formacji noszącej na rękawach szarzielonych mundurów wyszyte białą nicią dwa

sławne słowa: Adolf Hitler.

* Nie mogę podać wam szczegółów, jakie czekają na was na zachodzie * ciągnął Geier. * Jedyne, co mogę wam zdradzić, to że będziecie przygotowywać się do misji przez trzy miesiące. A gdy już ruszymy na zachód, to pokażemy tym dzemogadom i żabogadom, jak pobili rekord olimpijski w uciekaniu do domu. Dlatego chcę, żołnierze 2. Kompanii, abyście pracowali dla mnie jak diabły. Chcę medali!

Uderzył trzcinką w wypiętą pierś.

* Jest tu jeszcze sporo miejsca na blachy, nim nasz Führer w swojej mądrości wyleczy mnie z bólu gardła jakąś wstążką.

Kapitan w przenośni mówił o Krzyżu Rycerskim, który nosiło się na wstążce związanej wokół szyi, żartobliwie zwanym „bólem gardła”. Ale w nazywaniu odznaczeń „blachami” było coś nieprzyjemnie cynicznego.

* Tym razem chcę czegoś bardziej wyrafinowanego. Chcę z kolejnej kampanii wyjść jako dowódca naszego batalionu, rozumiecie?

Pozwolił, aby jego słowa przez chwilę przebijały się do świadomości podwładnych.

* Nie proszę, abyście mnie kochali. Nie proszę, abyście mnie szanowali. Chcę tylko, byście podporządkowali się moim rozkazom z bezdyskusyjnym posłuszeństwem!

Jeszcze raz przebiegł oczami po szeregach żołnierzy.

* I niech Bóg pomoże temu z was, żołnierze, podoficerowie i oficerowie, kto o tym zapomni! * szorstki głos kapitana wzniósł się na najwyższe tony. * Żołnierze, witam was w Batalionie Szturmowym SS

Wotan!

Przenikliwe gwizdki i huk otwieranych drzwi przerwały poranną ciszę.

* Aufstehen! * dyżurny podoficer piał jak zarzynany kogut, jakby był na placu musztry, w kierunku ludzi, którzy byli od niego oddaleni nie o sto, lecz o pięć metrów.

* Łapy z jajek na skarpetki, ale już!

Zaspani żołnierze budzili się momentalnie. Po czterech miesiącach służby w Waffen SS nauczyli się już, że niebezpiecznie jest marudzić. W drzwiach stał podoficer ubrany w dres, z gwizdkiem zawieszonym na szyi oraz rękami opartymi o biodra, i patrzył z ponurym uśmiechem, jak rekruci zeskakiwali z dwupiętrowych łóżek na wypolerowaną podłogę.

* Ausziehen! * zakomenderował, gdy wszyscy stanęli na podłodze.

Szybko ściągnęli staromodne, znoszone koszule nocne i stali nadzy i drżący z powodu zimnego, porannego powietrza, które napływało przez otwarte drzwi.

Podoficer lustrował ich pogardliwym wzrokiem, nie pozwalając im nawet na odrobinę ruchu. W koocu szczeknął:

* LUften!

Żołnierze zdjęli z okien kotary zaciemniające i otworzyli wielkie okna. Lodowate powietrze napłynęło strumieniami. Po chwili wyraźnie dało się słyszeć szczekanie zębami.

* Sierzancie * zameldował Schulze * mój mały bardzo się skurczył i opadł z powodu tej wichury! Czy myśli pan, że mogę zameldować o chorobie?

Twarz podoficera pozostała nieruchoma.

* Możesz, Schulze * powiedział. * Ale ostrzegam cię, że lekarz batalionowy upił się na sztywno ostatniej nocy i teraz na pewno telepie go kac. Jeśli chcesz, żeby w tym stanie przyszył ci go z powrotem...

Wzruszył ramionami i nie skończył zdania.

* No dobrze... pod prysznic!

Truchtem pobiegli do łaźni, która znajdowała się na koocu sali. Gdy wszyscy żołnierze weszli już do środka, podoficer podszedł do drążka i rytualnie podciągnął się trzy razy. Chwilę później odkręcił kran z zimną wodą.

* Pieprzony sadysta * zawołał któryś z młodych ludzi, ale podoficer już ruszył budzić lokatorów kolejnej sali. Zaczął się pierwszy dzieło szkolenia w Batalionie Szturmowym SS Wotan.

* Nazywają mnie Rzeźnik, z powodu zawodu, imienia i skłonności! * tak zaczął się drzed różowy na twarzy starszy sierżant przed frontem kompanii stojącej sztywno na środku placu apelowego.

Jego usta, wielkie jak pułapka na szczury, wypełnione zębami pożółkłymi od taniego tytoniu i setek litrów piwa, jakie przez nie przepłynęły, jeszcze raz wypuściły lawinę słów, których echo odbiło się od ścian budynków stojących dwieście metrów za plecami rekrutów.

* Uwierzcie mi, nic na świecie nie sprawi mi większej przyjemności, niż zrobienie mięsa armatniego z takich mokrych worków jak wy. Łapiecie?

Starszy sierżant Metzger (Metzger * po niemiecku: rzeźnik.), drugi rangą sierżant w 2. Kompanii, patrzył

nienawistnie na nowo przybyłych. Stał przed nimi, jakby sam bóg wojny umieścił go na środku placu apelowego, aby pokazać bladym rekrutom, jak wygląda prawdziwy żołnierz, i lustrował młodych ludzi.

Oglądał jednego po drugim, sprawdzając, czy mają zapięte wszystkie guziki, czy założyli hełmy pod regulaminowym kątem, jak zapięli matowe kłamy przy pasach * jednym słowem robił wszystko, by pokazać im swoją umiejętność „uczynienia z człowieka

świni", jak chwalił się w zadymionej kantine popijającym z nim kumplom podoficerom.

Metzger był rozczarowany, nie znalazł bowiem nic, co wykraczało poza regulamin armii niemieckiej, więc nie miał okazji pokazać słynnego wybuchu swego temperamentu. Z ogromną niechęcią przystąpił do codziennych zajęć.

* W takim razie w porządku, zabieramy się do roboty! Spocznij!

Ich lewe stopy automatycznie wyskoczyły do przodu. Metzger splótł dłonie za plecami i uniósł się na palcach. Takie ruchy widział na filmach poświęconych pierwszej wojnie światowej, takie gesty bardzo mu się podobały i zaczął je dwiczyć, jak tylko pięć lat temu został kapralem. Według niego taka postawa zastraszała przeciętnego szeregowego esesmana i cieszył się, gdy zauważał, że to stawanie na palcach i opadanie na całe stopy wywoływało w żołnierzach odrobinę lęku.

* Myślicie, że jesteście już żołnierzami? * zaczął. * Nie, nie jesteście. Jesteście tylko bandą czyścicieli kominów, dzikusów, maciorami i stadem tępych dupków.

Zakończył obraźliwe przemówienie ulubioną frazą:

* I kupą gówna! Teraz obowiązkiem moim i innych podoficerów jest próba przerobienia tego gówna w coś, co będzie przypominać żołnierzom.

Podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać wszelkie protesty.

* Wiem, że takie usiłowania są kuszeniem losu. Kto wyobraża sobie, że to może się udać, jak nie Rzeźnik?

A ja obiecałem dowódcy, że się tym zajmę.

Moc jego głosu wzrastała od udawanej łagodności do prawdziwej furii.

* I na niebiosa, dupę i dratwę! Niech Bóg i Syn Jego bronią was, mokre wory, jeśli ktokolwiek mnie zawiedzie. Takiemu dupkowi obetnę jaja! Niech Bóg mi pomoże, tak właśnie będzie!

Trasa treningowa Batalionu Szturmowego Wotan miała kilometr długości i była wymysłem namiętnych naśladowców markiza de Sade. Wąski pień zawieszony dziesięć metrów nad ziemią, skok w całkowicie zamulony i porośnięty pokrzywami rów, dwadzieścia metrów czołgania się pod rozwieszoną na

wysokości kolana płataniną drutu kolczastego, ściana z pni wyniesiona na wysokość piętnastu metrów, skok na liny pokryte lepkiem błotem, wiszące na długość ramienia od ściany, forsowanie lodowato zimnego strumienia, w którym dosłownie odbierało oddech, i na koniec pięć szybkich serii strzelania do ruchomego celu.

Rzeźnik stał spokojnie na koocu trasy ze stoperem w rękę i spoglądał na zabłoconych, ciężko dyszących żołnierzy z radosną pogardą.

* Dziesięć minut * rechotał. * Co wy sobie myślicie, że to bieg z przeszkodami w szkole dla dziewcząt?

Nawet te tandety z 1. Kompanii przebyły trasę w dziewięć pięćdziesiąt, a przecież wszyscy wiedzą, że to parowy! Za dużo walicie konia po nocach. Stawiam jeden do pięciu! Założę się, że jeśli jedna z tych ospowatych zdzir z domu za koszarami * tak, wasz stary sierżant widzi wszystko, nie urodziłem się wczoraj * podniosłaby do góry kieckę i pokazała wam, kozojebcy, swoje gacie, dogonilibyście ją w odpowiednim tempie!

* Wiecie, jaki on ma problem, chłopaki? * spytał Schulze sąsiadów. * To jego stara. Ma pieprz między nogami i biedny Rzeźnik nie potrafi jej zaspokoid.

* Mówiliście coś, żołnierzu? * warknął Rzeźnik.

* Tak jest, panie sierżancie * odpowiedział Schulze. * Powiedziałem, że widocznie zbyt lekko trenujemy!

Sierżant prychnął.

* W porządku. Przynajmniej jeden z was, wy zdechłe maciory, wie, o czym mówię! No dobrze, jeszcze raz!

Chwiejnym krokiem, z błyszczącymi dziko oczami i ciężkimi plecakami, których paski

boleśnie wpijały się w ramiona, żołnierze ruszyli w kierunku początku trasy.

Kościsty, jasnowłosy żołnierz z dłómi artysty zawisł na drążku przymocowanym do ściany zrobionej z drewnianych bali. Bezskutecznie próbował uchwycić kolejny drążek, zmęczone mięśnie nie pozwalały mu się podciągnąć. Był wycieoczony tak jak reszta 2. Kompanii. Już czwarty raz pokonywali morderczą trasę.

Chłopak wisiał niczym bezwładny ochłap mięsa, a po pokrytych błotem policzkach spływały mu strumienie łez.

* Ty pijany partaczu, włącz na ścianę! * ryczał Rzeźnik. * A może chcesz, żebym tam włądził i ci pomógł? Na Boga, będziesz żałował, jeśli to zrobię!

* Nie dam rady, panie sierżancie! * wydusił z siebie żołnierz.

Stojący za nim Schulze popchnął go tak mocno, że biedak niemal przeleciał przez szczyt przeszkody.

* Kto ci to kazał zrobid, żołnierzu? * warknął Rzeźnik, a oczy prawie wyszły mu z orbit.

* Ześlizgnęła mi się ręka, panie sierżancie * odparł Schulze. * Tu jest cholernie ślisko.

Nim Metzger zdążył zareagować, podciągnął się szybko i wskoczył na szczyt ściany. Chwilę potem machał

rękami, by uchwycić śliską linę wiszącą po drugiej stronie przeszkody.

Leżeli z twarzami zanurzonymi w zamarzniętej trawie jak umierający. Pomimo zimna ich ciała były złane potem, a plecy mundurów polowych mokre od wilgoci.

* Chciałbym zabrad tego bydlaka na tyły baraków * ktoś sapał * i obciął mu jaja tępym nożem.

* Ty i która armia? * spytał Schulze z lekceważeniem. * Poczekaj jeszcze kilka miesięcy i będziesz tak samo podły jak ten bękart.

* Nikt nie może być tak zły * powiedział chłopak, który poprzednio tkwił na ścianie. Jego dłonie były krwawymi płatami mięsa, z paznokciami pozrywanych w trakcie wspinaczki.

* Nie tak zły jak on, to niemożliwe. Ja nie... Ostry jak brzytwa głos przerwał ich rozmowę.

* Panie starszy sierżancie, co to za masakra?!

* Na rozkaz! * wrzasnął Rzeźnik najwyższym tonem, na jaki było go stad.

Wszyscy leżący odwrócili się jak na komendę, gdy krwawy podoficer gwałtownie zsalutował porucznikowi Schwarzowi i zaczął składać meldunek:

* Druga Kompania, Batalion Szturmowy Wotan w trakcie zajęć z natarcia. Obecnych stu siedemdziesięciu dwóch. Nic szczególnego do zameldowania, panie poruczniku!

Mały oficer o ziemistej cerze spojrzał na wyprężonego podwładnego.

* Nic specjalnego do zameldowania, tak pan powiedział, panie sierżancie?

Wskazał na złanych potem ludzi rozciągniętych na ziemi.

* A jak pan to nazwie?

Rzeźnik próbował coś krzyknąć, ale Schwarz przerwał mu, nim zaczął.

* Jako esesmani jesteście elitą wojska, wie pan o tym, starszy sierżancie. Nie możemy dopuścić, aby wylegiwali się na ziemi, tak jak chłopcy z armii. Obawiam się, że za bardzo ich rozpieszczacie * jesteście dla nich zbyt łagodni. A teraz pobiegnijcie do mojego samochodu i przynieście skrzynkę leżącą za siedzeniem.

Niczym posłuszny rekrut, zadowolony, że może wydostać się z sytuacji, która go przerasta, przysadzisty sierżant pokłusował, aby wypełnić rozkaz oficera, a ten ostatni skracał sobie czas oczekiwania, chodząc pomiędzy wyczerpanymi żołnierzami i ordynując im po kilka pompek do

wykonania na jednej ręce.

Gdy rekruci formowali koło wokół oficera, dyszeli z powodu dodatkowego wysiłku. Dowódca otworzył

drewnianą skrzynkę. Wyjął z niej mały metalowy przedmiot i wyprostował się.

* Brytyjska bomba Millsa, rocznik 1916, zdobyta w Polsce we wrześniu zeszłego roku. To * powiedział, wskazując na metalową szpil

kę * jest zabezpieczenie ogniowe, czyli zawlecзка. Jeśli ją wyciągnę, bomba eksploduje w ciągu czterech sekund.

Powoli i uroczyście wyjął zawleczkę, ale nadal trzymał dłoo na dźwigni, którą uwolniła wyjęta szpilka.

* Jeśli ją rzucę * powiedział * każdy w zasięgu dziesięciu metrów zostanie zabity albo przynajmniej ciężko ranny. Teraz chcę, aby każdy z was zrobił dziesięć kroków do tyłu.

Jak zaczarowani i nielicho przestraszeni żołnierze cofnęli się na wymagany dystans. Schwarz czekał cierpliwie.

* W Bad Tólz mieliśmy taką niewinną grę, byd może głupią, ale pozwalała oddzielić prawdziwych mężczyzn od tchórzy. Polegała mniej więcej na tym: braliśmy granat i umieszczaliśmy go na szczycie hełmu * słowa poparł czynami, a twarze otaczających go ludzi zrobiły się blade, bo wszyscy zgadywali, co będzie dalej. * Wtedy wyjmowało się zawleczkę.

Dźwignia zapalnika wyskoczyła w powietrze, Schwarz zdawał się nie zwracać na to uwagi, ale jego głos stał się o wiele mocniejszy.

* Pozostawały tylko trzy sekundy. Trik polegał na tym, by głowę trzymać idealnie prosto. Jeśli zadrżała, można było ją stracić...

Eksplozja zagłuszyła resztę wypowiedzi. Groźne czerwono* żółte płomienie wystrzeliły ze szczytu jego hełmu. Rozgrzane do białości odłamki metalu z furkotem przecinały powie

trze we wszystkich kierunkach. Cała kompania dla bezpieczeństwa padła na ziemię.

Schwarz, stojący sztywno na baczność, spojrzał pogardliwie w dół, na chorobliwie blade twarze leżących chłopaków.

* Miękkie fiuty * zarechotał. * Przestraszyli się byle ogni sztucznych, połowa z was wygląda, jakby nawaliła w gacie!

Dał im kilka sekund, by się pozbierali. Nerwowym ruchem strącił resztki granatu z podrapanego szczytu hełmu i zwrócił się do Rzeźnika, na którego policzki powoli powracały barwy życia.

* Panie sierżancie * powiedział, jakby prowadził spokojny interes * proszę wydać pierwszym dwudziestu ludziom granaty i rozstawić ich co dwadzieścia metrów.

Rzeźnik, który odzyskał świadomość, odetchnął z ulgą, że porucznik nie wymaga od niego, by uczestniczył w wariackim przedstawieniu, i z ochotą zaczął poganiać ludzi z pierwszych szeregów.

* Nie słyszeliście, co powiedział pan oficer? Co się z wami dzieje?! Najedliście się fasoli czy co?

Wyciągnijcie ołów z tyłków! Ty, ty i ty, bierzcie te granaty! No już!

Pierwszy wojak ruszył się niechętnie i wyjął ze skrzynki śmiertelnie małe jajko. Ale los zrządził, że nie musieli wykonywać tego dwiczenia. Całą zabawę przerwał kulturalny głos pierwszego porucznika, Kuna von Dodenburga.

* Panie poruczniku Schwarze * powiedział miękko. * Czy moglibyśmy zamienić parę słów?

Schulze wydał z siebie dobrze słyszalne westchnienie ulgi.

* Schwarze * szepnął von Dodenburg, próbując opanować wściekłość * celem szkolenia nie jest pozabijanie twoich ludzi, tylko takie przygotowanie ich do walki, aby nie dali się pozabijać!

* Co ma pan na myśli? * spytał naburmuszony oficer.

* Mam na myśli, kolego * von Dodenburg mówił spokojnie, używając żargonowego określenia, aby nie tworzyć sztucznej bariery między nim a ledwie o rok młodszym oficerem, który do tego bardzo krótko był członkiem Leibstandarte * że ta zabawa z granatem jest głupia i może przysporzyć sporo nieszczęść.

* Nie da się zjeść omletu, nie tłukąc jajek * upierał się Schwarze. * Nawet w czasie szkolenia bywają ofiary. Słabi, tchórze i nieudacznicy muszą być wyselekcjonowani, aby odważni mogli przeżyć na polu walki.

* Nie ma odważnych na polu walki * powiedział porucznik, wiedząc, że jego głos przypomina pouczenia ojca. * Są tylko głupcy i wyszkoleni żołnierze.

* To jak dostał pan te kawałki blach, które nosi pan na mundurze? * spytał młodszy porucznik, wskazując na czarną odznakę za odniesione rany.

Von Dodenburg roześmiał się.

* Za trzymanie gęby na kłódkę, gdy dowódca mojej kompanii kozaczył w czasie kampanii w Polsce i trzeba było mu pomagać wydostać się z gówna, w które sam się władował.

* Muszę przypomnieć, chociaż sprawuje pan wyższą funkcję * Schwarze stał się nagle chłodnym formalistą * że są pewne rzeczy, które wiążą się z honorem, i jako oficer Waffen SS i członek NSDAP

muszę o nich zameldować * potem trochę zniżył głos. * Może warto, aby pan, poruczniku von

Dodenburg, pamiętał, kim jest mój wuj.

Twarz von Dodenburga pokryła się zmarszczkami, gdy z niedowierzaniem patrzył na Schwarza. Kiedy zaczął mówić, każde słowo brzmiało jak uderzenie sopła lodu w serce. Z upoważnienia, jakie dawał mu dorobek dziesięciu pokoleo oficerów pruskiej kawalerii, zaczął powoli sylabizować:

* Schwarz, ty jesteś karłem ogrodowym, paskudnym małym krasnałem. A w dodatku kompletnym dupkiem! Wiem doskonale, kim jest twój wuj. A kim ty jesteś? Stao, do cholery, na baczność, kiedy do ciebie mówię!

Schwarz napiął się niczym rekrut i stanął w pozycji zasadniczej.

* Jestem karłem ogrodowym, paskudnym małym krasnałem...

Jego głos jakby zamierał.

* Głośniej! * ryknął von Dodenburg, przybliżając twarz do twarzy przestraszonego rozmówcy.

* A w dodatku kompletnym dupkiem * wyszeptał żałośnie Schwarz.

* Jakaż to prawda! Teraz zabierz ludzi na kwatery i powiedz temu idiocie sierżantowi, aby zameldował

się u mnie w ciągu pół godziny, niech spokojnie opatrzą skaleczenia i siniaki, a potem trzeba ich porządnie nakarmić. Ty jesteś za to odpowiedzialny, Schwarz! Rozumiesz?

* Tak jest!

* No to nie stój tutaj! Bierz się do roboty! Schwarz ruszył z kopyta, jakby chciał pobić

rekord w biegach przełajowych.

Pomimo niechęci, jaką von Dodenburg odczuwał w stosunku do metod szkoleniowych Schwarza, które w dodatku były sprzeczne z koncepcjami Brigadeführera Bergera, prawdziwego twórcy Waffen SS, młody porucznik wiedział, że w trakcie dwiczeo muszą pojawić się elementy ryzyka. Przecież widział, jak w Polsce pojedynczy czołg był w stanie wywołać panikę nawet w szeregach ich dobrze wyszkolonej kompanii piechoty. Żołnierze uciekali z okopów przed pancernym pojazdem jak zajęce, porzucali bezładnie broń i nic nie było w stanie ich zatrzymać.

Chociaż Sęp nadal nie oznajmił oficerom miejsca kolejnej kampanii * „mój drogi von Dodenburg, musimy wyszkolić tę gromadę nowicjuszy stosunkowo szybko”, była to jedyna odpowiedź na pytanie dręczące wszystkich podwładnych * następnym celem musiała być Anglia albo Francja. A obydwa te kraje miały czołgi, i to dużo. Dlatego porucznik zdecydował, choć było to bardzo niebezpieczne, że musi wyszkolić ludzi z 2. Kompanii tak, aby mogli przeciwstawić się natarciu czołgów.

Był wyjątkowo piękny poranek, promienie słońca tańczyły na pokrytych śniegiem dachach, a ptaki radośnie śpiewały, gdy kompania maszerowała z miasta na poligon znajdujący się na wzgórzach. Czekał

już tam na nich wiekowy czołg Mark 1, jego załoga w czarnych mundurach przestępowała z nogi na nogę, chcąc się trochę rozgrzać.

Von Dodenburg zatrzymał kolumnę i ruszył w stronę dowódcy czołgu, sierżanta Panzerwaf* fe, który krótko się zameldował i nerwowo spoglądał spod czarnego beretu to na jasną twarz oficera, to na rozmawiających z tyłu żołnierzy.

* Czołg Mark 1, załoga: trzech ludzi, wszyscy obecni!

* Dziękuję, sierżancie * porucznik grzecznie odsalutował i z udaną obojętnością spytał:

* Wszystko w porządku i wszystko gotowe?

* Tak jest, panie poruczniku.

Von Dodenburg długim krokiem powrócił do swoich ludzi.

* Przed wami stoi czołg Mark 1, jakieś sześć i pół tony stali. Paskudnie wygląda, taka jest prawda i musicie się z nią zgodzić. Szczególnie, kiedy jesteście piechurami i nie macie przeciw niemu żadnej broni.

Uznajmy, że jest to jeden z angielskich Valentinów lub nowy francuski Chars i teraz jedzie na was. Co byście zrobili?

Nikt nie miał ochoty na odpowiedź, wreszcie Schulze podniósł rękę jak wyrośnięty uczeń.

* Tak, Schulze?

* Uciekałbym jak diabli * powiedział z bezczelną słodyczą.

Von Dodenburg uśmiechnął się.

* Bóg troszczy się o głupców, jak mawiali antyczni Grecy, ale powiedzmy, że nie chcesz uciekać. Zamiast tego wolisz walczyć jak bohater albo może zostałeś ranny i nie możesz uciekać, bo masz zranioną nogę?

* powiedział, zwracając się do Schulzego.

* Można wykopać dużą lisią norę * zasugerował żołnierz.

* Dokładnie * powiedział oficer i odciągnął mankiet eleganckich szarych rękawiczek, by spojrzeć na zegarek noszony na nadgarstku. * Macie na to piętnaście minut!

Kompania tylko jęknęła. Spodziewali się tego rozkazu. Przez ostatnich kilka miesięcy dobrze poznali zasady starych zabaw wojennych.

* Czy ktoś z was studiował muzykę? Tak? Dobrze, bo jest kilka fortepianów do przeniesienia. A może jest tutaj hydraulik? To może iść wyczyścić kible w kwaterach oficerskich.

Narzekając żartobliwie, wyciągnęli sprzęt do kopania okopów i zaczęli ryd w twardej jak skała ziemi. Von Dodenburg obserwował ich przez chwilę, po czym wyciągnął własną saperkę i zaczął kopad dołek strzelecki. W tym czasie załoga czołgu dopalała nerwowo papierosy.

Porucznik dał swoim ludziom jeszcze pięć minut.

* Teraz wyjmiecie ołów z tych leniwych tyłków! * zawołał. * Może zainteresuje was wiadomość, że za dziesięć minut czołg przetoczy się ponad waszymi norami. Jeśli jesteście tchórzami, tak jak ja, to będziecie kopad jak szaleni!

Pochylił się ponownie w norze, aby nie widzieć konsternacji i strachu w ich oczach. Nagle nad poligonem zapadła głucha cisza przerywana tylko chrapliwymi oddechami rekrutów, którzy z szaleoczą rozpaczą wbijali saperki w ziemię.

Kuno przykucnął w wykonanym przez siebie wykopie. Ponad krawędź dołka wystawał mu tylko czubek hełmu. Uniósł się i krzyknął: * Już czas! Wszyscy chowad się! Sierzancie, odpalajcie sanki!

Ale z okolicznych wykopów nie doszedł do niego żaden śmiech.

Dowódca czołgistów odrzucił niedopałek papierosa. W ciemnej głębi pojazdu kierowca nacisnął guzik startera i studwudziestokonny silnik zacharczał i zbudził się do życia. Sierżant kopnął lekko lewe ramię kierowcy, a ten ostatni pchnął do przodu lewy drążek kierunkowy. Z metalicznym chrzęstem czołg drgnął, szarpnął do przodu i zaczął się toczyć po nierównym terenie w stronę linii wykopów, które wyglądały jak kopce ogromnych kretów.

Porucznik uzgodnił, że czołg najpierw przejedzie przez jego dołek. Rozległ się ryk, a potem stalowy kolos przesłonił światło. Porucznik, blady jak inni żołnierze, przytulił się do dna wykopu. Do płuc zaczęły docierać spaliny silnika, a bębniaki niemal pękały od ogłuszającego dudnienia. Instynktownie zamknął

oczy jak małe dziecko i próbował wyrzucić strach z mózgu. Gorące spaliny zaczęły parzyć go w kark, po czym wszystko minęło. Ostrożnie wystawił głowę ponad wykop, a jego ciało przebiegło dreszcz ulgi. Za gąsienicami, które wyrzucały w górę ziemię i kamienie, zaczęły ukazywać się kolejne głowy.

Wreszcie czołg się zatrzymał. Siedzący w wieżyczce sierżant odwrócił się i otarł pot z czoła. Von Dodenburg widział, jak lustruje niespokojnym wzrokiem poszczególne dziury w ziemi, i dostrzegał

uczucie ulgi na jego twarzy, gdy ukazywały się kolejne głowy. Ale z trzech wykopów nie wychyliły się hełmy. Porucznik przypomniał sobie nagle o obiekcjach, jakie zgłaszał dwa dni temu do systemu szkolenia Schwarza, i zaczął gramolić się z dołka. Nim doszedł do pierwszego pustego wykopu,

wyrósł

przed nim Schulze z twarzą czarną od błota i zameldował w starym stylu Reichswery:

* Pragnę zameldować, panie poruczniku, trzy ofiary!

Von Dodenburg stanął jak wryty. Schulze roześmiał się bezczelnie i tylko białe zęby błyszczały mu na czarnej twarzy.

* Dwóch zasłało, a jeden zesrał się ze strachu!

* Dziękuję, Schulze!

* Jeszcze tylko jedna rzecz, poruczniku * dodał Schulze.

* Tak?

* Co się stanie, gdy czołg zacznie obracać się na gąsienicach, jak znajdzie się na szczycie wykopu? Czy myśli pan, że Angole nie są na tyle sprytni, aby wiedzieć, że w ten sposób mogą zmiażdżyć krawędzie wykopu i go zawalić?

* Schulze * powiedział wolno oficer. * Jesteś, do cholery, zbyt sprytny, abyś mógł swobodnie biegać.

* To samo mówiła zawsze moja mama, panie poruczniku * odparł szeregowiec, jakby nie dostrzegał w słowach dowódcy zawoalowanej wanej groźby.

Tego samego wieczoru Kuno von Dodenburg wezwał dużego hamburczyka do swej kwatery. Schulze był od niego wyższy o pół głowy. Przepchnął się przez wąskie drzwi i strzelił obcasami, stając na baczność.

Porucznik pozwolił mu chwilę postać w tej pozycji, udając, że jest zajęty patrzeniem w lustro. Kiedy spojrzał w stronę szeregowca, zauważył kąciakiem oczu, że ten uśmiecha się za jego plecami.

* Dlaczego szczerzysz zęby jak małpa do patyka? * objechał go obcesowo.

* Już się z taką mordką urodziłem, panie poruczniku * odparł Schulze. * Niektórzy rodzą się z takimi facjatami, że tylko matki ich kochają. Inni mają takie twarze, że przypominają goły tyłek * niech pan mi wybaczy, nie wiem, czy mówię dobrze po niemiecku. A są jeszcze goście z radosnymi twarzami i ja do nich należę.

* Radosna twarz * skomentował von Dodenburg * to chyba bezczelność w mojej obecności.

* Na rozkaz, panie poruczniku * zameldował bardzo formalnie szeregowiec, a uśmiešek momentalnie zniknął z jego warg, jakby wytarty niewidzialną ręką.

* Bezczelna świnia * powiedział porucznik bez cienia gniewu. * W porządku, Schulze, spocznij i

rozluźnij się.

* Rozluźnid? Po wojskowemu czy po cywilnemu? * spytał żołnierz.

* A co za różnica?

* O tym mógłbym napisad książkę.

* Rozumiem... cywilnie?

Ramiona wojaka natychmiast opadły. Linia podbródka złagodniała, gdy szybko chwycił guzik, aby rozluźnid ucisk kołnierza.

* Ale chyba nie będziesz się cały rozbierał? * spytał sarkastycznie oficer.

* Mógłbym, panie poruczniku, ale mama mówiła, żebym nigdy tego nie robił przy obcych.

Von Dodenburg zignorował ostatnią uwagę.

* Powiedz mi, Schulze, po jakiego diabła wstąpiłeś do Batalionu Szturmowego Wotan? Tak czy inaczej *

tłumaczył delikatnie * ty tutaj nie pasujesz.

Schulze nie czuł się obrażony.

* No tak, panie poruczniku * zaczął powoli. * Kiedy powiększona Rzesza Niemiecka zdała sobie sprawę z groźby, jaką niosą podstępni Polacy, a nasz Fuhrer w swej dalekowzroczej mądrości najechał ich kraj, aby zapobiec niebezpieczeństwu, zdecydowałem, że też muszę bronid ojczyzny * oblizwał wielkie, spieczzone wargi.

Von Dodenburg spojrział na zwalistego hamburczyka, zdając sobie sprawę, że ten go nabiera, ale jest zbyt sprytny, by dad się na tym otwarciu złapad.

* No, dalej * zachęcał oficer * opowiadaj, jak spełniałeś patriotyczny obowiązek wobec wodza i ojczyzny.

* Tak bym tego nie nazwał * zaoponował Schulze z kpiącą powagą. * W całą sprawę była zamieszana jedna dziewczucha. Była członkinią organizacji Uroda i Wiara.

(Glaube und Schönheit * narodowosocjalistyczna organizacja kobiet, do której wstępowały członkinie Stowarzyszenia Hitlerowskich Dziewcząt po ukooczeniu 18. roku życia.)

Ale w rzeczy samej, nie była ani piękna, ani wierna.

Wielkimi łapskami zakreślił w powietrzu jej kształty.

* Zbudowana była jak ceglany kibel, panie poruczniku, jeśli jeszcze raz wybaczy mi pan moją niemczyznę.

Z taką babą nie mógłbym dołączyć do artylerii nabrzeżnej ani służb zaopatrzenia. Nie chciała otworzyć perłowych wrót dla nikogo, kto służył w jednostkach tyłowych. Nie, panie poruczniku, to musiało być albo SS, albo nic. Wiedziałem, że inaczej nie mam szans, choć miałem już zarezerwowaną pracę w dokach. A poza tym zawsze grało mi coś w płucach.

Zakaszła głucho i postukała się w pierś.

* Moja biedna matka była ciekawa, jakim cudem przetrwałem te wszystkie chłody, gdy jeszcze byłem dzieckiem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł uwierzyć, że spełnię wysokie standardy naboru do SS.

* Oczywiście * zgodził się porucznik.

* Tylko ta świnia lekarz tego nie wiedział. Policzył mi zęby, jakbym był starą jędzą, powąchał mnie pod pachami, aby sprawdzić, czy nie jestem Żydem, chwycił za ptaszka, zmusił do kaszlu, jakby chciał nim przeczyścić mi gardło, a przecież on służy do czego innego. Napisał, że się nadaje, i tak znalazłem się w SS. Ja, syn Czerwonego Schulzego z Barmbek, (Słynne robotnicze przedmieście Hamburga, nastawione prokomunistycznie, nim Hitler doszedł do władzy w 1935 roku.) który

przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że służę Adolfowi, przepraszam, panie poruczniku, Führerowi Adolfowi Hitlerowi. Tak więc jestem tutaj jako najniższa forma życia w Batalionie Szturmowym Wotan.

* A co z dziewczyną?

* Ona?! Wszystko okazało się trochę inne, niż myślałem. Na pierwszej przepustce przyjechałem do domu ubrany jak szczer na otwarcie kanału, w galowy mundur, ze wszystkimi sportowymi medalami i małpią huśtawką.

(Popularne w armii niemieckiej określenie ozdobnego sznura mundurowego, akselbantu.)

Zabrałem ją do Cafe Vaterland na tańce i picie. Wiedziałem, że jeśli trochę się potaoczy tango z kolanem między jej kolanami, to już w połowie leży na plecach. Ale gdy znaleźliśmy się w jej domu i chciałem się do niej dobrać, zaczęła płakać i protestować, zrobiło się zamieszanie, a w powietrzu tylko latało pierze i nic z tych rzeczy nie wyszło.

* Ale dlaczego?

* Bo nie lubiła mężczyzn, tak się po prostu złożyło. Wolała kawałek gumowej rurki. Wyobraża pan to sobie, panie poruczniku? Baba wolała to niż kawał porządnego, sztywnego mięsa! Wydaje mi się, że ten gumowy penis to też ersatz, ona chyba była lesbą!

* Bez wątpienia * powiedział von Doden* burg i nagle wybuchnął śmiechem.

Szulze patrzył bez podejrzliwości na jego uśmiech, jakby studiował rzadką formę życia. W koocu spytał z niezwykłą uprzejmością:

* Chciałbym zwrócić panu porucznikowi uwagę, że wezwał mnie pan z jakiegoś szczególnego powodu *

pełen respektu ton zniknął i pojawił się nadmorski akcent, którego większość południowców z 2.

Kompanii mogłaby nie zrozumieć. * Poza tym ten bawarski głupek, który zesrał się rankiem, ma za dziesięć minut postawić kolejkę piwa w kantine dla szeregowców.

Von Dodenburg pokręcił głową z szyderczą desperacją.

* W porządku, potrzebuję ordynansa... No, takiego kierowcy, gooca i tak dalej. Pomyślałem o tobie.

Oczy Schulzego rozbłysły.

* Ordynansa, panie poruczniku? * nawet nie próbował ukryć entuzjazmu. * Mój stary był ordynansem na poprzedniej wojnie i dorobił się jedynie francy w Brukseli.

* Nie mam na myśli mojego prywatnego ordynansa. Kapitan Geier nie wierzy w takie obowiązki.

Będziesz spełniał normalnie swoją służbę w trakcie szkolenia, dopiero gdy wejdziemy do służby liniowej, stałbyś się moim ordynansem. Co na to powiesz?

* Brzmi to całkiem dobrze, panie poruczniku. Tylko jedna rzecz: może mógłbym wpadać codziennie rano do pana kwatery, żeby spraw

dzić, czy wszystko w porządku? Wtedy będę gotów przyjąć pana propozycję.

* Chcesz się wymigać od porannych zajęć karnych?

* Nie, panie poruczniku! Gdy tylko przybyłem, miałem codzienne lekcje w wychodku. A wcześniej rano te odgłosy w studni grzmotów wywracały mi flaki do góry nogami.

* No dobrze, Schulze, twoje na wierzchu. Nie jesteś wcale taki tępy, na jakiego wyglądasz!

CZTERY

Starszy sierżant Metzger doszedł do podobnego wniosku, chociaż zabrało mu to więcej czasu niż porucznikowi von Dodenburgowi. Ale Metzgerowi wszystko przychodziło wolniej. Jak zwykli mówid jego koledzy podoficerowie z kantyny: „Sierżant Metzger nie cały czas słucha, co mówi jego dupa”. Mimo wszystko był na tyle sprytny, aby zdobył najbardziej upragnioną wśród podoficerów pozycję w kompanii.

Na tyle, na ile Rzeźnik znał się na ludziach, Schulze był znakomitym żołnierzem. Jednak brakowało mu

„zwierzęcej powagi”, której starszy sierżant oczekiwał od swoich podwładnych. Schulze salutował jak pruski grenadier, lecz w jego oczach zawsze czaiła się kpina. Krok defiladowy miał najlepszy w całym batalionie, ale jak tylko była chwila relaksu, stawał się rozlazły jak amerykański kowboj. I chociaż Schulze był zawsze grzeczny, Rzeźnik był głęboko przekonany, że były doker cały czas się z niego nabija. Jak powiedział swoim kumplom z podoficerskiej knajpy:

* Mówcie, co chcecie, meine Herren, ale to latające gówno żeglarza robi sobie ze mnie jaja!

W notatniku, który czasami zastępował mu mózg, starszy sierżant Metzger przy nazwisku „Schulze, Richard” postawił czarny krzyżyk i obiecał sobie mied oko na tego cwaniaczka. A była to obietnica, która nie wróżyła dobrze Richardowi Schulzemu.

Było zimne, szare popołudnie. W powietrzu unosiły się płatki śniegu, a chmury nad strzelnicą miały kolor ołowiu. Schulze nie pozwalał jednak, aby pogoda wpływała na niego tak samo jak ból w podbrzuszu.

Narobił zbyt dużo świstów poprzedniego wieczoru w domu rozrywek znajdującym się zaraz za koszarami.

„Człowieku, wjechałeś we mnie jak Bliicher ze swoją kawalerią! * skarżyła się skonana panienka. *

Mógłbyś przynajmniej zdjąć te brudne buciory”.

„Nic z tego, moja mała * ripostował. * Gdybym to zrobił, mógłbym nie chcieć stąd wyjść”.

Jeszcze raz sprawdził celownik mauzera wzór 08. Tego popołudnia już trzeci raz opadł. Nacisnął spust karabinu i poczuł, jak kolba kopie go w ramię. Ponad kolbą pojawiła się szachownica.

Porucznik Schwarz, który dowodził szkoleniem ogniowym, chrząknął z aprobatą.

* Znowu dwunastka, Schulze * powiedział.

* Gdzie, do diabła, nauczyłeś się tak strzelać!

* Mam wrodzony talent, panie poruczniku

* powiedział szeregowiec, nawet nie odwracając głowy.

Wiedział, że może sobie pozwolić na taki delikatny afront, bo grupa podoficerów i innych strzelców otaczała półkolem jego stanowisko. Ponownie przytulił kolbę do ramienia, jakby była częścią jego ciała.

Zamknął lewe oko i ostrożnie wycelował. Widzowie wokół niego wstrzymali oddech, jednocząc się z nim psychicznie.

* Znowu dwunastka! * zawołał Schwarz.

* Jak on, do czarta, to robi?!

Ale nie próbował sam odpowiedzieć na swoje pytanie.

* Słuchaj, Schulze * powiedział z entuzjazmem * biegnij kłusem do sierżanta z magazynu broni i na moją odpowiedzialność weź jeszcze dziesięć pocisków! Starszy sierżant Metzger jest rekordzistą batalionu w strzelaniu, ale mamy zamiar go pokonać!

* Czy ktoś wspomniał moje nazwisko, panie poruczniku?

Właśnie pojawił się Rzeźnik. Przywiózł „gulasz artyleryjski”, czyli grochówkę z kiełbasą, która miała stanowić południowy posiłek 2. Kompanii.

Schwarz, który nic nie mógł zarzucić „naro* dowsocjalistycznej postawie” sierżanta, pokiwał w jego stronę palcem.

* Wygląda na to, że ten żółtodziób pobije paoski rekord, jeśli nie będzie pan ostrożny, sierżancie.

Rzeźnik zmusił się do uśmiechu, gdy Schulze pognął do zbrojowni po wypiskę na kolejne dziesięć pocisków.

* Niech mu szczęście sprzyja, panie poruczniku * powiedział z pozorną swobodą. * Nawet ślepej kurze trafia się ziarno pszenicy.

* Może ma pan rację i to przypadek. Zaraz sprawdzimy.

Ale gorące protesty towarzyszy Schulzego, którzy wiedzieli, że zdobył on w Sennelager odznakę strzelca wyborowego, sprawiły, że Rzeźnik poczuł się trochę niepewnie.

* Przerwa! * zaryczał. * Ma być trochę spokoju w tym burdelu!

Wszyscy posłusznie zamilkli, a Schulze położył się na pałatce pokrywającej stanowisko strzeleckie.

Wszystko, czego teraz potrzebował, to wystrzelać nędzną piątkę i pobije stary rekord. Strzelec

powoli wycelował, przycisnął mocniej kolbę do ramienia i delikatnie położył palec na spuście. Zapadła śmiertelna cisza. Schulze czuł, jak sto par oczu wbija się w jego plecy. Powoli, bardzo powoli zaczął

naciskać na spust. Nagle za jego plecami rozległ się brzęk upadającej menażki. Pojedynczy strzał zaświszczał w powietrzu, a pocisk poleciał daleko od celu.

Od strony kulochwyty pojawiła się czerwona flaga, którą ktoś machał w tę i z powrotem.

* Gacie na wacie * powiedział pocieszająco Schwarz. * To pech, Schulze.

Rzeźnik podniósł menażkę.

* Moja zupka wsiąkła w ziemię * chrząknął smutno.

Jego twarz wykrzywiła się bezczelną radością w stronę Schulzego, który podniósł się z kolan i otrzępywał

spodnie z brudu, a w jego oczach wyraźnie gorzał gniew.

* Nieźle, Schulze. Całkiem nieźle. Zrobimy z ciebie strzelca wyborowego. Ale jeszcze musisz trochę podwyczyd ze starymi żołnierzami.

Metzger zasalutował regulaminowo Schwa* rzowi i pomaszerował po nową porcję zupy, nim ludzie wybiorą chciwymi paluchami największe kawałki kielbasy. Schulze obserwował go w milczeniu i w tym momencie złożył sobie cichą przysięgę. Pewnego dnia starszy sierżant Metzger zapłaci za to, co zrobił *

pewnego dnia, niedługo.

Ten dzieo nadszedł szybciej, niż Schulze się spodziewał. Tydzieo po incydencie na strzelnicy cały batalion udał się w trybie alarmowym do Trewiru, starego, antycznego miasta, aby

odbyć paradę przed samym wodzem naczelnym. Hitler zamierzał zatrzymać się w tym mieście, gdy będzie wracał z inspekcji Wału Zachodniego.

(Nawiązanie do wizyty nazistowskiego dyktatora na Wale Zachodnim lub Lini Zygfyda, która miała miejsce 15 marca 1940 roku, niedługo przed zaskakującą inwazją Niemiec na Danię w kwietniu tego samego roku.)

* Nasz batalion poprowadzi defiladę * wyjaśniał Sęp swoim oficerom. * Fuhrer wyraził specjalne życzenie ujrzenia naszego oddziału.

Potem zwrócił się w stronę Schwarza, wyjął monokl z oka i zaczął go dokładnie polerować. Von Dodenburg patrzył na jego pochyloną głowę, miał uczucie, że dowódca nie chce, by ktoś ze

zgrupowanych spojrzął mu w oczy.

* A przy okazji, Schwarz, twój wuj będzie razem z Führerem. Zwrócił się do dowódcy batalionu z prośbą, bym dał ci przepustkę na tę noc. Oczywiście spełniłem jego prośbę.

Schwarz nie był w stanie całkowicie ukryć radości, gdy wspomniano jego słynnego wuja.

* Dziękuję, panie kapitanie * powiedział po chwili. * Bardzo doceniam pańską łaskawość.

Schwarz nie był jedynym, który wysoko oceniał wizytę wodza narodu. Schulze dostrzegł w niej szansę, na jaką czekał * wreszcie dostanie się do kwatery Rzeźnika.

Rankiem w dniu parady, gdy podoficer dyżurny budził wszystkich o szóstej, hambur*czyk zameldował, że jest chory. Sierżant zwany „Dziurą w tyłku” z powodu bolesnego postrzału w tę część ciała, otrzymanego podczas kampanii w Polsce, spojrzął na niego podejrzliwie.

* Ołów ci zaszkodził?

Ale blada twarz Schulzego i jego podkrążone oczy wskazywały, że raczej nie chodzi o wymiganie się od uczestnictwa w defiladzie.

* Spędziłem pół nocy na kiblu * powiedział zbolalym głosem. * To biegunka. Parę razy myślałem, że wypluję zęby trzonowe.

„Dziura w tyłku” zanotował to w notesie.

* W porządku, jesteś zapisany jako chory. Ale pożałujesz, jeśli robisz ze mnie durnia!

Doktor sztabowy Horch, którego rozprawa „Metody rozpoznawania nie* Aryjczyków na podstawie zapachu ciała” natychmiast zapewniła mu wstąpienie do SS, był zbyt zajęty, aby dokładnie zająć się mizernie wyglądającym hamburczykiem.

* Rzadkie gównu * szybko zdiagnozował przypadłość, używając obrazowego niemieckiego określenia zamiast jałowego greckiego terminu diarrhoea. * Lekka służba, tabletki węgla i surowe jabłko dwa razy dziennie. Jutro masz się u mnie zameldować jako zdrowy!

* Tak jest, panie doktorze * odparł słabo Schulze.

Horch dokonał zapisu w kartotece. Obecnie próbował leczyć wszystkie choroby naturalnymi metodami; na przykład na ból zębów przepisywał liście geranium do wkładania w uszy. Po zakończeniu badał

zamiar przedstawić ich wyniki samemu Reichsführerowi Himmlerowi. Tylko jedna rzecz martwiła go w tym projekcie. Młodzi ludzie z batalionu Wotan skarżyli się, że remedium na gonorrhoea * czyli rzeżączkę * w postaci mięty pieprzowej i surowego czosnku jest niezbyt efektywne.

Po wyjściu z gabinetu Schulze wypluł prymkę tytoniu, która dawała pożądane efekty. Zabieg był wart

zachodu. Teraz znajdował się jeden krok bliżej celu.

Jasnowłosy osiemnastolatek, którego doktor Horch leczył z permanentnego kaszlu za pomocą herbaty rumiankowej, miał za zadanie utrzymywać w czystości mieszkanie Met* zgera. Schulze odczekał, aż podoficer dyżurny wyniesie się na zewnątrz, dopadł chłopaka i za pomocą pięciomarkowego banknotu wciśniętego w jego dłoń wyjaśnił, że przejmuje jego obowiązki.

* A teraz idź do kantyny * powiedział * kup sobie rum i zmieszaj go z gorącą wodą i cukrem, to zadziała lepiej na twoją klatę niż gówno, które aplikuje ci ten popaprany konował.

Zaskoczony młodzieniec przyjął radę i pieniądze z dużą wdzięcznością.

* Ale co z mieszkaniem Rzeźnika? * spytał, gdy minął mu długi atak kaszlu.

* Zostaw to mnie, chłopie! * uspokajał go Schulze, podnosząc trzepaczkę do dywanów, którą otrzymał

od podoficera dyżurnego. * Ja to zabieram.

Potem uśmiechnął się szyderczo.

* Wytrzępię dywany Frau Metzger tak dokładnie, jak nikt dotąd!

Żona starszego sierżanta Metzgera, tłu* tawa blondynka, mieszkała w niewielkim mieszkaniu w bloku naprzeciwko koszar. Gdy Schulze zapukał do drzwi, siedziała na miękkiej sofie w skromnym saloniku, obok znajdował się niewielki stoliczek, na którego blacie stała w zasięgu ręki szklanka z likierem wiśniowym. Na wielkim biuście Lory Metzger balansowało pudełko z czekoladkami, które wyjmowała pulchnymi paluszkami zakończonymi paznokciami pomalowanymi na czerwono. Po każdym kęsie

oblizywała je lubieżnie.

* Czego chcesz? * spytała, skupiając się nie na nim, lecz na lepkich słodyczach.

* Przyszedłem wytrzępać dywany, pani sierżantowo * szczechnął Schulze, stanął na baczność i stuknął obcasami w najlepszym wojskowym stylu.

Znał ten typ. W Hamburgu nazywali je „zielonymi wdowami”; kuchtmami domowymi bez dzieci, które spędzały całe dnie, pi

jąc, paląc i w nieskończoność malując pazury. Były znudzone światem, sobą i swymi mężami, a ich życie było pozbawione wszystkiego, co pozwoliłoby im uwierzyć, że mogą stać się godnymi pożądaniami, atrakcyjnymi kobietami.

* Nie widzisz, że na zewnątrz pada? * spytała, nadal na niego nie patrząc. * Nie możesz trzępać dywanów przy takiej pogodzie.

* Naprawdę, pani sierżantowo? * Schulze udawał głupiego. * Nie zauważyłem.

* Niektórzy żołnierze są tak tępi, że trzeba im mówić, kiedy mają schronić się przed deszczem.

Pochyliła się do przodu i sięgnęła po szklanę z likierem, ukazując wielkie, pięknie rozwinięte zderzaki, które niemal wylały się z głęboko wyciętego dekoltu wiejskiej bluzki.

* Sukom też trzeba o tym mówić * powiedział po cichu do siebie.

Na razie jego szeroka twarz nie zdradzała żadnych uczuć; malowała się na niej posłuszna głupota typowa dla prostego wojaka.

* Nie stój jak zapasowy fiut na weselu

* rzuciła, napełniając szkło. * Usiądź na chwilę. Może zaraz przestanie padać.

* Dam ci zaraz fiuta na weselu, ty miotło

* powiedział w duchu.

Ale zaraz podniósł głos i z pokorną wdzięcznością za jej wielkopaoską łaskawość powiedział:

* Dziękuję, pani sierżantowo, jest pani bardzo miła.

Usiadł na krawędzi krzesła, trzymał się sztywno, kolana miał razem jak nieśmiały uczeń w trakcie wizyty w gabinecie dyrektora szkoły. Ona napełniła szklanę likierem i po raz pierwszy spojrzała na niego z zainteresowaniem. Patrzył spokojnie, jak trunek przelewa się z butelki do szklanki. To spojrzenie zadziało.

* No dobrze, nie musisz patrzeć jak Jezus z krzyża. Weź sobie szklanę. Na górze kredensu, po prawej stronie.

Podniósł się z wahaniem.

* Mogę, pani sierżantowo?

* Inaczej bym nie proponowała. I, na miłość boską, skoocz z tą sierżantową.

Dalej sprawy potoczyły się w wielkim stylu, tak jak Schulze zaplanował. Przecież podobne scenki odgrywał już chyba z pięćdziesiąt razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat, od czasu, gdy zdobywał pierwsze doświadczenia w tej kwestii w wieku czternastu lat, z matką swojego najlepszego kolegi z klasy.

Rozmawiali o pogodzie. Potem przeszli na SS. Kolejna szklaneczka likieru. Ostrożnie zaczął kierować rozmowę na jej życie ze starszym sierżantem. Bez wątpienia musiała czuć się samotna, będąc żoną tak ważnego i zajętego podoficera. Tak było.

* Żebyś wiedział, jaka jestem samotna * Lora Metzger westchnęła, jakby uwalniała

wszystkie tłumione pragnienia, które nosiła w romantycznej duszy.

Kolejna szklanka wiśniówki.

Niby przypadkiem dotknął tłustego kolana pani Metzger, gdy podawał jej kolejną porcję napitku. Całe jej ciało zadrżało z podniecenia. Odczekał jeszcze kilka chwil i objął muskularnym ramieniem szyję kobiety, jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie. Przez cieniutką bluzkę wyczuwał, że jej ciało jest gorące i lekko wilgotne. Włożył delikatnie dłoń pod materiał i zaczął bawid się jej sutkami.

Zamknęła oczy i westchnęła:

* Co ty musisz sobie o mnie myśleć...

Wykonała ruch, jakby chciała powstrzymać jego dłoń, ale zamiast tego chwyciła ją mocno i zachęciła do dalszych podnieć. Szarpnął się lekko i przycisnął jej usta do swoich. Ich języki splątały się jak dwa walczące węże. Ponad nagim ramieniem pani Metzger hamburczyk zerkał na zdjęcie Rzeźnika siedzącego w czarnym przedwojennym mundurze na białym wierzchołku. Schulze mrugnął bezczelnie w stronę fotografii, po czym skoncentrował się na ręcznej robocie.

Kilka minut później biustonosz i majtki Lory Metzger leżały na dywanie, a ona sama, ubrana jedynie w czarne rajstopy, na paluszkach podkradła się do drzwi, by zamknąć je na zasuwę. Ostrożnie, nie chcąc zaalarmować sąsiadów jakimś odgłosem, podeszła do okiennic i również je zamknęła.

Najpierw dopadł ją na kanapie. Potem ona za śmiechem czmychnęła do łazienki. Gdy biegła, klepnął twardą dłonią w szeroki zad, jak kłacz wyganianą na wybieg. A potem, bardziej z przyjemności niż zemsty, powiedział do stojącej fotografii:

* Raz!

Następnym razem spółkowali w małżeńskim łóżku. Początkowo protestowała przeciw temu, lecz niezbyt mocno. Dla niego trzeszczące sprężyny i skrzypiąca rama łóżka brzmiały jak muzyka * skomplikowany akompaniament do jego zemsty.

* Dwa!

Trzeci raz zrobił to z nią tak:

* Nigdy nie robiłam tego w ten sposób z mężem, a jesteśmy po ślubie już dziesięć lat. Nie widziałam tego nawet w książeczkach, które konfiskował żołnierzom * tym zboczonym świniom!

Schulze wiedział, że już nie musi dłużej z nią grać. Złapał dłonią za jej długie blond włosy i zmusił, żeby na nim usiadła. Potem zaległa pełna rozkoszy cisza.

* Trzy!

Była trzecia po południu, gdy hamburczyk opuszczał mieszkanie z niepotrzebną trze

paczką do dywanów pod pachą. Ona spała w rozmęczanym łóżku, z wyrazem niebiaoskiej błogości na twarzy. Schulze miał podobną minę, choć jego uśmiech był nieco złośliwy. Kroczył powoli, lekko obolały

* w pod* brzuchu czuł lekki ból, który * jak zgadywał * mógł wziąć się tylko z jednego powodu, i tu się mylił. Wybrał marszrutę bezpośrednio przez drogę wjazdową do koszar imienia Adolfa Hitlera, gdzie ze stojących ciężarówek zeskakiwali żołnierze powracający z defilady.

* Ty! * rozległo się wołanie za jego plecami. Zaskoczony odwrócił się i szybko przyjął postawę zasadniczą, trzepaczkę trzymał przy tym jak karabin.

Nawołującym był starszy sierżant Metzger w galowym mundurze.

* Myślałem, że jesteś chory * zauważył oskarżycielsko. * Gdzie byłeś z tą trzepaczką?

* Lekarz jednostki zalecił mi lekką służbę, panie sierżancie * szczerzył Schulze w najlepszym wojskowym stylu. * Byłem w pana mieszkaniu i trzepałem dywany pani sierżantowej.

Gburowaty wyraz twarzy Metzgera nieco złagodniał. To był długi i pracowity, a do tego deszczowy dzień w Trewirze i sierżant wyraźnie czuł się zmęczony. Wszystko, czego teraz pragnął, to zrzucić ubranie i napić się czegoś. Jeśli Schulze odwalił dzisiaj tę ciężką robotę, może Lora nie będzie zbyt zmęczona. A to mogłoby dużo zmienić. Poza tym miłość jest chlebem biedaków, powiedział do siebie, powtarzając sentencję, którą usłyszał chyba na jakimś filmie... lub gdzie indziej.

* Wytrzepałeś dokładnie, co? Moja żona jest pedantką, wiesz o tym?

* Może pan na mnie polegać, panie sierżancie * Schulze odpowiedział ochotczo. * Dywany miały ze mną niezłą przeprawę. Przez kilka dni będą dochodziły do siebie.

Zasalutował i przeszedł obok podoficera, nim ten zdołał zauważyć błysk triumfu w jego oczach.

Tego samego wieczoru w Trewirze porucznik Kurt Schwarz również przeżywał chwile triumfu, kiedy po sześciu latach bez spotkania wpływowego wuj postanowił wreszcie spędzić z nim wieczór. Wielki człowiek potrząsnął elegancką dłonią w kierunku drzwi i powiedział wysokim, nosowym głosem:

* Uciekaj, Miiller!

Szef gestapo posłusznie skinął ogoloną głową i poderwał się z krzesła.

* Nebe, ty też!

Naczelnik policji kryminalnej podążył za towarzyszem. Odwrócili się przed drzwiami i zawołali jak

na paradzie:

* Heil Hitler, Obergruppenfuhrer! Szef tylko na nich spojrział.

* Dziś w nocy * powiedział uroczyście, jakby składał oświadczenie w sądzie * mam zamiar porozmawiać grzecznie z Kurtem. A potem chcemy się solidnie upić. A potem znajdziemy coś takiego...

Wsadził kciuk jednej dłoni pomiędzy rozcapierzone palce drugiej, wulgarnie sugerując kopulację.

* Chciałbym znaleźć w tym zapomnianym przez Boga, katolickim grajdole jakiś miły dom schadzek.

Zrozumiano?

* Tak jest, szefie! * zawołali.

Rozumieli bardzo dobrze. Reinhard Heydrich, najwyższy władca RSHA, zwany w Niemczech „katem Heydrichem”, którego obawiał się sam Himmler, chciał być sam, by porządnie zabalować, i byli wdzięczni, że nie muszą mu towarzyszyć. Dla nich jasnowłosy generał SS o delikatnych dłoniach skrzypka (którym był) i zimnych oczach mordercy (którym był również) stanowił dużo większe niebezpieczeństwo niż normalny człowiek.

Gdy tylko wyszli, Heydrich zarzucił na biurko nogi w błyszczących butach, wyciągnął butelkę koniaku i nalał sobie sporego drinka. Potem popchnął butelkę w stronę bratanka.

* Obsłuż się, Kurt * powiedział.

Nie czekając na reakcję młodego oficera, wystukał dłonią jakiś rytm o blat biurka i wypił jednym haustem zawartość szkła.

* Przechył tę butelkę * powiedział jednym tchem i dodał. * Jak ci się podoba służba w Batalionie Szturmowym Wotan?

Kurt, chyba nadal onieśmielony towarzystwem wuja, opisał w kilku zdaniach 2. Kompanię.

Heydrich słuchał z uwagą i pił cały czas, nie zwracając uwagi na alkohol.

* A jakie nastroje wśród żołnierzy?

* Znakomite.

* A oficerowie?

Schwarz zawahał się, a potem lekko wzdrygnął.

* Jest kilku, którzy nie są odpowiednio zaangażowani... * zaczął.

* Na przykład pierwszy porucznik Kuno von Dodenburg? * spytał spokojnie szef RSHA.

Zaśmiał się z wrażenia, jakie to pytanie zrobiło na bratanku.

* Mamy wszędzie informatorów, mój drogi chłopcze * wyjaśnił. * Mógłbym ci opowiedzieć kilka zabawnych rzeczy o waszym małym kapitanie Geierze. On lubi jeździć nie tylko na koniach, uwierz mi!

Ale nie chcę, bo to mogłoby wywołać szok w twojej delikatnej duszy. Widzisz, Kurt, moje siły policyjne badają każdy aspekt życia narodu. Potrzebuję informacji o wszystkim i o wszystkich, dzięki czemu mogę korygować ludzkie myśli i nimi kierować. Tylko w ten sposób możemy eliminować zagraniczne wpływy, które działają destruktywnie na sposób myślenia narodu. Policja jako filtr i nauczyciel wielkiego narodu niemieckiego * oto jest mój cel!

Przez chwilę jego oczy błyszczały fanatycznie. Nalał sobie kolejną okazałą lampkę koniaku i zdjął nogi z biurka.

* Ale chodźmy już, drogi chłopcze, szkoda marnować czas. Zwiedzimy stare katolickie miasto Trewir, stare już wtedy, gdy Rzym był jeszcze młody, jak chwalą się miejscowi, i zobaczymy, co ma ono do zaoferowania pełnym werwy żołnierzom.

Gdy czekali na wielkiego czarnego mercedesa, którym mieli wyjechać z hotelu, Heydrich szturchnął Schwarza przyjacielsko.

* Słyszałeś kawał o dwóch zakonnicach i kaszance? * rzucił zapowiedź pierwszego z dowcipów, których dziesiątki młody porucznik musiał wysłuchać tej nocy.

Zmykać z ulic, bo SS idzie

Kolumna szturmowa, zwarta i gotowa!

Reinhard Heydrich potknął się i omal nie padł jak długi w ciemnym hotelowym korytarzu.

* Cicho, wuju, wszyscy śpią * napominał go Kurt.

Ale szef RSHA nie zważał na nic.

Niech śmierć będzie nam siostrą w walce Bo my jesteśmy Czarną Gwardią.

Wreszcie Schwarzowi udało się przepchnąć wuja przez drzwi apartamentu i zamknąć je za sobą. Mógł

odetchnąć z wielką ulgą i posadzić go na fotelu. Heydrich miał koszulę rozchełstaną na piersiach.

Porucznikowi szczęśliwie udało

ło się bez większych incydentów doprowadził na miejsce kompletnie pijanego szefa bezpieczeństwa Rzeszy. Nigdy dotąd Schwarzwald nie uczestniczył w takiej popijawie jak tej nocy, nawet w czasie, gdy był

kadetem w Bad Tölz. Jego wuj przez ostatnie sześć godzin bez ustanku wypijał wszystko, co wpadło mu w ręce: koniak, whisky, dzin, wino, wszystko, co zawierało alkohol. Musiał mieć żółą krokiel. Nagle Heydrich stanął chwiejnie na nogach.

* Muszę się wyszczadzić * wybełkotał.

Z ręką wyciągniętą przed siebie jak ślepiec począł do łazienki.

Schwarzwald opadł na wolne krzesło i z uczuciem błogości wyciągnął przed siebie nogi odziane w wysokie oficerki. Boże, czego by nie dał za łóżko! Czuł, że mógłby spać bez przerwy przez następne czterdzieści osiem godzin. Zasnęty zamknął oczy. Z łazienki dobiegł łoskot. Podskoczył na nogi i pobiegł do drzwi.

Wuj przeglądał się w pijackim skupieniu w rozbitym lustrze, trzymając się jedną ręką umywalki, a drugą, uzbrojoną w pistolet, wymachiwał jak dyrygent pałeczką. Powoli uśmiechnął się do swego odbicia w potłuczonym lustrze.

* Wreszcie cię dopadłem, ty żydowski męcio! Schwarzwald spojrzał na niego przerażony. Wuj wyglądał w tej chwili na całkowicie trzeźwego.

* Co powiedziałaś? * spytał. Heydrich odwrócił się.

* Żydowski męcio, oto, co powiedziałem * zaśmiał się, ale w jego głosie nie było wesołości.

* Co masz na myśli, wuju? * naciskał młody porucznik.

* Ależ to bardzo proste, mój drogi Kurcie

* powiedział Obergruppenführer, a jego głos był wyraźny i pozbawiony nuty szyderstwa.

* Twój ojciec i ja jesteśmy Żydami. Twoja babka nazywała się Suess, Sara Suess. Mam nadzieję, że twoje studia w Bad Tölz nad antropologią rasową i genealogią pozwalają ci zrozumieć, co to znaczy
* rodzina Heydrichów jest żydowska.

* Żydzi?

Wuj spojrzał drwiąco na bratanka.

* Tak, obaj jesteśmy Żydami!

(Według opinii dzisiejszych ekspertów Heydrich mylił się co do swojego żydowskiego pochodzenia.

Jednak wierzył w nie bardzo głęboko, a tacy fanatyczni rasiści jak jego współpracownicy i zwierzchnicy (na przykład Himmler) twierdzili, że „jest to nieszczęśliwy człowiek, targany wewnętrznymi sprzecznościami, co często się zdarza ludziom mieszanych ras".)

Zima przełomu lat 1939 i 1940 powoli przemijała. Była najmroźniejsza z tych, które pamiętali żywi, i ustępowała miejsca wiosnie. Czarne topole rosnące wokół koszar imienia Adolfa Hitlera zaczęły się zielenić. Teraz, gdy podoficerowie nie patrzyli, cała 2. Kompania zwalniała tempo dwiczo. W zimie poruszali się energicznie z własnej woli, aby utrzymać ciepło. Ale wiosna tak ich rozgrzewała, że nie chcieli się już spieszyć, a tego wymagał od nich starszy sierżant Metzger.

* Niebo, dupa i szpagat * gderali * wysłałby nas, abyśmy się za niego wysrali, gdyby wiedział jak!

Na Zachodzie wiosna przyniosła również koniec sitzkriegu. Dokładnie o godzinie piątej dwadzieścia rano, 9 kwietnia 1940 roku statek transportowy Hansestad Danzig wpłynął do Kopenhagi * na jego pokładzie znajdowały się niemieckie oddziały. Dowodził nimi generał Kurt Himer, dowódca niemieckich wojsk specjalnych, który przybył do stolicy Danii dwa dni wcześniej w cywilnym ubraniu. Wszystko poszło zbyt łatwo. Dania poddała się przed kołosem dnia, a zwycięstwo kosztowało Niemców dwudziestu zabitych.

Następna była Norwegia, chociaż tym razem przeciwnik stawiał silniejszy opór. Czołowe hitlerowskie gazety * Volkische Beobachter i nadreoski Westdeutsche Beobachter * dostępne w pokoju dziennym 2.

Kompanii, pełne były informacji o walkach wokół Narwiku, Trondheim i Fornebu oraz o bohaterskich dokonaniach bawarskich oddziałów górskich generała Dietla.

W tym miesiącu do koszar zaczął napływać nowy ekwipunek, wskazując ludziom z 2. Kompanii, że niedługo przejdą chrzest ognia. Ich stare ciężarówki i zaprzęgi konne zastąpiły nowiutkie, błyszczące transportery półgąsieni* cove. Każdy pluton otrzymał jeden ze śmiertelnych, chłodzonych powietrzem karabinów maszynowych MG* 42, które mogły strzelać z szybkością 800 pocisków na minutę. Tego samego dnia, gdy poranną musztrę przerwał komunikat z kwatery głównej Fuhrera o zdobyciu Narwiku, otrzymali pierwszą partię miotaczy płomieni. Żołnierze patrzyli na siebie znacząco, gdy grupa specjalna z Biura Uzbrojenia Armii wyładowywała groźny ładunek.

* Broo do walki na krótki dystans * szeptali między sobą. * Chyba niedługo ruszymy na front.

Tęgi podoficer dowodzący trzyosobowym oddziałem demonstracyjnym przydzielonym do 2. Kompanii poklepał obły pojemnik wiszący na plecach żołnierza.

* To jest jądro naszego zespołu * powiedział ciężkim głosem. * Ale jest cholernie delikatne, uwierzcie mi.

Jeden niepotrzebny ruch i mówicie „Żegnaj, Marysiu".

Cała kompania zaśmiała się regulaminowo, lecz bez przekonania.

* Co zatem robimy? * spytał podoficer i sam odpowiedział na swoje pytanie. * Dajemy człowiekowi

z miotaczem płomieni najlepszą osłonę, jaką mamy. Po to w zespole są ludzie numer dwa i trzy.

Wskazał na dwóch żołnierzy piechoty uzbrojonych w karabinki szturmowe i granaty, którzy wyglądali jak z obrazka w podręczniku szkolenia piechoty. Podoficer chrząknął dla oczyszczenia gardła.

* W porządku, naszym celem jest ten bunkier * wskazał na makietę schronu znajdującą się pięćdziesiąt metrów od nich. * Jak to zrobimy?

Bez czekania na odpowiedź żołnierz numer dwa zaczął czołgać się z lewej strony celu z granatem dymnym w prawej dłoni. Z kolei żołnierz numer trzy padł na ziemię, rozłożył nogi pod przepisowym kątem i rozpoczął ostrzeliwanie szczeliny obserwacyjnej bunkra ślepą amunicją.

Nagle człowiek z granatem podniósł rękę, a strzelec na ten znak przerwał ogień. Po chwili granat poleciał

w stronę bunkra. Rozległ się tępy odgłos wybuchu, jakby suche gałęzie trzaskały pod nogami, i cały schron okrył całun szarego dymu. Strzelec poderwał się na nogi, podbiegł do żołnierza z miotaczem płomieni i położył się obok niego. Zrobił to tak szybko i precyzyjnie, jakby był to element musztry.

Podoficer dmuchnął w gwizdek. Obsługa miotacza ruszyła w dym, który nagle się rozstąpił. Strzelec biegł

z boku operatora miotacza płomieni i strzelał z biodra, ludzie z 2. Kompanii zauważyli, że trzyma się on za plecami kolegi. Chwilę później zobaczyli, dlaczego.

Operator miotacza nacisnął spust. Do przodu z sykiem wyskoczył jezior płomieni i objął ogniem cały schron. Na deskowaniu pojawiły się bąble palonej farby. Powietrze wypełniło się swądem palonego drewna i przypiekanej trawy.

Podoficer w milczeniu spojrzał na obserwatorów. Nawet po dwóch tuzinach takich demonstracji nie potrafił pozbyć się respektu, który ogarniał go za każdym razem, gdy miotacz płomieni kooczył pracę.

* Gdyby to było w walce, wszystkie żyjące stworzenia miałyby rozerwane płuca z powodu braku tlenu, a jeśli któreś z nich trafiłoby w płomień miotacza, zostałyby momentalnie

spalone. Mówiono mi, że ofiary tego ognia mają wielkość Pigmejów.

Ostatnie słowa dodał w zadumie, jakby mówił sam do siebie.

Po odbiorze miotaczy płomieni rozpoczęło się intensywne szkolenie na czas walk ulicznych, szczególnie typu „dom w dom”. Przeprowadzano je w lokalnym przysiółku, z którego bratni batalion w pośpiechu ewakuował mieszkańców. W tę i z powrotem, do znudzenia żołnierze 2. Kompanii dwiczyli zdobywanie budynków * ogień z pistoletów maszynowych ma zmusić przeciwników strzelających z okien do szukania schronienia, mocne kopnięcia wrywają drzwi z zawiasów, wrzucone do środka granaty trzonkowe eksplodują ze stłumionym hukiem, ponowne pojawienie się w drzwiach i ostatnie serie z broni maszynowej, kończące próby oporu tych, którzy przeżyli eksplozję.

* Srad na taką choinkę * przeklinał Schulze, gdy porucznik von Dodenburg kazał po raz kolejny powtórzyć całą zabawę. * Wydaje mi się, że nie przejdę przez żadne drzwi, jeśli najpierw nie wrzucę przez nie granatu.

Wytarł pot z czoła.

* Jeśli tak dalej pójdzie, stanę się niebezpieczny dla społeczeństwa, prawdziwy element społeczny.

Kuno von Dodenburg założył ponownie hełm i podniósł pistolet maszynowy.

* Schulze, ty stałeś się niebezpieczny dla społeczeństwa w momencie, gdy twój stary cię spłodził! No już, ruszaj!

Ale kapitan Geier nie zamierzał ślepo i bezmyślnie realizować szkolenia batalionu. Uważał, że major Hartmann nie przeżyje nadchodzącej kampanii. Wbrew swemu nazwisku major nie był twardym i

zahartowanym oficerem. Po pierwsze miał żonę i dzieci, a to był zły omen dla zawodowego żołnierza, przynajmniej w opinii Sępa. Poza tym Hartmann był zbyt konwencjonalny, nie spodziewał się na przykład spotkać spotkania wroga, gdy sam był nieuzbrojony.

Dlatego gdy tylko kapitan odkrył, ku swej radości, że jeden z podoficerów był przed wojną policjantem i przeszedł podstawowe szkolenie jujitsu, zdecydował, że 2. Kompania musi poznać podstawy walki wręcz.

Był pierwszym, który zgłosił się na kurs. Wywołał salwy śmiechu, gdy stanął w przydługich szortach, z których wystawały chude nogi, naprzeciwko zwalistego ekspolicjanta. Poczł się bardzo podniecony, także dlatego, że znalazł się blisko w połowie nagiego, męskiego ciała. Próbował odsunąć w zakamarki umysłu tę prywatną sprawę, która wiązała się ze zdjęciami nagich

francuskich chłopców tkwiącymi w tylnych kieszeniach jego spodni.

* Panowie * powiedział na poniedziałkowej porannej odprawie rozpoczynającej tydzień * żądam ślepego, nieustraszonego posłuszeństwa. Jeśli powiem, że macie skoczyć przez okno, zrobicie to, chodby do ziemi były cztery piętra!

Przycisnął mocniej monokl do prawego oka.

* Posłuszeństwo oparte jest na całkowitym zaufaniu. Odtąd każdy z moich ludzi ma uczestniczyć w tym kursie. Zapewniam was, że gdy go skończymy, nie będziemy się obawiać żadnego przeciwnika na świecie.

* Najsłabsze miejsce każdego faceta * instruował ich były policjant * to jego jaja. Jak go tam traficie, jest po sprawie. Jasne?

* Tak jest, panie sierżancie * odpowiedzieli chórem.

* Jeśli dopadniecie jakiegoś Angoła albo żabojada, to w porządku. Ale co się stanie, jeśli oni w ten

sposób będą chcieli się dobrać do was? * podniósł ostrzegawczo do góry paluch gruby jak kiełbasa.

* Oto haczyk, prawda?

* Tak jest, panie sierżancie * odezwał się ponownie zgodny chór.

* Jednak * kontynuował dalej instruktor * można się obronić przed takim atakiem i mam zamiar pokazać wam jak. Schulze, chciałbym, abyś spróbował kopnąć mnie w jajka!

* Kopnąć podoficera w jajka?! * Schulze jęknął z drwiącym zgrozowaniem. * Ale pan jest podoficerem!

* Nie kłopotz tym swojego prostego umysłu, Schulze. Umiem zatroszczyć się o siebie, uwierz mi. I nie bądź zaskoczony, gdy za kilka sekund będziesz leżał na podłodze na swoim tłustym dupsku!

* Jest pan pewien, panie sierżancie? * spytał szeregowiec.

* Oczywiście, że tak. Rozkazuję ci, abyś spróbował kopnąć mnie w jaja!

* Jeśli tak, panie sierżancie, to ruszamy * Schulze rzucił się do przodu z zadziwiającą prędkością jak na tak wielkiego faceta.

Podoficer uniósł gardę, by sparować uderzenie, lecz Schulze wyskoczył w powietrze. Niczym jedna z gwiazd przedwojennego zespołu piłkarskiego St Pauli z Hamburga wykonał w powietrzu obrót. Podoficer kompletnie zgłupiał. Jego ręce bezradnie latały w powietrzu. Chwilę potem leżał na podłodze jak worek, podbródek miał pokryty wymiocinami i skręcał się z boku na bok.

* Jak myślicie, czy powinienem mu powiedzieć, że byłem mistrzem jujitsu w klubie socjalistycznym w Barmbek? * spytał niewinnie Schulze.

W ten sposób zakończyły się próby Sępa, aby z kompanii uczynić oddział specjalistów do walki wręcz.

Teraz dowódca miał inne sprawy na głowie niż porażka jego programu szkoleniowego. Czas biegł nieubłaganie i oddział musiał zmierzać ku swemu przeznaczeniu, nie korzystając z tego sposobu walki.

Wieczorem ostatniego dnia kwietnia zarządzone „wieczór przyjaźni”. Dowódca zamówił czterdzieści osiem beczulek piwa, podczas gdy pozostali oficerowie kupili dwa tuziny butelek wódki pszenicznej i pochowali je w kieszeniach mundurów.

Informacja ta, przekazana przez sierżanta Metzgera, została przyjęta z głośną radością przez całą 2.

Kompanię. Ale Schulze nie był zadowolony. Jego radość z wyłączenia byłego policjanta ze służby *

człowiek ten, gdy przywrócono mu przytomność, został zdegradowany i odesłany do jednostki

rezerwowej * już dawno znikła. Jego reakcja na obwieszczenie Metzgera była opryskliwa.

* Słuchajcie, kiedy panowie oficerowie kupują dla plebsu piwo i wódkę, to znaczy, że bomba idzie w górę!

Jeśli chodzi o takie sprawy, Schulze rzadko się mylił...

* Meine Herren * zachrypiał Geier pruskim głosem, który trudno pomylić z jakimś innym. * Za parę chwil udamy się na spotkanie integracyjne zwane „wieczorem przyjaźni”.

Uchwycił mocniej ulubiony monokl i popatrzył na zgromadzonych, czyli von Doden* burga, Schwarza i Kaufmanna, syn bogatego przemysłowca z Zagłębia Ruhry, oraz Ficka, którego nazwisko nie kojarzyło się dobrze. (Fick jest ordynarnym niemieckim określeniem stosunku seksualnego.)

* Nie wiem, jaka jest panów odporność na alkohol, ale spodziewam się, że będziecie się zachowywać jak dżentelmeni i oficerowie.

Schwarz spojrział na dowódcę z nieskrywanym niesmakiem. Pod maską zimnego cynizmu wyczuwał w Sępie zwykłego burżuja. Chociaż nosił mundur Czarnej Gwardii Hitlera, kapitan nie miał zrozumienia dla narodowej rewolucji, której od 1933 roku przewodniczył Fuhrer. W rzeczy samej, Geier nie był lepszy niż

„marcowe fiołki” przyłączające się

do NSDAP w momencie, gdy przejmowała ona władzę w Niemczech, w nadziei, że uda im się zrobić karierę, nim będzie za późno.

Ale Sęp nie był głupcem. Zauważył i rozumiał pogardliwe spojrzenie Schwarza.

* Poczekaj, mój chłopcze * powiedział do siebie w duchu. * Jeszcze ściągnę ci te portki i nieważne, czy będzie obok wujek Heydrich, czy go nie będzie!

Był jednak zbyt mądry, by coś takiego powiedział głośno. Zamiast tego podniósł kieliszek do trzeciego guzika kurtki mundurowej, tak jak nakazywał zwyczaj wojskowy. Zgiął łokied pod kątem prostym w stosunku do piersi i szcęknął:

* Meine Herren, prosit!

* Prosit * odpowiedzieli jak jeden mąż. Niczym automaty podnieśli swoje kieliszki,

wypili zawartość jednym haustem i stuknęli jednocześnie szkłem o blat stołu.

Sęp pokiwał głową z uznaniem. To zgranie sprawiło mu dużą radość, jak każda jednomyślność. Co prawda nie byli oficerami kawalerii, a Schwarz i Kaufmann nie byli nawet dżentelmenami, ale każdy z nich był przywódcą, użytecznym w nadchodzącej bitwie.

Chrzęknął.

* Panowie, myślę, że już czas udać się do naszych ludzi!

Starszy sierżant Metzger wziął na siebie przygotowanie sali do nadchodzącej popijawy.

Surowe drewniane stoły zostały ustawione w podkowę i przykryte szarymi kocami. U szczytu tej konstrukcji stanął fotel dla Sępa i zwykłe krzesła dla oficerów, a dla szeregowej gawiedzi stanęły po bokach proste ławki z jadalni. W regularnych odstępach ustawiono butelki z wódką otoczone gromadką kieliszków. Na ścianach przypięto gałęzie świerku i sosny ukradzione w czasie porannych dwiczeo z pobliskiego lasu.

Gdy kapitan i kadra oficerska weszli do środka, wszyscy zebrani poderwali się sztywno i stanęli na baczność na swoich miejscach. Sęp z przyjemnością patrzył i oceniał zmiany, jakie zaszły w tych ludziach w ciągu kilku miesięcy. Wreszcie dorośli do swoich mundurów, które już dawno straciły świeżość nowości. Twarze im stwardniały, rysy się wyostrzyły, a wzrok nabrał pewności. Nauczyli się nowego systemu dowodzenia, nowej koncepcji zła i dobra, absolutnej i sztywnej. Nauczyli się tego za cenę chłodu, rozpaczy i spraw, które mogły kosztować życie. Już nie wyglądali na cywili udających żołnierzy.

Byli wyszkolonymi żołdakami, którym brakowało tylko jednego * krwawego doświadczenia w bitwie.

Starszy sierżant wspaniale zasalutował nadchodzącym oficerom. Na szczytach strun głosowych zapiał:

* Druga Kompania, Batalion Szturmowy SS Wotan gotowy do wieczoru przyjaźni!

Sęp od niechcienia dotknął daszka czapki dłonią okrytą zamszową rękawiczką.

* Dziękuję, sierżancie, dajcie ludziom „spocznij”.

Rozległo się niespokojne szuranie butów.

* Nalewad do kieliszków * zagrzmiął oficjalnie Metzger.

Kieliszki szybko zaczęły wędrować w ręce zebranych, odkręcano butelki, popłynęły pierwsze krople alkoholu. Sęp zdjął wysoką czapkę, przyjął podany kieliszek wódki.

* Koledzy! * zachrypiał. * Za nas, za tych, których kochamy, i za 2. Kompanię!

* Za nas, za tych, których kochamy, i za 2. Kompanię! * zaryczało dwieście gardeł, aż zadrżały drewniane krokwie więźby dachowej.

* Do dna!

Wszyscy wypili jednym haustem pierwszy toast. Jeden czy dwóch rekrutów, którzy zapobiegawczo napełnili żołądki oliwą z oliwek i serem, teraz zakaszłało, gdy pszeniczna wódka wypalała im przełyki.

Geier usiadł w fotelu. Reszta towarzystwa zasiadła na ławkach.

* Sierzancie * zaordynował dowódca * kompanijny dowcip, ale musi byd soczysty!

* Schulze! * Metzger zawołał w stronę hamburczyka przez cały stół. * No, dawaj komediancie. I jak słyszałeś, ma byd soczysty!

Szeregowiec długo się nie wahał.

* Co mówi żołnierz do żony, gdy pierwszy raz od pół roku dostaje przepustkę do domu?

* No właśnie, co? Schulze potarł czubek nosa.

* Mówi: „Popatrz trochę na podłogę, bo przez następne czterdzieści osiem godzin będziesz oglądał tylko sufit!”.

Fala śmiechu wstrząsnęła stołami.

* Doskonale, Schulze * powiedział Sep, rozpinając kołnierzyk munduru, gdy nalewano mu kolejny kieliszek wódki. * To było naprawdę soczyste. A czy słyszałeś o parowie, który płynął Kanałem Cesarza Alberta...

Wieczór koleżeoski toczył się utartym torem.

Zabawa zmieniała się w hałaśliwą mieszanię głosów, które brzmiały coraz donośniej, gdy temperament wzrastał wraz z wypitym alkoholem. Wreszcie, po kilku miesiącach, można było spuścić trochę pary z kotłów.

* Mylisz się * ktoś mówił * to nie jest tak, że Francuzi źle strzelają. Oni celują w jajka. Chcą z każdego z nas zrobid tenora!

* No fajnie! Z takimi jajami jak twoje to byłoby celowanie z działa w drzwi stodoły!

* Uważaj na ten pieprzony kufel. Zaraz zalejesz mi cały mundur!

* Kiedy już wsadziłeś tam ręce, nie mogą się bronid. Każdy to wie! Mały człowieczek w łódce, to jego musisz łaskotad, jeśli chcesz, aby położyły się na plecach i czekały na ciebie!

* Ten cwaniaczek załatwił go jednym sprytnym tekstem. Stawał przed każdym i najwyższym tonem mamrotał: „Musisz wybaczyd mojemu przyjacielowi. Zakochał się nieszczęśliwie i wpadł w miłosną aferę”. Oczywiście każdy chciał wiedzieć, jak to wszystko się zakooczyło. W koocu mówił: „Złamał sobie prawy nadgarstek w zesłym tygodniu!”. Jezu, żebyście słyszeli, jaka zapadła cisza!

* Rekrut wyciągnął z zupy gwóźdź i leci do kucharza. „Popatrz, sierzancie, znalazłem gwóźdź!”. A ten pyta: „Jaki rodzaj gwoździa * chirurgiczny czy do przybijania desek?” „No, taki do desek”. A na to ten byk kuchenny, kucharz mówi spokojnie i chłodno: „Włóż go z powrotem, to twoja przydziałowa porcja żelaza!”.

Spotkanie się rozkręcało * niekończąca się, chaotyczna parada starych dowcipów, tradycyjne wojskowe przyśpiewki, piwo, skargi, piwo, kawałki sprośnych piosenek, piwo i szybkie wypadki do latryny, aby pozbyć się nadmiaru płynów.

* Niech pan pozwoli, że panu coś powiem, poruczniku Schwarz * powiedział pijany Rzeźnik, zataczając się obok niewielkiego oficera. W jednej dłoni trzymał kufel piwa, a w drugiej kieliszek wódki. * Ja wyczuję Żyda nawet węchem!

Machnął ręką, jakby chciał powstrzymać protesty, a przy okazji rozlał trochę piwa na błyszczące oficerki Schwarz. Oficer udawał, że nie zwraca na to uwagi.

* Wszyscy wiedzą, że oni śmierdzą inaczej niż my. To dlatego nasz medyk wsadza wszystkim nos pod pachy * Metzger potarł znacząco swój wielki nochal. * Oni byli szkoleni na uniwersytecie w rozpoznawaniu Żydów. Ale ja nie potrzebuję do tego studiów. Umiem to od urodzenia.

Przez chwilę patrzył gniewnie.

* Te bękarty z haczykowatymi nosami mają dużo forsy. Sprytni, tłuści faceci, którzy gonią za dziewczynami, naszymi dziewczynami. Lubią białe mięso, wie pan o tym?

* Naprawdę? * wybełkotał lekko pijany Schwarz, zdając sobie nagle sprawę, że w jednym słowie nie wyrazi swego powątpiewania, więc powtórzył jeszcze raz. * Naprawdę?

* Oczywiście, panie poruczniku * potwierdził z naciskiem Rzeźnik, wziął kolejny łyk piwa i zapił go wódką z kieliszka. * Oni zrobią wszystko dla białego mięsa. Nasze blond dziewczuchy fascynują ich, wie pan o tym? Ale nigdy ich nie poślubią. Nie mogli tego zrobić nawet przed zdobyciem władzy przez naszego wodza. Tam, gdzie mieszkałem jako chłopak, rabin groził młodym Żydom, że poobcina im nożem ptaki, jeśli będą próbowali poślubić Germanki!

Schwarz ze zdziwienia aż otworzył oczy.

* Naprawdę? * wydusił z siebie.

Sierżant spojrzał na niego z ukosa.

* Tak jest, panie poruczniku. Tak jakby żydowskie fiuty nie były już wcześniej odpowiednio krótkie!

* Słuchaj, Schulze * powiedział lekko zagniewany von Dodenburg * armia może efektywnie funkcjonować tylko wtedy, gdy rozkazy wykonywane są bezwarunkowo.

* Nawet głupie rozkazy? * pytał szeregowiec z uporem pijaka. * Głupie też, panie poruczniku?

* Nie ma głupich rozkazów, Schulze. Mogą jedynie wydawać się głupie prostym żołnierzom. Ty je tylko odbierasz, więc jak możesz je prawidłowo ocenić?

* A co z kapitanem z 1. Kompanii, który rozkazał swojemu kierowcy wyskoczyć przez okno? Ten głupi dupek to zrobił i złamał nogę * nie ustępował Schulze. * Czego to dowodzi, panie poruczniku?

* Dowodzi to, że w razie wątpliwości żołnierz musi wierzyć swojemu oficerowi.

* Ja tak na to nie patrzę * powiedział szeregowiec. * Wydaje mi się, że nie różni się to niczym od Kadavergehorsamkeit z czasów Kaiser, o którym opowiadał mi swego czasu ojciec.

(Kadavergehorsamkeit * niemieckie określenie bezwzględności posłuszeństwa w wojsku.)

Potem wziął głęboki łyk piwa.

Von Dodenburg okazał zniecierpliwienie.

* Ślepe posłuszeństwo. Całkowicie się mylisz, Schulze. Nie ma czegoś takiego w naszym szkoleniu.

Szefostwo Waffen SS nie tolerowałoby tego. Teorie Obergruppenführera Bergera są temu przeciwnie.

Z pijackim entuzjazmem zaczął wykladać pryncypia systemu szkolenia zalecanego przez „księcia Szwabii”, jak zwano esesmaoskiego watażkę Bergera.

Kapitan Geier stał na środku sali i pocierał wielki nos, a z całkowicie łysą głową bardziej niż kiedykolwiek przypominał andyjskiego sępa. Czuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Wokół niego kręcili się młodzi ludzie z jego kompanii, ich twarze były nadal nietknięte zepsuciem, zupełnie inaczej niż u tych wymalowanych pajaców, których musiał szukać w Berlinie.

Ci młodzieńcy wyglądali bardzo czerstwo. Przez chwilę rozmarzył się, że wszyscy oni są nadzy * twarde, muskularne ciała, nie takie jak te zużyte odwłoki młodych chłopaków krążących po ciemnych uliczkach otaczających berliński dworzec Lehrter. Po chwili odrzucił te myśli jako bezwartościowe.

* Służba to służba * powiedział do siebie, przywołując stare wojskowe stwierdzenie *

a sznaps to sznaps. Tych dwóch spraw nie wolno mieszać. Piękni chłopcy to część innego świata i nie wolno go mieszać ze służbą wojskową.

Jakaś ofiara piwa była niesiona przez sześciu chichoczących towarzyszy. Ułożyli pijanego na jednej z drewnianych ławek jak na noszach i zanieśli go w stronę latryny.

* Mamy zamiar urządzać mu pogrzeb państwowy, panie kapitanie * powiedział z podnieceniem jeden z tragarzy.

Sęp uśmiechnął się z pobłażaniem, dotknął dłonią czoła, jakby salutował, bo tego się po nim spodziewano. Procesja ruszyła dalej; pijacka parodia realnej uroczystości.

Kapitan jeszcze raz rozejrzał się wśród ludzi ze swojego oddziału.

* Moja kompania * wyszeptał miękko sam do siebie i poczuł w oczach łzy wzruszenia. Był ciekaw,

ilu z tych młodych, przystojnych mężczyzn, elity narodu, przetrwa to, co nadchodzi. Zaczął przepychać się przez tłum wojaków.

* Sierżancie * szczechnął swoim nosowym głosem.

Rzeźnik, z twarzą czerwoną jak burak dwikłowy i oczami rozjarzonymi pijaostwem, zaczął się bezradnie obracać jak bąk i próbował przyjąć postawę zasadniczą. Kapitan machnął tylko ręką, aby dał sobie spokój.

* Nie teraz, sierżancie * powiedział. * Chciałem tylko powiedzieć, że oficerowie opuszczają spotkanie. Będzie lepiej, jak ich zabiorę i zostawimy żołnierzy samych.

Rozejrzał się ostatni raz dookoła, jakby chciał zapisać wszystkie twarze w pamięci, w księdze sławy.

* Dobranoc, sierżancie * powiedział i dotknął delikatnie daszka czapki, po czym ruszył dostojnie w kierunku drzwi, a za nim jak rozbawione szczeniaki potruchtali oficerowie.

Ofiary kontynuowały obrzędy...

Ustawił ją w smudze bladoniebieskiego światła, które rzuciła zaciemniona latarnia. Przedtem słyszał

natrętne stukanie jej wysokich obcasów o mokry od deszczu bruk. Nie był w stanie dostrzec jej twarzy, cała jego uwaga skoncentrowana była na obmacywaniu jej ciała skrywającego się pod czarnym, błyszczącym płaszczem przeciwdeszczowym.

Nagle dostrzegł, że była piękna, miała czarne jak węgiel oczy, kręcone, krótko przycięte włosy oraz gładką, słodką i owalną twarz. Prawie uwierzył, że jest nietknięta i niewinna.

Ale nie była. Nawet jego pijany umysł rejestrował, że całowała jak zawodowa dziwka.

Był zbyt pijany i niecierpliwy, by dłużej zwlekać. Jego dłonie przebiegały po szwach jedwabnych pociągach, poszukując gorączkowo gołego, białego ciała, które zdawało się gładkie jak aksamit i całkowicie urzekające.

Mocno pchnął ją na plecy. Jej uda rozchyliły się automatycznie. Przelotnie spojrzał na ciemny włochaty skarb między nimi, tworzący duże wilgotne V. Głęboko wbił się w nią i natychmiast zapomniał o świecie mężczyzn, z ich buciarami, szorstkimi rozkazami, stalowymi potworami i zapachem czającej się śmierci.

Gdy spał wyczerpany, jego jasne, wilgotne, zmierzwiłone włosy kleiły się do czoła, a nieznana kobieta z ogromną czułością głaskała go po karku.

Schwarz bezmyślnie błędził po zaciemnionym mieście. Tłusty policjant w średnim wieku spostrzegł go, gdy chwiejnym krokiem przemierzał ulicę w świetle lamp ulicznych. Znacząco położył rękę na kaburze służbowego pistoletu, lecz gdy zobaczył oficerskie gwiazdki i błyszczące srebrem runy SS, szybko się odwrócił i pospiesznie ruszył w przeciwnym kierunku.

Porucznik człapał dalej. Miasto było znakomicie zaciemnione. Ale za zamkniętymi okiennicami wyczuwał

śmiechy, muzykę i zadowolone głosy. To jeszcze bardziej go zasmuciło * rozrywający serce, cikliwy smutek pijaka, którego nie kocha nikt na całym bożym świecie. Schwarz czuł się pusty.

Nie miał przyjaciół, nawet kolegów, tylko przełożonych i podwładnych. Żadna dziew

czyna go nie kochała, nawet te tanie dziwki, które ustawiały się w szeregu za koszarami. Był kompletnie, całkowicie i nieodwołalnie samotny na tym świecie.

Nagle zorientował się, że stoi przed wysokim budynkiem, który zdawał się być kościołem, ale nim nie był.

Szeroko otwarte drzwi i wyłamane okna, rozbite dwa lata wcześniej, patrzyły na niego ślepych otworami. Jego niespokojny wzrok trafił na swastykę namalowaną na skrzydle drzwi, pod którą znajdował się wyraźny napis: „Żydzi won!”. Wtedy, z uczuciem niesmaku i fascynacji, uświadomił sobie, że ogląda front miejscowej synagogi, która podzieliła los wszystkich hebrajskich miejsc kultu w czasie Kryształowej Nocy w 1938 roku.

(Wielki pogrom Żydów w Niemczech, który miał miejsce w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku. Była to propagandowa odpowiedź na zastrzelenie przez Żyda, Herschela Grynszpana, trzeciego sekretarza ambasady niemieckiej, który * o ironio! * był antyfa* szystą. Cała ta akcja miała być wspierana przez ludzi Heydricha, chociaż Goebbels twierdził, iż była to „spontaniczna demonstracja niezadowolenia ludu niemieckiego".)

Jakiś impuls pchnął go na schody, nadal pokryte potłuczonym szkłem po tej strasznej nocy w Trewirze, gdy samochody przywiozły rozjuszonych esamanów, którzy wypchnęli rabina, mimo że trzymał przed sobą Krzyż Żelazny otrzymany w czasie pierwszej wojny

światowej. Liczył, że odznaczenie ochroni go przed ich gniewem, ale zaprowadziło go tylko na dziedziniec i przedłużyło życie ledwie o dwadzieścia minut. Schwarz nacisnął mocniej na skrzydło drzwi, a te bez oporu ustąpiły, podobnie jak tamtej listopadowej nocy, gdy pełni furii pałkarze z SA wpadli z wrzaskiem do środka, rabowali święte przedmioty, oddawali mocz na miejsca kultu i niszczyli wszystko, co mogli zniszczyć, zachęceni krzykami tłumu zgromadzonego na zewnątrz.

Schwarz kołysał się na stopach, oświetlany jedynie przez gwiazdy, których światło docierało przez dziury w dachu. Szukał na zaśmieconej podłodze kamienia. Gdy go znalazł, rzucił nim w najbliższy mur. Gdzieś w cieniu rozległo się tępe uderzenie.

* Nie jestem Żydem! * zawołał.

Jego głośny protest przeciwko sztuczkom losu doleciał do zakamarków dachu, który stał się królestwem nietoperzy, i powrócił szyderczym echem: „Żydem, Żydem, Żydem!”. Schwarz natychmiast zakrył uszy, aby potworne oskarżenie nie dotarło ponownie do jego umysłu.

W zaciszu sypialni, za zamkniętymi drzwiami, kapitan Geier przerzucał kolekcję zniszczonych zdjęć

przedstawiających nagich mężczyzn. Stary zegar, który odziedziczył po ojcu, odmierzał kolejne minuty jego życia.

OSIEM

* Panowie, wyruszamy. Najpóźniej za dziesięć dni, najwcześniej za tydzień.

Kapitan oparł się plecami o kawaleryjskie siodło, które służyło mu za biurowy fotel, i popatrzył na poważne twarze oficerów. Ten komunikat wywołał spodziewany efekt.

* Dokąd, panie kapitanie? * spytał von Dodenburg.

* Obawiam się, że na razie nie mogę powiedzieć, na wyraźne żądanie dowódcy batalionu, który był dziś rano w sztabie armii z innymi dowódcami. Fuhrer w swojej mądrości przydzielił indywidualne cele każdej jednostce i zostaną one podane w ostatniej chwili. Zgaduję, że w ciągu kilku najbliższych dni.

* Ale panie kapitanie * zaprotestował von Dodenburg * musimy coś wiedzieć. Generał Berger...

* Wiem, co powiedział generał Berger

* przerwał mu Sęp. * My, ze starego korpusu oficerskiego * podkreślił słowo „starego”

* wiemy zbyt dobrze, jakie są jego opinie. Jednak nie mogę podać szczegółów najbliższego zadania. Mogę tylko opisać ogólną sytuację, tak jak nam to wyjaśniał dowódca batalionu.

Podszedł uroczystym krokiem do mapy i stuknął w nią jeździecką trzcinką.

* Front zachodni. Od ponad siedmiu miesięcy ponad milion żołnierzy stoi przed sobą twarzą w twarz na froncie długości pięciuset kilometrów, od granicy szwajcarskiej aż do kanału La Manche, rzadko kiedy do siebie strzelając. W ciągu ostatniego roku, gdy podbijaliśmy Polskę, siły angielskie i francuskie nie wykorzystały okazji, by uderzyć na Wał Zachodni ogołocony z naszych oddziałów. Teraz nadszedł czas, aby armia powiększonych Niemców pokazała wrogowi, jak prowadzi się kampanię.

W zamyśleniu uderzał trzcinką o mapę.

* Tutaj, w Alzacji, jest przełęcz Belfort, klasyczna trasa najazdów znana wszystkim, nawet tym, którzy spali w Bad Tölz na zajęciach z historii wojskowości. Ale przełęcz ta osłaniana jest przez francuską Linie Maginota. Tak samo jak luka w Lotaryngii, w okolicy Verdun i Metz.

Teraz uderzył trzcinką trochę wyżej.

* Ona też jest chroniona przez najlepsze i najmocniejsze francuskie fortyfikacje. To co nam zostało?

Von Dodenburg skinął głową w stronę neutralnej Belgii.

* Przejście w Losheim, między Aachen i Prum.

Sęp spojrział z uznaniem.

* Widzę, poruczniku, że nie spaliście w trakcie zajęć z historii wojskowości * powiedział. * Oczywiście, trzecia klasyczna trasa ataku na północne równiny Francji. Tak, ale jest jedna wielka niedogodność.

Schwarz stuknął obcasami, jakby był kadetem, i warknął.

* Wyjątkowo niekorzystny teren dla działao współczesnej armii. System drogowy nie nadaje się dla zmotoryzowanych jednostek, a cały rejon jest silnie pofałdowany i zalesiony. Oddziały pancerne nie mają tam możliwości działania, a to one z pewnością będą ostrzem naszego natarcia na zachód.

Sęp pokiwał głową z uznaniem.

* Godne niezwyklej pochwały, Schwarz. Jeszcze zrobimy z pana świetnego oficera sztabowego. Paoskie słowa odzwierciedlają opinię niemieckiego sztabu generalnego.

Potem zawahał się na chwilę, a von Do* denburg miał wrażenie, że zauważył cyniczny uśmieszek na brzydkiej, ptasiej twarzy dowódcy.

* Nasz Fuhrer w swojej mądrości zdecydował jednak, że to będzie rejon, w którym zaatakuje większość naszych sił pancernych.

* W Ardenach, panie kapitanie? * spyтали oficerowie jak jeden mąż. * Przecież to niemożliwe!

Podniósł wyżej trzciniową szpicrutę i wcisnął mocniej monokl.

* Panowie, zaskakujecie mnie. Dla naszego wodza nie ma nic niemożliwego.

Von Dodenburg ponownie wyczuł nutę cynizmu.

* Wy, jako narodowosocjalistyczni oficerowie, powinniście to wiedzieć lepiej nawet niż taki apolityczny typ jak ja, który nigdy nie brał udziału w żadnych wyborach. I niech Bóg mi zabroni zrobić kiedykolwiek coś takiego.

Stuknął trzcinką w miejsce na mapie, które należało do krajów depresji nadmorskiej.

* Oczywiście metodą uniknięcia Linii Maginota jest obejście jej przez Belgię, tak jak to zrobiliśmy w 1914

roku. Ale to jest jasne nawet dla sztabowców angielskich i francuskich, którzy przecież słyną z braku inteligencji i przenikliwości. Aby przeciwstawić się naszemu manewrowi, zgromadzą większość swych sił

w Belgii. Innymi słowy, przeciwnik spodziewa się, że uderzymy przez Belgię. Pytanie, które musiał postawić sobie Fuhrer, brzmiało: „Gdzie spodziewają się naszego ataku?”.

Sęp postukał trzcinką w ciemną plamę symbolizującą na mapie Ardeny.

* Zdecydowanie nie tutaj. Dlatego intencją wodza jest wykonanie mylącego uderzenia na prawym skrzydle, by ściągnąć całe siły alianckie do Niderlandów i Belgii. Gdy tylko tak się stanie, jądro naszych sił

pancernych uderzy przez Ardeny. Nasi czołgiści włamią się do Francji tutaj, w Sedanie.

Wskazał na legendarne miasto na granicy francusko* belgijskiej, które było świadkiem wielkiego triumfu Prus w 1870 roku, w czasie wojny francusko* pruskiej, co było początkiem tworzenia niemieckiego państwa narodowego.

* Gdy tylko zdobędziemy Sedan, nasze pancerne szpice skierują się północnym brzegiem Sommy w stronę kanału La Manche.

Znowu na chwilę przerwał, a kiedy podjął przemowę, poprzedni cynizm zniknął i ustąpił miejsca ledwie skrywanemu napięciu i podnieceniu.

* Drodzy panowie, jeśli przeprowadzimy ten manewr, to będzie koniec wojsk francusko* * angielskich i największe zwycięstwo w historii armii niemieckiej. Byd może największe zwycięstwo, jakie odniósł

jakikolwiek naród.

Przez następne czterdzieści osiem godzin trwały ostatnie przygotowania do nadchodzącej kampanii.

Wydawało się, że Batalion Szturmowy Wotan będzie miał co dwie godziny paradę, bo co chwila sprawdzano cały ekwipunek; od książeczek żywności, aby upewnić się, czy każdy żołnierz otrzymał

wymaganą liczbę zastrzyków od służb polowych, do wielkiego, całonocnego przeglądu transporterów opancerzonych, które miały zawieźć ich na pole bitwy.

W trakcie tych nerwowych przygotowań, jakby miała na nich spaść nagła śmierć, niektórzy

musieli zająć się dodatkowo prywatnymi problemami * do nich na przykład należał starszy sierżant Metzger.

Trzy dni po „wieczorze przyjaźni” Rzeź* nik poczuł, że przy oddawaniu moczu piecze go, jakby przypalano mu penisa żywym ogniem. Jakby mu wpychano rozgrzany do czerwoności pręt stalowy. Potem ból minął, a w gorączkowej atmosferze biura kompanii zapomniał o tej przypadłości. Trzy godziny później, czyli o jedenastej rano, wypił zwyczajowe pół litra piwa i poszedł do podoficerskiej latryny, by spokojnie usiąść na „tronie” i poczytać Volkischer Beobachter. Lecz tego szczególnego poranka nie było to miłe przeżycie dla sierżanta Metzgera. Ledwo opuścił w dół nieskazitelnie czyste spodnie polowe i zaczął

sikać, musiał oprzeć się o ścianę z powodu nieznośnego bólu. Pot wystąpił mu kropelkami na purpurową z powodu cierpienia twarz, a mocz zaczął tryskać z niego w pięciu różnych kierunkach.

Rzeźnik był długo w armii i wiedział, co go spotkało. Ale gdzie? Przecież nie od grubej Baśki, dziwki, która często urzędowała za koszarami. Nie był przecież u niej od trzech miesięcy. W tym okresie nie zadawał

się z żadnymi kobietami poza własną żoną. Nie wierzył też, że zaraził się choróbskiem, siedząc w podoficerskim kiblu, bo inni starsi podoficerowie na nic się nie uskarżali.

W takim razie Lora? To niemożliwe! Coś musiało się stać, gdy pił w nocy z całą kompanią. Ale co?

Przypominał sobie jak przez mgłę tylko rozmowę o Żydach z porucznikiem Schwarzem, a potem w jego pamięci była wielka luka.

W południe nie poszedł do domu, chociaż wiedział, że żona ugotowała jego ulubioną kapustę z golonką wieprzową. Starsi podoficerowie z innych kompanii, którzy przedkładali nad obiad napoje alkoholowe w kantynie, robili znaczące uwagi na temat jego obecności w tym miejscu, podczas gdy jego Lora „grzeje mu jedzenie na piecu”. Ignorował ich zbyt zajęty dochodzeniem, co robił tej feralnej nocy, gdy cała kompania oddawała się orgii alkoholowej. Nikt jednak niczego nie wiedział.

Zrezygnowany wrócił do biura kompanii. Nie mógł jednak usiedzieć w spokoju. Co kilka minut biegał do podoficerskiej toalety, ściągał gacie i oglądał obolały członek. Gdy go lekko ścisnął, pokazywały się krople żółtej ropy.

W biurze, gdy tylko zniknął, dwóch pisarzy puszczało do siebie znacząco oko.

* Rzeźnik wdepnął w jakieś gówno * szeptał jeden do drugiego. * On wie, że kooczy się zabawa w koszarach i idziemy na front. Założę się, że kombinuje jakąś wariacką historię, żeby wymigać się od wyjazdu z nami.

W jakimś zakresie rozkaz wymarszu, który * jak wiedział Rzeźnik * leżał już w kompanij

nym sejfie, grał rolę w jego kalkulacjach. Jeśli zamelduje o chorobie, nie pójdzie walczyć razem z batalionem * a był bardzo czuły na punkcie własnego bezpieczeństwa. Ale jeżeli zamelduje, Sęp dopilnuje z pewnością, by był to koniec jego militarnej kariery. A taki podejrzliwy bydlak jak dowódca może nabrać podejrzenia, że zaraził się specjalnie, chcąc uniknąć czekających go niebezpieczeństw. Jeszcze przed koocem dnia wyleci ze stanowiska, zostanie zdegradowany i przeniesiony do szpitala przy więzieniu wojskowym albo nawet skierowany do jednego z tych przerażających batalionów karnych.

Rzeźnik w koocu zdecydował, że musi pójść do lekarza, ale nie do tego batalionowego konowała, który próbował wszystkich leczyd idiotycznymi metodami naturalnymi. Zamiast tego pożyczył kompanijny rower i popedało*wał do niewielkiego miasteczka garnizonowego, aby odwiedzić miejscowego doktora Hansa Friedricha.

Leciwy medyk, który, jak reszta katolickiej populacji miasta, niewiele interesował się SS, choć w latach trzydziestych dwa razy głosował na Hitlera, wysłuchał pokrętnych wyjaśnień starszego sierżanta, po czym krótko polecił:

* Spodnie w dół i chwycid się stołu, byle mocno.

* Dlaczego? * spytał lekko przestraszony Metzger, grzebiąc przy sprzączce paska.

Mały doktor z okularkami na nosie, który w trakcie pierwszej wojny światowej jako młody medyk miał w Stenay do czynienia z dwoma czy trzema setkami wenerycznie chorych żołnierzy, mruknął tylko:

* Zaraz się przekonasz.

Wciągnął gumowy balonik na palec wskazujący i wraził go w odbył Metzgera. Sierżant tylko jęknął z bólu.

* Dlaczego pan to robi?! * warknął. * Przecież problem jest z drugiej strony, doktorze. A nie w moim tyłku!

* Bądź cicho * syknął medyk i wcisnął palec jeszcze głębiej.

Pięć minut później lekarz siedział przy mikroskopie, który stał na stoliku w kącie gabinetu, i badał próbkę pobraną od chorego wojaka. Ten zrezygnowany siedział na krawędzi stołu z opuszczoną głową, jakby cały świat się na niego zawalił. Doktor ponuro spojrział na pacjenta zza złotych oprawek, ledwo kryjąc fałszywe współczucie.

* Oceniając na podstawie pobieżnego badania, obawiam się, drogi sierżancie, że złapałeś rzeżączkę.

* Ale to niemożliwe * zaklinał się Rzeźnik. * Nie spałem z żadną kobietą od sześciu miesięcy, poza...

Tu przerwał nagle, bo dotarła do niego koszmarna prawda czająca się w jego domu. Lekarz tylko wzruszył ramionami.

* Mój drogi chłopcze, mam nadzieję, że jako członek Czarnej Gwardii * dalej już nie mógł powstrzymad śmiechu * czyli reprezentant nowych i lepszych Niemiec, nie wierzysz, że mogłeś mieć kontakt z taką chorobą inaczej niż w trakcie stosunku płciowego!

Rzeźnik nic nie odpowiedział. Kiedy już się wyleczy, obiecał sobie, wbije ten uśmieszek z powrotem w twarz doktora. To jednak nadejdzie później, najpierw musi się wyleczyć.

* Nie, doktorze * odparł z wahaniem. * Oczywiście, że nie.

* To dobrze. A teraz wyciągnij się na plecach na kanapie, która stoi w rogu.

Z gatkami opuszczonymi do kostek Metzger doczłapał do leżanki. Wyglądał teraz absurdalnie * jak małe dziecko, które narobiło w majtki. Doktor pochylił się nad nim z wyciągniętym do przodu kciukiem i palcem wskazującym. Podniósł delikatnie penisa Metzgera, jakby było to coś obrzydliwego, i ściągnął

napletek.

Sierżant z dużą trudnością uniósł głowę i spytał:

* Co ma pan zamiar zrobić, doktorze? Medyk powrócił z tacką pełną instrumentów.

* We Francji żołnierze nazywali to parasolem * powiedział z nieśmiałym uśmiechem na wspomnienie terminu z wojskowego żargonu, którego nie używał od prawie dwudziestu pięciu lat.

* Parasolem? * spytał przerażony Rzeźnik, bo zdał sobie naraz sprawę, co go czeka.

Lekarz podniósł instrument i sierżant zobaczył niewielki chwytak. Medyk lekko go nacisnął i z drugiego końca wyskoczyły niewielkie ostrza. Rzeźnik tylko przełknął ślinę dla dodania sobie odwagi. Pomimo chłodu skóry, którą obita była kanapa, czuł, jak po plecach zaczyna płynąć mu pot.

* To * wybełkotał * ma być... tam?

* Tak, tam!

Lekarz uchwycił pewnie penisa i zaczął wprowadzać cewnik, patrząc z przyjemnością spod złożonych oprawek okularów, jak Rzeźnik drze się w agonialnym bólu.

Sierżant Metzger ledwo kuśtykał, gdy opuszczał miejsce dobrowolnej kaźni. Po zabiegu doktor zapewnił

go, że będzie mógł chodzić i swobodnie oddawać mocz. Ale gdy Rzeźnik zobaczył, że z jego zmaltretowanego organu płynie krew zamiast moczu, natychmiast przerwał przynoszącą ulgę czynność.

Czuł pełny pęcherz, był pewien, iż zaraz wybuchnie. Jednak tylko zagryzł wargi. Już prawie przysięgł sobie, że nigdy się nie wysika, kiedy niemal wpadł na Schulzego.

* Schulze?! * zawołał zaskoczony i zaraz pożałował, że podniósł głos. * Co ty, do diabła, robisz w tym gabinecie lekarskim?

Strzelec stanął sztywno na baczność.

* Mam zamiar odwiedzić doktora!

* Ale dlaczego nie poszedłeś do naszego medyka? * spytał Metzger.

* Żołnierski problem, panie sierżancie * odpowiedział Schulze. * Nie sądzę, aby nasz lekarz sobie z tym poradził.

* Aha * powiedział podoficer bez dalszego zainteresowania. * Nie wiedziałem, że jesteś po ślubie.

A potem głosem, który brzmiał niemal po ludzku, dodał:

* Ale wiem, o co ci chodzi. Żony to nic więcej jak tylko kłopoty.

Pozegnał się z podwładnym lekkim salutem i pozostawił go samego.

* Masz rację, kolego * westchnął Schulze i uśmiechnął się do siebie pomimo odczuwanego bólu. *

Biedna, stara Lora, jak tylko Rzeź* nik wróci do domu, spuści jej takie manto, jakiego w życiu nie miała!

Potem pomyślał o sobie i dla dodania otuchy zaczął gwizdad skoczną melodię.

Dwadzieścia cztery godziny później batalion był gotów do wymarszu. Wokół koszar stała długa kolumna transporterów opancerzonych, załadowanych po brzegi i ukrytych pod drzewami przed wzrokiem pilotów z francuskich samolotów rozpoznawczych. Na

drewnianych pryczach leżeli młodzi ludzie * wyczerpani, ale i zbyt podnieceni, by spad. Czekali na wezwanie, które musiało nadejść lada chwila.

* Panowie * powiedział Sęp, ledwo powstrzymując emocje * mamy w koocu rozkazy. I są one lepsze, niż się spodziewałem. Każdy z was będzie mógł zasłużyć na kawałek orderu, uwierzcie mi!

Oficer podszedł dumnym krokiem, do wielkiego stołu na kozłach i pociągnął za szary koc, który skrywał

kartonowy model jakiejś konstrukcji.

* Eben Emael * oznajmił z triumfem * najtrudniejsza do skruszenia fortyfikacja w Europie, mocniejsza niż wszystko, co mamy na Wale Zachodnim i Linii Maginota.

Oficerowie podeszli bliżej, by ocenić detale kluczowej dla Belgii fortyfikacji, która strzegła połączenia Mozy i Kanału Alberta oraz zagrażała drogę do równin północnej Francji.

* Zgodnie z tym, co donoszą ludzie admirała Canarisa (Odnosi się to do niemieckiego wywiadu * Ab*

wehry kierowanej przez admirała Canarisa.) * kapitan Geier mówił tak, jakby znowu prowadził wykład w Bad Tólz*fort

Eben Emael składa się z podziemnych galerii zbudowanych z żelbetu. Jak głęboko one sięgają, Abwehrze nie udało się ustalić. Jednak wiemy na pewno, że wieże artyleryjskie mają najgrubszy pancerz, jaki zdołano wyprodukować w Liege, i mogą prawdopodobnie wytrzymać ostrzał dział największego

istniejącego kalibru. Zakasłał lekko.

* Ale Belgowie nie wiedzą, że mamy specjalne ładunki burzące. To będzie jednak problem naszych saperów.

* A nasz problem, panie kapitanie? * spytał łagodnie von Dodenburg, patrząc na makietę belgijskiej fortecy, która została gruntownie zmodernizowana w 1935 roku, jakby spodziewano się, że będzie musiała zatrzymać nieprzyjaciela na dłuższy czas.

* Dywizja spadochronowa generała Studenta (7. Dywizja Spadochronowa.) szkoliła przez pół roku specjalny oddział spadochronowy saperów, który ma przeprowadzić początkowe natarcie na Eben Emael

* wyjaśniał Sęp. * Osiemdziesięciu ludzi pod dowództwem kapitana Witziga.

* Osiemdziesięciu ludzi?! * krzyknęli z niedowierzaniem. * Tylko tylu, aby zdobyć takie miejsce? Przecież sam garnizon musi liczyć jakieś dwa tysiące ludzi!

* Dokładnie tysiąc dwustu * powiedział spokojnie Sęp. * Razem z elementami belgijskiej

7. Dywizji Piechoty, czyli Cyclistes Frontiere, i chyba najlepszego oddziału, jaki Belgowie trzymają na granicy * Chasseurs Ardennais, który znajduje się zaraz obok fortyfikacji.

Obrzucił wzrokiem twarze rozgorączkowanych oficerów.

* Ależ panowie... Jestem zaskoczony, że choć na chwilę zwątpiliście w niemiecką pomysłowość. Oprócz ładunków burzących mamy jeszcze jednego asa w rękawie. Kapitan Witzig ma zamiar wylądować w szybowcach na szczycie fortu!

Geier nawet nie próbował ukryć satysfakcji, jaką sprawiło mu zaskoczenie malujące się na twarzach podwładnych.

* Zadaniem tego oddziału będzie trzymanie w szachu całego garnizonu, dopóki nie wyruszymy. Potem połączymy się z nim i zniszczymy całą fortyfikację.

Głos miał tak obojętny, jakby mówił o zwykłym marszu, jaki codziennie dwiczono dla rutyny. Kolejne spojrzenie na makietę groźnych umocnień uświadomiło im, że to nie będzie żaden spacer. Przecież niedaleko Moza krzyżowała się z Kanałem Alberta, tworząc coś, co przypominało średniowieczne fosy zamkowe, a te trzeba będzie pokonać przed wejściem w zasięg ciężkich dział fortecznych, którymi najeżone były pancerne kopuły.

* Wyruszymy z pozycji wyjściowych w Maastricht * kontynuował Geier, stukając

trzcinką w kartonowy model dla podkreślenia wagi słów. * Możemy przekroczyć przez jeden z trzech mostów. Wieś Kanne * tutaj * zostanie zdobyta szturmem przez 1. Kompanię. Następnie 3. Kompania rozpocznie atak na kluczowe stanowiska artyleryjskie, te o numerach 17, 23, 36, 45 i 46. Jak widzicie na modelu, mają one w zasięgu ostrzału całą odległość do rzeki i do kanału. Dopóki pozostają one w rękach Belgów, przekroczenie tych przeszkód wodnych przez nasze wojska będzie niemożliwe. W zasadzie działa te są kluczem do drzwi Belgii i północnej Francji.

Popatrzył na nich poważnie, bez śladu cynizmu, który z reguły go nie opuszczał.

* Poprosiłem dowódcę, aby nasza kompania miała zaszczyt zaatakowania tych stanowisk. Mam nadzieję, że zgodzicie się, panowie, iż działałem w waszym najlepiej pojętym interesie.

Oficerowie stuknęli obcasami, stając na baczność. W imieniu wszystkich przemówił von Dodenburg.

* Jako oficerowie tej kompanii, panie kapitanie, jesteśmy zobowiązani za paoską daleko*
wzroczność To wielki honor dla naszej kompanii i jestem pewien, że zostanie doceniony przez
naszych żołnierzy.

* Dziękuję, poruczniku, jestem pewien, że ma pan rację. Bez wątpienia ludzie odpowiednio docenią
zaszczyt, który ich spotkał. Do

wódca batalionu myślał, że będzie to zbyt duże zadanie dla jednej kompanii, ale zapewniłem go, że
sobie poradzimy. Teraz od panów zależy, czy okażę się kłamcą. Uśmiechnął się lekko.

* Poza tym wiecie, iż chcę wyjść z tej kampanii z insygniami majora!

W odpowiedzi na żadnej twarzy nie pojawił się uśmiech.

* Prostacy * pomyślał z pogardą Sęp. * Ideologiczni prostacy.

Zachował jednak tę myśl dla siebie. W ciągu kilku najbliższych dni będzie ich potrzebował, a kiedy
już zginą, przyjdą następni żararci młodzi idioci, żądni mocy i śmierci w imię idei „Narodu,
Ojczyzny i Fuhrera”. Nim uświadomi im, jak wygląda rzeczywistość, będzie już w stopniu generała.

Prostując się, powiedział:

* Panowie, musicie zdawad sobie sprawę z powagi naszego zadania. Jeśli zawiedziemy, zatrzymamy
całe natarcie Wehrmachtu. W zasadzie można powiedzied, że sukces całej kampanii leży w naszych
rękach.

Mamy na zrealizowanie tej misji dokładnie trzydzieści sześć godzin.

Błyskawicznie rozejrzał się po twarzach zgromadzonych.

* Moi panowie, Heil Hitler! Odpowiedzieli z zapałem, jaki nagromadził

się w ich sercach. Byli typowym produktem

marzeo narodowosocjalistycznych Niemiec. Z głośną bezczelnością, wulgarnością brunatnych koszul
i brutalnością podkutych żołnierskich butów wkrótce złożą wymaganą daninę krwi.

Krótko przed północą 9 maja 1940 roku przez bramę koszar imienia Adolfa Hitlera z chrzęstem
gąsienic przejechała kolumna transporterów opancerzonych. Brukowane ulice zaciemnionego miasta
były całkowicie puste, a metaliczny zgrzyt pojazdów wprawiał w drgania pobliskie budynki. Jednak
nikt nie otworzył okiennic, by sprawdzid, co się dzieje. Zamiast tego prości katoliccy chłopci padali
błagalnie na kolana przed drewnianymi krucyfikсами, które były obowiązkowym wyposażeniem

każdej sypialni.

Czarna Gwardia * batalion szturmowy SS * wyruszyła na wojnę.

KSIĘGA DRUGA

CHRZEST OGNIA

Ma pan zbyt wielkie skrupuły jak na oficera SS! Czy nie zdaje sobie pan sprawy, że za nami stoi cała armia, a za nią osiemdziesięciomilionowy naród? Czy wobec tego ważne lub znaczące jest życie kilku anonimowych cywilów?

Kapitan Geier do Kuna von Dodenburga, 11 maja 1940 roku.

JEDEN

Światło księżyca rozlewało się po bruku granicznej drogi. Słaby różowy poblask rozświetlał widoczne w górze chmury. Porożdżane pola, leżące po obu stronach traktu, wypełnione były długimi cieniami wyczekujących czołgów PzKpfw IV i półgąsienicowych transporterów opancerzonych, które przewoziły żołnierzy batalionu Wotan.

Gdzieś w oddali zagrzechotał, jak zużyta piła tartaczna, przestarzały holenderski karabin maszynowy, białe i czerwone zygzaki pocisków przebiły się przez poranną szarówkę. Ale ostrzał wroga i wizja gwałtownej akcji, która miała wkrótce nastąpić, nie martwiły esesmanów ani trochę. Czekali na przedmieściach holenderskiego Maastricht już od ponad dwóch godzin i czuli się lekko znużeni.

Wydawało się, że minęły wieki od chwili, gdy czarne cienie wielkich szybowców DFS 230, holowane przez trzysilnikowe Junkersy, przewiozły spadochroniarzy w pobliże fortu Eben Emael.

* Śpiesz się, a potem czekaj * skarżyli się leniwie, paląc papierosy i osłaniając dłonią żar przed wzrokiem wroga. * Ciągłe te gierki ze starej armii.

* To Holendrzy nie wiedzą, że wojna już trwa? * mruknął Schulze do von Dodenburga, gdy siedzieli razem w terenowym volkswage* nie i czekali na rozkaz natarcia. * Jeśli to jest wojna totalna...

Przerwał mu hałas silnika motocykla, który zbliżał się wyraźnie w ich stronę, przebijając się przez gęszcz pojazdów zajmujących drogę. Kierowca motocykla rozpoznał ich amfibię i skierował się ku nim. Po chwili zahamował. Pokryty błotem jednośląd poślizgnął się bokiem i przeleciał jakieś pięć metrów. Jeździec zręcznie zeskoczył z siodełka, a maszyna wjechała do przydrożnego rowu.

W mundurze pokrytym błotem, z pokrzwawionym opatrunkiem na czole stanął przed nimi Sęp. W jego oku cały czas tkwił monokl.

Von Dodenburg w pełnej gotowości wyskoczył z samochodu.

* Co się stało, panie kapitanie?

* Nic, nic * sapał dowódca. * Ten mój cholerny kierowca idiota wjechał na minę, i to naszą! Teraz nie żyje, a ja walnąłem głową w słupek.

Pomachał ręką z irytacją.

* Ale jakie to ma znaczenie. Spadochroniarze wylądowali w Eben Emael, ale nie tylu, ilu się spodziewano.

Witzig, ich dowódca, gdzieś zaginął.

Przerwał na chwilę, aby złapać oddech.

* Ciężkie walki.

Z południowego zachodu dochodziło głucho dudnienie ciężkich dział, po czym zaraz pojawiały się geizery wybuchów, jakby potwierdzając jego słowa.

* Panuje wielkie zamieszanie, jak zawsze. Jedno jest tylko pewne: spadochroniarze nie uchwycili wyznaczonych obiektów w Kanne.

* A most, panie kapitanie? * spytał von Do* denburg.

* Przeciwnik wysadził go, nim do niego dotarli. To jest dla nas zła wiadomość, bo na trochę nas zatrzyma.

Nie ma to jednak dużego znaczenia. Dowódca batalionu rozkazał, abym ruszał z 2. Kompanią natychmiast.

Von Dodenburg wskazał na zatłoczoną drogę.

* To niemożliwe, panie kapitanie * powiedział, podnosząc głos, by przekrzyczeć coraz silniejsze odgłosy walk toczących się na granicy. * Nigdy nie przebijemy się przez ten tłok naszymi transporterami.

* Tak pan uważa? Niech pan powie ludziom, aby wsiadali do pojazdów, a ja panu pokażę, jak to się robi!

Gdy silniki z rykiem budziły się do życia, a żołnierze zajmowali miejsca w transporterach, Sęp pospieszył

w stronę najbliższego PzKpfw IV.

* Ty! * krzyknął do siedzącego w wieżyczce pancerniaka w czarnym mundurze, który bezmyślnie palił

papierosa. * Jaki masz stopień?

* Sierżant, na rozkaz!

* Z jakiej jednostki?

* Czwarta pancerna, panie kapitanie!

* Świetnie, od tej chwili jesteś przydzielony do SS.

* Ale panie kapitanie... * próbował protestować podoficer.

* Żadnych „ale”! * uciął dyskusję Sęp, przekrzykując rumor silnika, i wskoczył na wieżyczkę. * Ruszaj na czoło kolumny i oczyść drogę dla moich ludzi!

Sierżant zawahał się przez chwilę, lecz gdy zobaczył runy SS na patkach munduru, przestał się zastanawiać. Szybko zszedł do środka czołgu i wydał krótkie rozkazy. Silnik wozu bojowego lekko zawył.

Gardłowy kaszel, a potem drażniący bębenny ryk wskazywał, że dwustutrzydziestokonny motor był gotów do działania. Chłodne powietrze poranka wypełniło się smrodem spalin.

Sęp zamachał w kierunku transporterów latarką dającą niebieskie światło, a von Doden* burg szturchnął

Schulzego łokciem w żebra.

* Dawaj * krzyknął * widziałeś sygnał. Ruszaj za nim!

Szeregowiec wrzucił pierwszy bieg.

* Zauważyłem! * zawołał, gdy transportery opancerzone zaczęły dudnić i grzechotać na bruku.

Czołg PzKpfw IV posuwał się zgrzytliwie naprzód. Piechurzy z Wehrmachtu pospiesznie odskakiwali na boki. Ze wszystkich stron rozlegały się gniewne i obelżywe okrzyki.

* Co jest?! * wydierał się jakiś oficer. * Co, do diabła, sobie myślicie, że kim jesteście?

Po chwili zauważył błyszczące odznaki esesmanów.

* Tak, tak! * krzyknął z goryczą. * Panowie z SS, no jasne!

Geier wyniosłym ruchem świsnął w powietrzu szpicrutą.

* Tak, panowie z SS jadą na wojnę! Toczyli się naprzód. Po obu stronach drogi

kroczyła żałobna procesja rannych, mozolnie wspieranych przez towarzyszy, którzy pomagali ofiarom dotrzeć do punktów pierwszej pomocy. Nagle przed czołgiem ukazała się kolumna dział ciągniętych przez zaprzęgi konne. Kierowca pojazdu pancernego zdjął instynktownie nogę z gazu. Kapitan Geier odruchowo uderzył szpicrutą dowódcę czołgu.

* Nie zatrzymuj się! * krzyknął w szaleńczym gniewie. * Każ mu jechać dalej!

Trzymając się za piekący policzek, sierżant kopnął kierowcę w ramię, nakazując mu ponownie zwiększyć prędkość. PzKpfw IV wjechał w niczego się niespodziewającą kolumnę artylerii. Furmani i woźnicy klęli na wszystko, gdy ich konne zaprzęgi znalazły się niebezpiecznie blisko głębokich rowów odpływowych.

Gniewne okrzyki znowu rozległy się ze wszystkich stron, a nasiliły się, gdy za czoł

giem pojawiły się półgąsienicowe transportery. Esesmani odpowiadali szyderczo:

* Droga dla Batalionu Szturmowego Wo* tan, wy przekłete koniki polne z piechoty!

Gdy szary brzask zamienił się w brudno* biały poranek, Sęp skierował prowadzący kolumnę czołg na polny trakt. Szybko zbliżali się do rejonu walk. Ponad ciemną ścianą świerków, które z daleka wyglądały jak spiczaste hełmy pruskich grenadierów, pojawiały się kłęby dymu prochowego. Po obu stronach drogi stał porzucony niemiecki i belgijski ekwipunek. Obok bunkra, który padł ofiarą pierwszych salw artyleryjskich i wyglądał, jakby dopadła go ospa, stał płonący niemiecki czołg.

Schulze zaczął przeklinad, gdy musiał objechać wrak płonącego pojazdu pancernego blokującego pół drogi.

* To jak rajd organizowany przez „Siła przez Radość” * powiedział.

(Narodowosocjalistyczna organizacja turystyczna.) * Niemcy, Holandia, a teraz Belgia.

* Jezu, zamknij się, Schulze! * jęknął von Dodenburg, który starał się skupić na pierwszym czołgu. * I uważaj, żebyś nie wylądował w rowie!

Hamburczyk wrzucił wyższy bieg i lekko zwiększył prędkość. Zgadywał, że kapitan chce

poprowadzić kompanię wokół Maastricht i jego zakorkowanych, wąskich ulic. Teraz musieli się zbliżyć do belgijskiej granicy i pierwszej przeszkody wodnej, czyli rzeki Mozy. Zabity belgijski żołnierz i porzucony sprzęt bojowy zdawały się potwierdzać jego przypuszczenia.

Obrzucił czujnym spojrzeniem sosnowe zagajniki rosnące po obu stronach drogi. Jadący za nimi młodzi strzelcy zajęli pozycje i ściskali w napięciu broń. Było to idealne miejsce na zasadzkę, na co wskazywał

palący się czołg.

Nic się jednak nie wydarzyło. Drzewa ustąpiły miejsca otwartym polom, na których rozbłyskiwała poranna rosa. Daleko przed nimi, na horyzoncie pojawiły się zarysy niewielkiej wioski. Nie było nic niepokojącego. Nawet pies nie zaszczekał.

Geier trącił lekko dowódcę czołgu.

* Powiedz kierowcy, by objechał budynki z lewej strony * rozkazał. * Moi ludzie dadzą wam osłonę.

* Ale, panie kapitanie... * zaprotestował sierżant, którego umysł nadal zaprzątnięty był obrazem spalonych ciał czołgistów, leżących na drodze za nimi * ta wioska to idealne miejsce na zasadzkę. Nie podoba mi się tutaj. Myślę...

* Nie płacą wam za myślenie, sierżancie * uciął jego wypowiedź kapitan Geier.

Czołg zatrzymał się na moment, bo dowódca wydawał rozkazy kierowcy, a Sęp zeskoczył

z wieżyczki i pobiegł w kierunku volkswagena von Dodenburga.

* Szybko * zawołał * zabierajcie tego grata z drogi!

Podczas gdy czołg toczył się naprzód jak wielka metalowa kaczka drepcząca do sadzawki, transportery opancerzone rozproszyły się z klekotem po okolicznych polach. Schulze i von Dodenburg patrzyli przez przednią szybę, jak pojazd pancerny zbliża się do wioski. Jego lufa kalibru 75 milimetrów omiatała okolicę niczym łeb przedpotopowego drapieżnika szukającego ofiary.

Schulze odsunął hełm na tył głowy i wytarł mankietem pot z czoła.

* Całe to napięcie nie działa dobrze na moje nerwy, panie poruczniku. Złożę wniosek o powrót do pracy do Hamburga, jak tylko biuro kompanii...

Przerwał w pół zdania, bo od strony wioski rozległ się groźny huk wystrzału. Pierwszy pocisk przerwał

ciszę poranka.

* Do diabła! * zaklął von Dodenburg. * Armata przeciwpancerna!

Jego słowa potwierdziło echo zgrzytu pękającego metalu. Czołg PzKpfw IV zakołysał się i znieruchomiał.

Przez moment wydawało się, że nic więcej się nie stanie. A potem w powietrze gwałtownie wyskoczyła fontanna poma* raoczowózółtych płomieni. Schulze momentalnie rzucił się na ziemię, bo w powietrzu za

częły fruwad rozgrzane do czerwoności odłamki metalu. Kątem oka zauważył jeszcze, że pancerniacy w czarnych, a teraz płonących mundurach, próbują się wydostać z płonącego pudła, chwytając zwęglonymi dłońmi, co się da. Potem szyba osłonowa rozpadła się na kawałki i nic już nie mógł zobaczyć.

* Tak jak myślałem * powiedział Sęp do skulonych w rowie ludzi chroniących się przed chaotycznym ostrzałem holenderskich karabinów maszynowych.

Von Dodenburg spojrział zdziwiony na dowódcę.

* Wiedział pan, że wioska jest broniona? I poświęcił pan czołg?

Sęp obojętnie wzruszył ramionami.

* Co znaczy jeden czołg? Banda głupców, która poszła do wojsk pancernych, bo myśleli, że łatwiej będzie przetrwać tam niż w piechocie. Teraz odrobili lekcje * zaśmiał się * tyle tylko, że trochę za późno.

Nagle zmienił przedmiot rozmowy.

* Zgodnie z tym, co jest na mapie, Moza powinna płynąć po drugiej stronie wioski. Prawdopodobnie za tym nasypem. Jeśli przebijemy się przez motłoch, który broni wioski, za godzinę dotrzemy do rzeki i znajdziemy się na czele batalionu.

Kuno von Dodenburg miał zamiar wspomnieć, że ten „motłoch” broniący się w budynkach wokół kościoła może sprawić dużo kłopotu nawet całej kompanii SS. Zamiast tego z uwagą wsłuchiwał się w zarys planu Sępa.

* Zamkniemy ich w kleszczach. Pan weźmie lewą kolumnę transporterów, a ja prawą. Uderzy pan prosto na nich wszystkim, co pan ma, i ich załatwimy! I niech pan pamięta * nie zważaj na straty! Musimy przebić się do rzeki. Rozumie pan?

Kuno natychmiast pojął, że dowódca jest w stanie poświęcić wszystkich swoich ludzi, by osiągnąć upragniony cel. Spojrzał w oczy Geiera, które były zupełnie pozbawione emocji, puste. Chwilę potem biegł szalonymi zygzakami, kryjąc się za transporterami, a smutki wrogich pocisków dosłownie deptały mu po piętach.

Pierwszy transporter został trafiony i momentalnie się zatrzymał. Za nim rozciągała się długa gąsienica, która wyglądała jak urwana kooczyzna. Następny pojazd dostał w zbiornik z paliwem. Natychmiast stanął

w płomieniach, eksplodująca amunicja latała we wszystkie strony pod przedziwnymi kątami. Załoga w szaleoczym strachu wyskakiwała ze stalowej trumny, pozostawiając w środku zabitych i umierających.

W powietrzu przeleciał wysokim łukiem granat i wylądował z tyłu transportera von Do* denburga, wypełnionego żołnierzami.

* Padnij! * ryknął Schulze.

Nastąpiła eksplozja, groźne odłamki z sykiem przecięły powietrze. Leżący obok von Dodenburga kierowca zaklął i złapał się za ramię. Między mocno zaciśniętymi palcami pokazała się krew. Głowa rannego opadła, Schulze nie zdołał złapać kierownicy i pojazd z chrzęstem wjechał do rowu. Rozległ się zgrzyt łamanej osi.

* Wynosid się! * rozkazał porucznik.

Ci, którzy przeżyli, nie potrzebowali zachęty. Podczas gdy von Dodenburg pospiesznie demontował karabin maszynowy umocowany nad kabiną kierowcy, reszta żołnierzy kryła się za metalowymi płytami pojazdu, szukając ochrony przed śmiertelnościami pociskami.

* Nie zostawiajcie mnie! * krzyczał ktoś z tyłu pojazdu.

Był to paskudnie ranny chłopak, który rękami przytrzymywał rozerwany brzuch. Próbował wdrapać się na górę, ale gdy tylko oderwał dłonie od ran, natychmiast wypłynęły wnętrzności. Chłopak

spojrzał w dół

i padł martwy na burtę transportera.

Schulze czuł się tak, jakby wypłynęła z niego cała energia. Ten zabity był nieszczęśnikiem, któremu pomagał przeskoczyć drewnianą ścianę na torze przeszkód. A teraz, dziesięć minut po wejściu do akcji, był już martwy. Wszystko na nic.

* Schulze, na miłość boską! Wyłaź z tego pudła, zanim wyleci w powietrze! * darł się na

niego von Dodenburg, wypychając go z rozwalonej szoferki. Gęsty oleisty dym zaczął wypływać z silnika.

* Za mną! * von Dodenburg starał się przekrzyknąć huk bitewny.

Położył rozcapierzoną dłoń na czubku hełmu * co wśród piechoty oznaczało „biegiem do mnie”. Nie sprawdzając nawet, czy wezwanie zadziało, pomknął naprzód, w trakcie biegu strzelał z biodra.

Żołnierze ruszyli za nim bezładnymi grupkami.

Żołnierz w hełmie w kształcie kosza na węgiel, z twarzą wykrzywioną strachem, wyskoczył z tyłu, zza sterty kieszonki. W dłoni trzymał granat.

Porucznik szybko skierował w jego stronę broń maszynową i pociski kalibru 9 milimetrów dosłownie rozerwały pierś nieszczęśnika. Człowiek padł na twarz jak długi, a granat wysunął się z bezwładnej dłoni.

Kolejny wróg wyskoczył z okopu z ręcznie zamaskowanego zielonym nawozem. W rękę trzymał wielki pistolet. Schulze kopnął go szpicem buta prosto w głowę. Wojak zwinął się i osunął z jękiem na ziemię.

Jego twarz przypominała krwawą miazgę.

Ruszyli dalej. Dymiący transporter tarasował drogę, zabici esesmani leżeli wszędzie tam, gdzie zaskoczyła ich śmierć. Porucznik przeskoczył przez ciało żołnierza, któremu nogi urwała seria z karabinu maszynowego oddana z najbliższej odległości.

Dwóch żołnierzy wroga próbowało pod osłoną dymu zdemontować z płonącego transportera wiekowy karabin maszynowy Hotch* kissa. Ich spocone twarze pochylone były nad stojakiem broni. W ostatniej chwili zauważyli nadciągających esesmanów. Przez chwilę na ich przestraszonych twarzach malowało się niezdecydowanie * walczyć czy uciekać?

Nagle wyższy z nich porzucił lufę cekaemu i zaczął biec. Za późno! Strzelec z SS posłał mu w plecy całą serię pocisków. Żołnierz wyrzucił ręce do góry, jakby błagał niebiosa o pomoc, i padł bez jęku na ziemię.

Drugi z mężczyzn podniósł dłonie w geście kapitulacji. Ale esesmani nawet się nie zatrzymali.

Bawarczyk z koślawymi nogami, który w czasie dwiczeo z czołgiem zsiął się ze strachu w portki, oddał tylko jeden strzał, a poddający się żołnierz upadł na kolana z niedowierzaniem.

Znaleźli się w płonącej wiosce. Porozbijane okna domostw stojących po obu stronach wyłożonej kocimi łbami uliczki były stanowiskami strzelających do nich nieprzyjaciół. Żołnierze Wotana szukali osłony i zza narożników budynków otwierali ogieo w stronę wrogów. Trafiani przeciwnicy wypadali z okien bezwładnie jak szmaciane lalki.

Gdy esesmani biegli w stronę środka wioski, drogę zabiegł im wielki flamandzki koo pociągowy, który wyrwał się ze stajni. Ze spie

nionego pyska zwierzęcia wydobywał się kwik przerażenia wywołanego morzem płomieni. Za rumakiem pojawił się ogromny czerwony wół, który zahaczył o pług i przewrócił go, jakby był ze słomy.

* Uwaga na zwierzaki, panie poruczniku! * krzyczał Schulze, zwijając dłonie w trąbkę.

Stracił gdzieś pistolet maszynowy i całym jego uzbrojeniem były granaty trzonkowe wciśnięte za pas i cholewki butów.

* Niech pan biegnie za zwierzętami!

Von Dodenburg od razu się zorientował, o co chodzi. Ruszył za przestraszonym bydłem, przed którym rozstępowały się szeregi obrooców. Nim ci ostatni zorientowali się, że pomiędzy zwierzętami znajdują się esesmani, zostali zalani powodzią ołowiu. Zaskoczenie było całkowite, wróg się cofał. Żołnierze rzucali broo i uciekali w panice. Cała obrona się załamała.

Bezbronni obroocy zaczęli szukać schronienia, a Niemców ogarnęła żądza mordy. Posyłali serię za serią w kierunku uciekających przeciwników. Jakaś grupa zablokowała od środka drzwi wejściowe do jednego z budynków. Strzelcy bez litości ostrzelali bronią karabinową drewniane ściany. Dla większej skuteczności Schulze rzucił w okno wysokim lobem granat trzonkowy. Ten eksplodował z przytłumionym hukiem. Z wnętrza doszło jeszcze żalosne skamlenie, a potem zaległa cisza. Przez

rozerwane drzwi wytoczyła się głowa w hełmie. W koocu zatrzymała się u stóp Schulzego. Hamburczyk tylko przełknął ślinę i pospiesznie się oddalił. Skooczył się krótki moment rzezi i chaosu.

Palba karabinowa powoli cichła, aż wreszcie umilkła. Zmęczeni i pozbawieni energii żołnierze siadali przy murach pokancerowa* nych pociskami, łapali oddech, jakby brali udział w wielkim wyścigu. Oczy błyszczały im z podniecenia, a kooczyny nerwowo drgały. Kuno von Dodenburg zmienił odruchowo magazynek w pistolecie maszynowym. W trakcie tej czynności odkrył, że ma pogryzione do krwi wargi, i ostatnim wysiłkiem woli opanował drżenie rąk. Wiedział, iż są to typowe reakcje po walce. Wkrótce kilku jego ludzi zaczęło płakać bez wyraźnej przyczyny, inni trzęśli się, jakby dopadła ich tropikalna gorączka.

Tylko Sęp, który pojawił się znikąd, przesłuchiwał grubego Holendra z obrony cywilnej spokojnie,

jakby w ogóle nic się nie stało, i wymachiwał lekko szpicrutą.

* Znalazłem to zjawisko w stodole * wyjaśniał * z tym tłustym holenderskim dupskiem wystającym tak wysoko ze sterty słomy, że można je było zobaczyć z odległości kilometra.

Holender był wielkim chłopiskiem z różową, dobrze odżywioną twarzą i sztywnymi, nawoskowanymi wąsami i bokobrodami, jakie nosili podoficerowie w czasie pierwszej wojny światowej.

Wielka plama moczu na spodniach pokazywała, jakim był tchórzem.

* Obsikał się! * stwierdził pogardliwie Schulze. * Jeszcze jeden bohater w mundurze.

* Zamknij się! * warknął krótko Sęp. * Nasz przyjaciel ma dla nas kilka użytecznych informacji. Prawda mijnheer!

Klepnął grubasa w krzyże dla podkreślenia własnych słów.

* Ja, ja mijnheer * wysapał ochoczo jeniec. * Wieża, wieża kościoła.

Potem dodał gardłowym niemieckim:

* Zobaczycie.

* Pan pozwoli, von Dodenburg, i pan też, Schwarz * Sęp zwrócił się do wychodzącego z ciemności młodego porucznika, który twarz miał pokrytą błotem i spalonym prochem oraz rozdartą nogawkę spodni u lewej nogi. Szybko ruszyli w stronę kościoła, prowadzeni przez grubego Holendra, którego Geier poganiał niczym knura prowadzonego na targ. Wokół nich siedzieli młodzi ludzie z batalionu Wotan, którzy powoli odzyskiwali siły i poznawali smak zwycięstwa, zganiając w jedno miejsce przestraszonych cywilów.

Pojawił się też starszy sierżant Metzger, w nienagannie czystym mundurze. Jedynym znakiem, że brał udział w walce, był pistolet maszynowy przewieszony przez szeroką pierś.

Stuknął obcasami i zameldował się, jakby nadal znajdował się w koszarach imienia Adolfa Hitlera.

* Dwadzieścia ofiar, panie kapitanie! Ośmiu zabitych, dwunastu rannych, w tym siedmiu ciężko!

Geier machnął przyzwalająco ręką i zniżył głos:

* Zobaczcie, co możemy zrobić z rannymi. Będziemy potrzebowad każdego człowieka przy forsowaniu rzeki.

* Tak jest, panie kapitanie * odpowiedział pospiesznie Rzeźnik i wyprostował ramiona wzdłuż tułowia, ustawiając broo dokładnie pod kątem prostym do ciała, tak jak na filmach szkoleniowych.

Kapitan potrząsnął głową.

* Nic dziwnego, że ci przekłeci cywile mówią o żołnierzach „tępe łby”.

Dał kuksaoca Holendrowi.

* Chodźmy, nie tracmy czasu. Liczy się każda minuta.

Schwarz kopnięciem otworzył drzwi do świątyni. Powitało ich chłodne powietrze przesiąknięte zapachem starego kadzidła i niemytych ciał rolników. Na podłodze leżał zabity żołnierz. W ręku nadal trzymał karabin, a otwarte oczy patrzyły obojętnie w sufit. Holender przeszedł ostrożnie nad zabitym.

Schwarz natomiast kopnął złośliwie nieboszczyka w żebra.

* Ten bękart zastrzelił jednego z moich ludzi * wyjaśnił * nim ściągnęliśmy go z iglicy.

* Oszczędzaj energię, mój drogi Schwarz

* powiedział z widocznym cynizmem dowódca * przede wszystkim dla żywych. Nie ma sensu tracić jej dla zmarłych, niech mi pan wierzy!

Potem odwrócił się do przestraszonego Holendra, który nie odrywał wzroku od zabitego rodaka.

* No, mijnheer, gdzie jest najlepsze miejsce widokowe?

Holender wskazał palcem do góry.

* Na wieży, panie oficerze * wystękał

* stamtąd widad najlepiej.

Von Dodenburg zrobił krok naprzód, ale Sęp natychmiast położył szpicrutę na piersi oficera.

* Nie, drogi poruczniku, jest pan zbyt dobrym oficerem, by pana tutaj stracić. Niech nasz Holender stanowi pierwszy cel do ostrzelania. Jest na tyle gruby, że osłoni nas wszystkich.

Na szczęście platforma przy dzwonie była pusta, poza kilkoma białawymi gołębiami, które odleciały, jak tylko unieśli opuszczoną klapę między kondygnacjami i wdrapali się na górę.

Ostrożnie, jeden za drugim przechodzili przez otwór w stropie. Tylko gruby Holender miał kłopoty z przecięciem się, ale jego do góry wepchnął Sęp z siłą zadziwiającą u tak wątego człowieka. Potem kapitan rozejrzał się

po linii horyzontu. Wschodzące słońce było cały czas za ich plecami, dzięki czemu mogli użyć lornetek bez obawy, że refleksy odbitego światła zdradzą ich pozycję. Ze Schwarzem i von Dodenburgiem po bokach Sęp podczoł* gał się i wychylił za krawędź platformy, by przyjrzed się

dokładniej okolicy. Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, na tle ciemnozielonych pól, widać się srebrzysta wstęga cicho płynącej wody. Ge*

ier popatrzył triumfalnie w tamtą stronę.

* Panowie, rzeka Moza. Dotarliśmy do celu numer jeden!

Podczas gdy Holender kulił się ze strachu, oficerowie nastavili ostrość lornetek i ocenili koryto rzeki.

Schwarz pierwszy zauważył kilka łodzi, które cumowały przy bliższym brzegu rzeki, trochę poniżej wioski.

* Niech pan spojrzy, kapitanie, sześć łodzi! Wystarczy, aby przeprowid za jednym razem pół kompanii.

Zanim Geier zdążył potwierdzić to odkrycie, von Dodenburg przerwał im chwilę radości.

* Tak, ale ta pozycja na pewno znajduje się w polu ostrzału piechoty wroga. Widzi pan to, kapitanie? Na godzinie dziesiątej * dwa oddziały piechoty, tam, między krzakami. Wygląda na to, że mają karabiny maszynowe. Przecież to oczywiste, że wiedzą o tym punkcie przeprowowym i przygotowali niespodziankę dla tego, kto spróbuje tędy forsować rzekę.

Z dołu dotarły do nich okrzyki sierżanta Metzgera, który próbował ustawić w szeregu schwytanych mieszkańców wioski. Wydawał rozkazy łamanym niemieckim, który według niego stawał się tym bardziej zrozumiały dla jeoców, im bardziej krzyczał i wspomagał rozkazy seriami celnie wymierzonych kopniaków.

* Idiota * chrząknął Sęp. * Dlaczego nie zamknie tego głupiego pyska? Nie mogę myśleć, jak on tak ryczy!

Schwarz już wychylał się przez parapet muru, aby przekazać sierżantowi skargi dowódcy, ale nagle zmienił zamiar i odwrócił się.

* Mam pomysł, panie kapitanie. Tamci ludzie okopani w krzakach to na pewno Belgowie, którzy mówią tym samym językiem co nasi wieśniacy. Może mają nawet wśród nich swoje dziewczyny. Wie pan, jacy są żołnierze * dla nich granica to tylko szerokość rzeki.

* Co panu przyszło do głowy?

* Panie kapitanie, pytanie brzmi, czy będą strzelali do wieśniaków?

Szybko wyjaśnił swój plan.

* Świetnie * stwierdził Sęp * znakomity pomysł, Schwarz!

Z entuzjazmem klepnął podwładnego w plecy.

* Na pewno się powiedzie!

* Ale, panie kapitanie * próbował protestować von Dodenburg * to są cywile. Pan nie może...

Przerwał, bo nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, by wyrazić oburzenie.

Sęp obrzucił go lodowatym spojrzeniem.

* Ma pan zbyt wielkie skrupuły jak na oficera SS! Czy nie zdaje sobie pan sprawy, że za nami stoi cała armia, a za nią osiemdziesiąt* milionowy naród? Czy wobec tego faktu ważne lub znaczące jest życie kilku anonimowych cywilów?

Nie pozwolił, aby tracili czas na kolejne protesty.

* Chodźcie! * rzucił krótko. * Czas ucieka!

Wstał z podłogi i chwilę potem jego podkute buty dzwoniły o kamienne schody wieży kościelnej. Za nimi, wysoko na horyzoncie, świeciło słońce, krwistoczerwone i groźne, zapowiedź nadchodzącego rozlewu krwi.

Złowieszczą ciszą zawisła nad szerokim rozlewiskiem rzeki. Niemcy z groźnymi minami prowadzili przerażonych mieszkańców wioski w stronę łodzi. Na początku gruby holenderski sierżant pomagał im.

Twierdził, że jako członek Holenderskiej Partii Faszystowskiej „sympatyzuje z niemiecką sprawą”. Ale gdy w końcu sobie uświadomił, że ma iść z resztą mieszkańców, padł na kolana w muł na brzegu Mozy, złożył

błagalnie ręce i zebrał ze łzami w oczach, aby zostawiono go w spokoju. Wysoki, kościsty chłopak, który nie wyglądał na więcej niż szesnaście lat, splunął z pogardą i powiedział czystą niemiecką:

* Ależ sobie znaleźliście towarzysza do pomocy!

Schwarz bez zastanowienia uderzył go na odlew w twarz.

* Zamknij ten brudny pysk! * wydarł się. Wystraszeni cywile zaczęli wchodzić do

łódek i chwytali za wiosła. Za nimi podążyło kilku esesmanów, bo wiedzieli, że między wieśniakami będą bezpieczni. Geier rozstawił

pozostałe pół kompanii wzdłuż brzegu, zabezpieczając w ten sposób punkt przeprawowy, a potem spojrzął na von Dodenburga.

* Wszystko w porządku? * spytał.

* Tak jest, panie kapitanie * odpowiedział porucznik.

Miał trochę zduszony głos, skrupuły nie dawały mu spokoju. Starał się ich nie słuchać. Kiedy miną lata i przypomni sobie o nich, będzie już za późno.

* Dobrze. Rusza pan z nimi. Porucznik szybko rzucił kilka komend. Pierwsza łódź odbiła od brzegu.

Sześciu

esesmanów, z butami obwiązany wokół szyj i z bronią uniesioną wysoko nad głową, trzymało się burt łódki.

Jedna za drugą łodzie odrywały się od brzegu, aż pół niemieckiej kompanii znalazło się w wodzie.

Prawym skrzydłem dowodził von Dodenburg, a lewym Schwarz, twórca całego planu. Na razie panowała cisza, rozlegał się jedynie zgrzyt zardzewiałych dulek wiosła, które wprawiali w ruch zniewoleni wieśniacy. Z dala dochodziło basowe dudnienie artylerii * nieodzowne tło dźwiękowe każdej wojny.

Von Dodenburg płynął z łatwością, wbijając wzrok w przeciwległy brzeg rzeki. Na razie wszystko przebiegało spokojnie. Może plan Schwarza wypali bez konieczności większej masakry? Byli już w połowie szerokości rzeki i mogli dokładnie rozpoznać wszystkie szcze

góły zbliżającego się do nich lądu * linię mokrego mułu, zwoje zardzewiałego drutu kolczastego i napięcie na twarzach zdumionych żołnierzy zgromadzonych na brzegu i obserwujących cudaczną inwazję.

Nagle czerwona raca wystrzeliła w niebo i na chwilę zawisła nad rzeką. Gdy z sykiem wpadła do wody, z nadbrzeżnej trawy wyłonił się belgijski oficer w błyszczących butach do konnej jazdy, przyłożył dłonie do ust i zakrzyknął:

* Terug!

Wieśniacy momentalnie przestali wiosłować.

* To major! * zagulgotał gruby holenderski sierżant. * Będą strzelać! Błagam, zawracajmy!

* Dalej! * zawołał von Dodenburg. * Pilnujcie, by ludzie wiosłowali!

Żołnierze w łódkach nie potrzebowali zachęty. Każdy zyskany metr zbliżał ich do zbawczego lądu i bezpieczeństwa. Wbili mocniej lufy karabinów w plecy przerażonych kobiet i mężczyzn. Łodzie ponownie ruszyły do przodu.

Porucznik wyraźnie widział straszliwą rozterkę, która odbijała się na twarzy belgijskiego oficera. Czy powinien kazać otworzyć swoim ludziom ogień i uniemożliwić Niemcom forsowanie rzeki? A

może powinien ocalid cywilów i poświęcid znakomitą pozycję obronną?

* Zawracajcie! * krzyczał zdesperowany Belg.

* Kaźcie im wiosłowad * ostrzegał von Do* denburg, wiedząc, że w ten sposób skazuje niewinnych wiosłarzy na śmierd.

W czołowej łodzi dwóch esesmanów prężyło się do skoku na brzeg. Porucznik widział wyraźnie, jak krzywonogi Bawarczyk, który z zimną krwią zastrzelił holenderskiego żołnierza z obsługi karabinu maszynowego, przygotowywał do strzału pistolet maszynowy. Teraz znajdowali się dziesięd metrów od belgijskiego oficera. Prawie im się udało.

Nagle jasnowłosy chłopak, którego spolicz* kował Schwarz, poderwał się na równe nogi.

* Strzelajcie! * zawołał po holendersku. * Wystrzelajcie tych bydlaków!

Jego krzyk przerwał zakłętą ciszę. Belgijski oficer padł na ziemię, gdy tylko wystrzelił karabin maszynowy.

Pierwszy pocisk trafił chłopaka w pierś i rzucił go na dno łodzi. Stojący za nim Bawarczyk podniósł do góry pistolet maszynowy. Kolejny pocisk trafił go prosto w twarz. Krzycząc w agonii, zwałił się za burtę.

* Do ataku! * wołał rozpaczliwie von Do* denburg. * Atakowad, na miłość boską!

Chwycił Schulzega, wypchnął go na brzeg i skoczył za nim. Rozgrzany ołów z sykiem przecinał ciemną wodę, lecz esesmani już kryli się za zbawienną stromizną brzegu, a karabin maszynowy skierowany w stronę łodzi czynił strasliwą rzeź wśród cywilów.

Schulze rzucił się naprzód, w stronę belgijskich pozycji, uzbrojony tylko w saperkę. Usta miał szeroko otwarte i miotał strasliwe obelgi. Rzucił się samotnie na Belgów. Wielki przeciwnik o ogorzalej od wiatru twarzy rolnika zagroził mu drogę. Hamburczyk z całej siły ciął w dół ostrzem narzędzia. Ostra krawędź

zahaczyła o twarz Belga, który zakwi* czał jak zarzynana świnia. Na saperce pozostał spory kawał policzka. Ranny żołnierz dosłownie topił się we własnej krwi.

Na von Dodenburga natarł belgijski oficer. Złapali się za ramiona i mocowali jak zapaśnicy. Niemiec zręcznym uderzeniem kolana trafił przeciwnika w podbrzusze. Ten cofnął się o krok tylko po to, by otrzymad nokautujące uderzenie w splot słoneczny. Porucznik wyrwał pistolet z kabury i strzelił w Belga.

Na tak krótkim dystansie pocisk odrzucił go o dobre dwa metry.

Kolejny wrogi żołnierz, bez hełmu, skoczył na plecy Kuna. Bagnet, który trzymał jak sztylet, zbliżył się niebezpiecznie do skórzanego paska raportówki na ramieniu porucznika. Ten przetoczył się na

plecy, pociągając za sobą przeciwnika. W ponurym milczeniu walczyli w wysokiej trawie. Belg pchnął ponownie z całej siły. Von Dodenburg w ostatniej chwili przekręcił się na bok i ostrze głęboko wbiło się w ziemię.

Jego przeciwnik zaklął po flamandzku i próbował wyrwać bagnet. Wskoczył na

niego Schulze, podniósł wysoko okrwawioną saperkę i z całej siły uderzył Flamanda w głowę. Wróg padł

martwy z czaszką roztrzaskaną na dwie części.

Walka wręcz jak gwałtownie się zaczęła, tak szybko ustała. Belgowie uciekali w stronę pól rozciągających się za rzeką, porzucając w popłochu broń, aby ułatwić sobie ucieczkę. Kilku esesmanów posyłało w ich stronę pociski za pociskiem.

Druga kompania Batalionu SS Wotan przekroczyła Mozę, pierwszą wielką przeszkodę na drodze do chwały. Kosztowało ją to dwóch zabitych i czterech lekko rannych. Rzeką za nimi pełna była ciał zabitych cywilów.

* Znakomicie, znakomicie * zachichotał Sęp, gdy tylko wysiadł z łódki. * Imponujące osiągnięcie. Będzie dla pana kawałek blachy, von Dodenburg, i dla pana też, Schwarz, choć nie dla tych nieszczęśników, którzy tam pływają.

Wskazał na ofiary własnej przedsiębiorczości.

* Obawiam się, że to nie będzie ładnie wyglądać w liście pochwalnym.

Potem rzucił okiem na pomordowanych żołnierzy wroga, którzy leżeli rozciągnięci w krwawym gąszczu okopów.

* Kiepski ekwipunek * komentował. * Patrzcie, mieli nawet starego vickersa z 1916 roku, chłodzonego wodą. Myślałem, że taki sprzęt stoi już tylko w muzeum.

Potem przeszedł ostrożnie nad ciałem zabitego oficera, którego mundur miał wypatroszone kieszenie.

Ktoś najwyraźniej zatroszczył się o ich zawartość.

* Lepiej dla nich, gdyby zostali na swoich stanowiskach, prawda?

Tylko Schwarz miał ochotę coś odpowiedzieć.

* Kiepski gatunek * powiedział z przydechem, jakby nadal miał kłopoty ze złapaniem tchu. * Oczywiście rasowo.

* No właśnie * potwierdził na odczepnego kapitan, porzucając zabitych i teorie rasowe Schwarza.

Spojrzał na zegarek i oznajmił:

* Pozostało nam dokładnie dwadzieścia pięć godzin. Dokonaliśmy imponująco dużo, więc gratuluję wam! Ale to już historia. Przed kolejnym wschodem słońca musimy być w wiosce Kanne. Możliwe, że spadochroniarze już przekroczyli Kanał Alberta. Jednak wydaje mi się, że raczej im się to nie udało.

Przecież znacie moją opinię o Luftwaffe.

(W III Rzeszy jednostki spadochronowe tworzone były pierwotnie zarówno w Luftwaffe, jak i w Wehr*

machie. Gdy znalazły się pod dowództwem generała Studenta z Luftwaffe, zaczęły podlegać operacyjnie tej formacji, chociaż pochodziły z Wehrmachtu.)

* Myśli pan, że będziemy musieli na siłę forsować Kanał Alberta? * spytał Fick.

Z ramienia, na które miał założony prowizoryczny opatrunek polowy, nadal kapała krew.

* Tak, obawiam się, że król Leopold nie wyśle nam na pomoc swego jachtu * powiedział Geier ze zwykłym sobie sarkazmem.

* Ale nie martwmy się na zapas. Naszym pierwszym problemem jest Kanne. Fick, zostanie pan z Kaufmannem i będzie pan pilnował przeprawy.

Kaufmann nadal przebywał na drugim brzegu rzeki, próbując połączyć się z majorem Hartmannem i poinformować go o wspaniałym osiągnięciu.

Fick wydał policzki, lecz ramię bolało go jak cholera, więc nawet specjalnie nie protestował.

* Pan, Schwarz * kontynuował Sęp * podejdzie ze swymi ludźmi do wioski od południa

* zwrócił się w stronę von Dodenburga. * A pan od północy. Ja, z połową plutonu, pójdę w rezerwie. Jeśli którykolwiek z was dokona przełamania, natychmiast wyśle do mnie gooca. Wtedy natrzemy całą kompanią. Poza tym pamiętajcie o starej pruskiej zasadzie: „Uderzad, a nie klepad”.

W tym momencie zauważył na twarzy Schwarza dramatyczne ożywienie.

* Mój drogi Schwarz, niech pan porzuci te teatralne pozy. Wkrótce wyleczymy paoski ból

gardła jakimś środkiem. Myślę, że już pan zarobił na Krzyż Żelazny I klasy. Liczę na paoskie zadowolenie i na to, że będzie pan oszczędzał ludzi. Będzie nam potrzebny każdy z nich.

Oczy fanatycznego porucznika rozbłysły nadzieją spodziewanej nagrody.

* Tak pan myśli, panie kapitanie?

* Oczywiście, zawsze mówię, co myślę. Dostanie pan swój kawałek blaszki w odpowiednim czasie, oczywiście, jeśli pan przeżyje * Geier dodał na otrzeźwienie.

Na twarzy porucznika nie było widad, czy ostatnie zdanie dotarło do jego świadomości. Spojrzenie Schwarza zdradzało tylko determinację, aby wykonać rozkazy dowódcy, wspieraną obietnicą dekoracji znaczącym odznaczeniem.

* Co za głupi idiota * pomyślał Sęp. * Dla kawałka blachy wartego dziesięć marek poszedłby na księżyc i z powrotem.

Ale nigdy nie wypowiadał głośno swoich myśli. Skoncentrował się ponownie na kwestii militarnej.

* No, dośd tego panowie. Życzę miękkiego lądowania.

* Czy można coś dla niego zrobid? * von Dodenburg spytał Schulzego pochylonego nad holenderskim chłopcem wyłowionym z rzeki.

Szeregowiec nie od razu odpowiedział. Był zajęty ściągnięciem przesiąkniętej krwią koszuli, którą miał na sobie ranny. Starał się to robid, nie powodując nadmiernego bólu. Jak na tak wielkiego faceta miał

zaskakująco sprawne ręce. Chłopak wciąż jęczał. Jego oddech stawał się coraz krótszy, mrugał

niespokojnie oczami zamglonymi łzami bólu. Jego odsłonięta klatka piersiowa przypominała krwawą masę. Przez dziurę w piersi, którą zostawiła pierwsza kula z karabinu maszynowego, na błyszczącej czerwieni mogli zobaczyd coś białego, co dziwnie drgało.

* Płuca * wyszeptał Schulze.

Chłopak musiał usłyszęd to słowo i je zrozumied.

* Płuca * powiedział wątlým głosem. * A jednak Belgowie potrafią lepiej strzelad niż wy, niemieckie bydlaki.

Głowa mu opadła, jakby pogodził się z losem, jakby wiedział, że nikt i nic już mu nie pomoże.

Schulze powoli podniósł się z ziemi. Wytarł mokre dłonie o nogawki spodni.

* Odważny gówniarz * powiedział do siebie.

Po chwili zwrócił się do von Dodenburga.

* Co z nim zrobimy, poruczniku? Oficer spojrział na umierającego chłopca.

* Weź broo i dołącz do reszty ludzi. Wskazał ręką na oczekujący oddział, nie odrywając wzroku od leżącego rannego.

Schulze niechętnie wykonał polecenie, kilkakrotnie rzucając przez ramię zdziwione spojrzenia. Rzeźnik wykrzyczał szczekliwie jakiś rozkaz i część kompanii zaczęła mozolnie wspinać się po skarpie nadrzecznej, w kierunku najbliższej wioski. Schulze oddychał z wysiłkiem. Rozciągające się przed nim szeroko zielone pola drgały lekko pod wpływem parującej w słońcu rosy. Za polami, na równinie widoczne były przysadziste budynki wioski

Kanne.

Gdzieś za plecami ostatniego żołnierza kolumny rozległ się pojedynczy strzał pistoletowy. Schulze odwrócił się i zobaczył, że von Dodenburg zbliża się biegiem, próbując wsunąć pistolet do kabury. Nawet nie spojrzął na szeregowca, gdy przebiegał obok niego. Wspinali się pod górę.

Wydawało się, że całe Kanne ucieka.

Tak jak ich przodkowie dwadzieścia sześć lat wcześniej, tak i teraz mieszkańcy wioski uchodzili na zachód. Znowu nadchodzili Prusacy!

Esesmani przyczaili się w rowie powodziowym, obserwując zachodni wyjazd z wioski. Wydawało się im, że wszystkie stajnie, obory i stodoły miały otwarte wrota i dosłownie wypluwały swoją zawartość na zewnątrz. Wielkie, pozbawione burt wozy farmerskie, ciągnięte przez potężne czerwone woły albo podstarzałe chabety, psie zaprzęgi, które swym ładunkiem dosłownie wgniatały owczarki alzackie w ziemię, dwukołowe taczki, nawet wózki inwalidzkie * wszystko to tworzyło kolumnę uchodźców przesłoniętą niebieskawym dymem z dwusuwowych silników ciężarówek. Wszyscy ludzie i wszelkie stworzenia mogące posłużyć za siłę pociągową uginali się pod wielkimi stertami dobytku pomieszanego z domowymi zwierzętami. Był nawet bosono* gi chłopiec z cennymi skórzanymi butami zawieszonymi na szyi, który gonił po drodze stado protestujących gęsi.

* Chryste na krzyżu * westchnął lekko Schulze. * Założę się, że zabrali ze sobą nawet piece kaflowe!

* Byd może...

Von Dodenburg nagle urwał. Podwójny rząd rowerzystów przedzierał się przez gromady uchodźców, desperacko próbując utrzymać szyk marszowy.

* Cykliści ze straży granicznej! * stwierdził ze zdziwieniem.

* Już mnie tyłek boli! * powiedział Schulze. * Możecie w to uwierzyć?! Czy te biedaki na siodełkach wiedzą, że zaczęła się wojna?

Najwidoczniej nie wiedzieli.

Ze stoickim spokojem, z karabinami przewieszonymi przez plecy, rowerzyści jechali środkiem drogi, rozpraszając cywilów, jakby byli na rutynowym patrolu. Jeden z nich próbował nawet machać ręką do dziewczyny, która zganiała z drogi kilka gęsi.

Von Dodenburg stuknął w podstawę magazynka; sprawdzał, czy jest prawidłowo założony, a klęczący obok niego Rzeźnik spojrzął nerwowo.

* Ma pan zamiar ich zaatakować? * spytał dziwnie niewyraźnym głosem.

* Oczywiście, sierżancie, przecież siedzą jak kury na grzędzie.

* A jeśli to tylko prowokacja? * spytał niepewnie Metzger. * Przecież to zbyt łatwe. Wy daje mi się, że powinniśmy pozwolić im przejechać i spokojnie wejść do wioski.

Teraz dopiero von Dodenburg zdał sobie sprawę, jakim tchórzem jest Metzger. Zanotował w pamięci, aby po akcji porozmawiać na ten temat z kapitanem Geierem.

* To wam się tak wydaje * powiedział lodowatym tonem * ale nie mnie.

* Oczywiście, oczywiście * szybko zgodził się Rzeźnik. * To tylko propozycja.

Von Dodenburg uciął dalszą rozmowę.

* Schulze, podaj dalej, że jak tylko otworzę ogień, reszta też ma zacząć strzelać. Żaden z nich nie może uciec.

* A cywile? * spytał strzelec.

Porucznik nie odpowiedział.

Rowerzyści byli coraz bliżej. Von Dodenburg policzył ich * prawie setka. Liczebnie przewyższali jego ludzi w stosunku dwa do jednego. Nie miało to jednak znaczenia, bo element zaskoczenia dawał przewagę esesmanom.

Przy nodze czołowego rowerzysty zaczął szczekać spory pies. Siedzący na rowerze żołnierz bez zmiany pozycji, nie odrywając wzroku od drogi, wymierzył zwierzęciu silnego kopniaka. Pies odskoczył ze skowyt. Teraz kolumna cyklistów była tylko pięćdziesiąt metrów od zasadzki.

Porucznik podniósł pistolet maszynowy i wziął na cel wojaka, który kopnął psa. Miał

napuchniętą, bladą twarz, wyglądał raczej na nadętego urzędnika niż na zawodowego żołnierza. Białe oblicze wypełniło celownik. Kuno nacisnął spust i rząd czerwonych płam pojawił się na piersi Belga. Ten jeszcze przez chwilę pedałowal, potem wyrzucił ręce w górę i przewrócił się razem z rowerem. Jadącego za nim cyklistę spotkał taki sam los.

W jednej chwili kolumnę cywilów ogarnęła panika. Zwierzęta zrywały się z uwięzi i łamiąc płoty, uciekały na boki. Uchodźcy ze strasznym krzykiem rzucili się za nimi. Rząd cyklistów próbował bezskutecznie podjąć walkę, ale dobrze ukryci esesmani nie dawali im szansy. Kosili wrogów bez litości.

Von Dodenburg poderwał się z ziemi i krzyknął: * Za mną!

Zaraz za nim ruszył sierżant Metzger. Szybko uderzyli naprzód, strzelając w biegu z pistoletów

maszynowych. Reszta Niemców podążyła za nimi, posyłając deszcz kul w kłębowisko uchodźców i żołnierzy straży granicznej, z którego uciekali pojedynczy ludzie, chcąc ująć ogólnej masakrze.

W ciągu kilku sekund było po walce. Zabici i ranni leżeli w całej okolicy. Od strony wioski doszły odgłosy strzelaniny, wyraźnie dał się słyszeć wysoki grzechot niemieckiego karabinu maszynowego Spandau.

Oznaczało to, że Schwarz i jego ludzie mieli kłopoty.

Porucznik Schwarz, z pokrwawioną twarzą i obolałym bokiem, siedział w paskudnie śmierdzącej chłopskiej wygodce i przeklinał swój los. A wszystko miało pójść tak łatwo! Poganiał swoich ludzi, by szybciej dotarli do wioski. Wszędzie było cicho. Pełen wiary, skoncentrowany na „kawałku blachy”

obiecany przez Geiera Schwarz rozkazał natarcie bez wstępnego rozpoznania. Protesty jednego z podoficerów, zwanego „Dziurą w tyłku”, po prostu zlekceważył.

* Nie widzicie, sierżancie, że oni uciekają?! * krzyczał triumfalnie, wskazując na uchodźców wypływających szerokim strumieniem z wioski. * Ci Belgowie mają kupę złota w portkach!

Machnął ręką na strzelców kryjących się w rowach po obu stronach drogi i jak bohater z filmów propagandowych niemieckiej wytwórni filmowej UFA krzyknął:

* Naprzód!

Chwilę później belgijski karabin maszynowy, ukryty w pobliskim gospodarstwie, otworzył ogień. „Dziura w tyłku” padł na ziemię. To był ostatni postrzał w jego życiu. Schwarz patrzył z przerażeniem, jak połowa jego ludzi pada pod celnym ostrzałem wroga.

Teraz był uwięziony w wychodku, do którego zdołał się doczołgać. Reszta jego ludzi chaotycznie wycofywała się wzdłuż drogi,

porzucała umierających i rannych towarzyszy, byle tylko jak najszybciej oddalić się od deszczu ołowiu, który sprowadzili na ich głowy Belgowie. Za każdym razem, gdy Schwarz podnosił wyżej głowę, natomiast w kamienny murek uderzała seria pocisków.

Porucznik wytarł krew z rany na czole i próbował ocenić sytuację na tyle rozsądnie, na ile potrafił.

Wydawało się, że tylko on dotarł do wioski, chociaż w oddali słyszał grzechot niemieckiej broni automatycznej. Ale te odgłosy dochodziły z daleka, a nie z pozycji wyjściowych. Jego ludzie albo uciekli, albo leżeli ranni i zabici wzdłuż drogi.

Rozpaczliwie poszukiwał wyjścia z bałaganu, któremu sam był winien. Wiedział, że Sęp nigdy nie wybaczy mu straty tak wielu ludzi bez zdobycia wioski. Znając burżuazyjną mentalność dowódcy, porucznik mógł

być pewien, że wyląduje gdzieś na tyłach w roli „ogiera z drugiej linii” i będzie tam tkwił, podczas

gdy inni będą zdobywać wojenne odznaczenia. Rok po wojnie pełno będzie dwudziestoletnich kapitanów, a nawet majorów, którzy będą się dumnie obnosić z Krzyżami Rycerskimi, a on pozostanie zwykłym porucznikiem odznaczonym Krzyżem za Zasługi Bojowe, jaki przyznaje się tłustym rezerwistom ściągniętym na siłę z cywila.

Schwarz wiercił się tak długo, aż przekręcił się na plecy i wyjął z kieszeni na piersi mundu małe metalowe lustro, którego używał przy goleniu oraz jako ochronę serca. Uważając, by promienie słońca nie odbijały się od gładkiej powierzchni, powoli wysunął lustro ponad głowę. W polu widzenia miał ponad pół tuzina ciał w niemieckich mundurach, leżących na bruku jak porzucone szmaciane lalki. Przygryzł wargi i podniósł lustro trochę wyżej.

Z wyłamanego okna w pobliskim gospodarstwie, które znajdowało się naprzeciw jego kryjówki, wystawała groźnie lufa belgijskiego karabinu maszynowego. Schwarz przekręcił lustro trochę w prawo i zobaczył kolejną lufę, a za nią białą twarz strzelca. Potem dostrzegł jeszcze jedną lufę karabinu.

Był w potrzasku.

Nagle na wschodniej części nieba zauważył ciemny kształt podobny do mewy. Był jeszcze daleko, lecz Schwarz rozpoznał go natychmiast.

* Junkers 87! * zawołał radośnie. * Jeszcze jeden!

Nie można było pomylić tych kanciastych kształtów z niczym innym. Najbardziej śmiertelna broń niemieckiego lotnictwa z drażniącym dudnieniem zbliżała się do wioski.

Gdy tylko hałas samolotowych silników stał się bardzo głośny, porucznik zaczął gorączkowo szukać pistoletu sygnałowego. Miał nadzieję, że dobrze zapamiętał porządek koloru

rakietnic, aby wezwać na pomoc samoloty bliskiego wsparcia.

Jeszcze raz przy pomocy lustra rzucił szybkie spojrzenie. Samoloty leciały nisko, najwyżej dwieście metrów nad ziemią, utrzymując doskonały szyk i kompletnie ignorując ostrzał z broni przeciwlotniczej skierowany w ich stronę.

Schwarz podniósł pistolet sygnałowy i nadmiernie nie eksponując ciała, wystrzelił w kierunku belgijskich pozycji. Czerwona raca z sykiem poszybowała w niebo. Po drugiej stronie drogi rozległy się gniewne okrzyki i kolejne pociski karabinowe z gwizdem przecięły powietrze. Drzwi nad jego głową rozpadły się na kawałki i pokryły go drewnianymi drzazgami. Zaraz potem biała raca wystrzeliła w niebo szerokim łukiem i na chwilę zawisała nad belgijskimi pozycjami. Później zaczęła powoli opadać w kierunku ziemi.

Porucznik czekał. Zauważyli jego sygnały? A jeśli tak, czy były zrozumiałe? Czuł, jak po plecach spływają mu stróżki potu, i zdał sobie sprawę, że być może wydał na siebie wyrok śmierci.

Wtedy się zaczęło. Prowadzący samolot, poza żółtym statecznikiem całkowicie czarny, zdał się dosłownie wisieć w powietrzu. Pilot pochylił maszynę na lewe skrzydło. Schwarzowi* udało się

zauważył biało*

czarny krzyż. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, bombowiec

runął w dół jak kamień rzucony na ciemne tło ziemi.

Pilot włączył syreny, które Schwarz pamiętał jeszcze z kampanii w Polsce. Wtedy straszliwie działały mu na nerwy. Ich mrozące krew w żyłach wycie wypełniło powietrze. Porucznik przycisnął dłonie do uszu, by choć trochę zmniejszyć dręczący hałas.

Sto pięćdziesiąt metrów, sto metrów, siedemdziesiąt, nagle pilot wyrównał lot. Tuziny bomb zapalających, błyszcząc w słońcu, wyleciały z kadłuba samolotu i obijając się o siebie, pomknęły chybotliwie w dół. Wybuchły, rozrzucając wokół deszcz grudek magnezji. W ciągu kilku sekund biały, gęsty dym spowił belgijskie pozycje i domy. Ktoś krzyknął i po chwili belgijski żołnierz, na którym palił się mundur, wyskoczył z oparów. Biegł zygzakiem przez zaśmieconą uliczkę, a płomienie coraz wyżej obejmowały jego ciało.

Schwarz dłużej nie czekał. Odrzucił na bok pistolet sygnałowy i wyskoczył przez rozwalone drzwi wychodka. Kula karabinowa uderzyła w ceglany mur o metr od niego, zasypując mu twarz kawałkami gruzu. Dom, który znajdował się naprzeciw jego kryjówek, zaczął gwałtownie płonąć. Belgowie nie mieli teraz czasu się nim zajmować. Potwornie rozgrzane powietrze zaczęło wypalać im płuca. Porucznik nerwowo rozglądał się wzdłuż ulicy, wypatrując drogi ucieczki. Ponad nim, poza białym słupem dymu, kolejny sztukas ruszył do lotu nurkowego i włączył ogłuszającą syrenę. Schwarz zauważył sylwetkę kościoła. Wiedział, że Luftwaffe, podobnie jak artyleria, miała rozkaz unikad niszczenia kościołów nieprzyjaciela jako „dorobku kultury” * jak nazywano takie obiekty w ostatnich rozkazach.

Chwytając powietrze, rzucił się biegiem do zbawczego azylu. Przerazliwy ryk syren nurkującego samolotu narastał. Nagle zawodzenie ustało i zastąpił je groźny piskliwy gwizd. Bomby burzące!

Schwarz desperacko rzucił się do drewnianych wrót świątyni, chwytając żelazną klamkę. Gdy pierwsza bomba eksplodowała, drzwi ustąpiły i porucznik wpadł do środka, stając naprzeciwko małego

człowieczka skulonego w przepelnionej zapachem kadzidła ciemności.

Pozbawiony hełmu esesman biegł przerażony trawiastym stokiem i bełkotał, machając rozpaczliwie rękami. Najbliższy podoficer uderzył go pięścią w twarz. Przestraszony żołnierz obrócił się bokiem i pobiegł dalej. Rzeźnik zaklął gniewnie i, gdy ogłupiały uciekinier zrównał się z nim, uderzył go kolbą karabinu w głowę. Ogarnięty paniką chłopak padł na ziemię i zaczął drżeć jak zmarznięty szczeniak.

Był to pierwszy z tuzina ludzi porucznika Schwarza, którzy umknęli z zasadzki. Teraz

Metzger ustawiał ich w szeregu, pomagając sobie skierowaną w ich stronę bronią. Von Do* denburg skinieniem głowy pokazał mu, że powinien opuścić pistolet maszynowy. Przez moment nic nie mówił, tylko patrzył na blade ze strachu twarze i panicznie rozbiegane oczy.

* Co się stało? * zapytał pierwszego z brzegu wojaka.

Chłopak otworzył usta, ale nie był w stanie wydobyć dźwięku.

Porucznik spytał następnego, ale ten zabalgotał coś niezrozumiale. Uderzył go dłonią na odlew. Żołnierz zachwiał się, cofnął o krok, potrząsnął komicznie głową jak ktoś właśnie zbudzony ze snu. Porucznik zbliżył dłoń do kabury pistoletu.

* Liczę do trzech * powiedział * jeśli nie zaczniesz rozsądnie odpowiadać, zastrzelę cię.

Strzelec tylko jęknął zaszokowany. Von Do* denburg był jedynym oficerem w batalionie, który nie stosował przemocy w stosunku do poborowych. Dlatego szeregowy był kompletnie zaskoczony

niespodziewaną brutalnością. Ale, jak spodziewał się porucznik, zaczął opisywać, co zaszło w Kanne, przerywając relację krótkimi westchnieniami. W trakcie słuchania opowieści porucznika ogarniał coraz większy gniew na głupotę Schwarza. Była ona typowym efektem doktryny, którą w 2. Kompanii

zaszczepił kapitan Geier. Jego motto „Naprzód po trupach” stanowiło haczyk, na który szybko złapał się taki ambitny głupek jak Schwarz. I teraz władował się w niezłe bagno!

Nie było czasu na roztrząsanie błędów dowódcy. Kuno musi spróbować zdobyć wioskę bez pomocy Schwarza. Jak tylko sztukasy zaczęły z wyciem syren nurkować w stronę gromady chałup, porucznik wydał pierwsze rozkazy.

* Nazywam się Weissfisch * powiedział mały człowiek z zaskakującą otwartością, gdy tylko bombowce odleciały. * Mojżesz Weissfisch.

Schwarz, który trzymał lewą dłoń na prawym ramieniu, próbując powstrzymać krwotok, spojrzał na rozmówcę z przestrawieniem. Z takim imieniem i nazwiskiem to musiał być Żyd! Przebywał w małym belgijskim kościółku z Żydem!

Człowiek wydawał się odczytywać jego myśli.

* Tak, poruczniku * powiedział doskonałą niemiecką * jestem Żydem.

* Ale mówisz po niemiecku... Skąd wiesz, że jestem porucznikiem?

Cywil uśmiechnął się smutno.

* Bo jestem Niemcem tak samo jak pan!

* odpowiedział spokojnie.

* Nie jesteś Niemcem! * zawołał Schwarz.

* Jesteś Żydem!

Weissfisch potaknął.

* Oczywiście, ale pięćdziesiąt parę lat płaciłem podatki, pracowałem i służyłem narodowi, za którego część się uważałem.

Podniósł prawą rękę, która okazała się obciążniętym brązową skórą kikutem.

* Verdun, 1916 * wyjaśnił.

* I co tutaj robisz, Żydzie? * warknął Schwarz.

Weissfisch wzdrygnął się.

* Jak głupiec, którym byłem przez całe życie, zostałem tutaj. Wierzyłem, że wszystko się zmieni i cała nienawiść do Żydów zniknie, gdy Niemcy odzyskają to, co straciły w ramach traktatu wersalskiego.

Tydzień temu, po tym jak zabrali moją żonę * zgodnie z dziwną segregacją ludzkości, która człowieka nazywa „rasową Żydówką” * zdecydowałem się przekroczyć granicę belgijską.

Uśmiechnął się, a na jego twarzy pojawiła się mieszanina smutku i pogardy dla samego siebie.

* Jak może pan zauważyć, wydaje się, że przybyłem tu za późno.

Przerwał niespodziewanie i spojrzał zdziwiony na esesmana.

* Czy myśmy się już kiedyś nie spotkali? * spytał.

* My? A skąd taki Żyd jak ty mógłby mnie znać?! * zakrzeczał Schwarz. * Chyba zwariowałeś!

W jego umyśle zrodziło się straszliwe podejrzenie. Żyd spojrzał na niego z nieukrywanym strachem.

* Nie widzisz run na kołnierzu mojego munduru? Nie mam nic wspólnego z takim rasowym śmieciem jak ty!

* Niech mi pan wybaczy, panie poruczniku * Żyd nie ustępował * ale ta twarz i te oczy...

* Zamknij się! * Schwarz ryknął na niego. Ale mały Żyd nie przestawał mówić.

Z masochistyczną radością rozwijał temat.

* W ciągu ostatnich siedmiu lat, panie poruczniku, miałem wiele okazji do studiowania

narodowosocjalistycznych teorii rasowych i wie pan, coś w nich jest. W czasie pierwszej wojny światowej zwykle śmialiśmy się z „polskich nosów”, gdy przybywali rekruci z zachodniej części Prus, a na żołnierzy z Nadrenii zawsze mówiliśmy „frankooskie gęby”. Wie pan, wyglądali, jakby ktoś w budyo wsadził

marchewkę. Natomiast pańska twarz, poruczniku, wykazuje cechy typowe dla Żydów z Europy

Środkowej...

Nie dokończył, bo esesman chwycił go za gardło. Twarz Schwarza wykrzywił grymas nienawiści, wydał

usta i zaczął charczed jak zwierzę schwymane w pułapkę.

* Jak śmiesz, ty Żydzie! Ty... * oddychał chrapliwie, zbyt roztrzęsiony, by sensownie sformułował zdanie, którym mógł odrzucić oskarżenie.

Zamiast tego pchnął małego człowieka na gołą, białą pomalowaną ścianę. Ten spojrział na niego, a w jego oczach nie było strachu, tylko smutek i współczucie, jakby przygotowywał się na nieuniknione.

W Schwarzu eksplodowała wściekłość na sztuczki, których nie szczędził mu los. Z całej siły złapał Żyda za chudy kark. Oczy Weissfi* scharwały z orbit, a język wyskoczył mu z ust. Nawet nie próbował się bronić.

Głuchy na wznowiony ostrzał artyleryjski, ślepy na wszystko poza pobladałą twarzą Żyda, Schwarz potrząsał ciałem nieszczęśnika, aż ten wyprężył się ostatni raz i ucichł na dobre.

Razem padli na kościelną podłogę. Porucznik podniósł rękę do twarzy, jakby chciał zasłonić oczy, i oparł

głowę na piersi zabitego jak syn proszący ojca o wybaczenie niewybaczalnej zbrodni.

Ludzie von Dodenburga znaleźli Schwarza zabarykadowanego w kościele z kilkoma przestarzałymi karabinami Lebel'a ułożonymi na ławce i pistoletem maszynowym w dłoniach. Porucznik stał i patrzył na zastrzelonego Belga, który leżał na kościelnym podwórzu.

* Dobrze, że pan jest! * żołnierze zawołali entuzjastycznie, zsuwając hełmy na tyły głów, by otrzed pot z czoła. * Sprawił pan niezłą kąpiel tym bydlakom!

Jeden z ludzi, którzy uciekli z pola walki, zaczął niepewnie:

* Przepraszam, panie poruczniku, ale pierwszy raz byliśmy w walce...

Porucznik machnął ręką uspokajająco.

* W porządku, chłopcze.

Kuno von Dodenburg odsunął mężczyznę na bok, wszedł do środka zmęczonym krokiem i ciężko westchnął.

* Co się z nim stało?

Wskazał na małego cywila leżącego w kącie z głową wykrzywioną pod nieprawdopodobnym kątem,

którego ziemista twarz była tak podrapana, jakby zaatakowało go dzikie zwierzę.

Schwarz nawet się nie trudził, aby spojrzeć na zabitego Żyda.

* Nie wiem * powiedział głucho. * Jakiś cywil, jak przypuszczam.

Wzruszył obojętnie ramionami.

* Zginął chyba w czasie pierwszego ataku. Któż to wie?

Von Dodenburg spojrział badawczo na Schwarza. W poruczniku było coś dziwnego. Jakby stracił połowę sił. Wcześniej, odcięty przez ponad dwie godziny, walczył jedną ręką z częścią najlepszego belgijskiego plutonu, a teraz był całkowicie spokojny, patrzył w dal jakoś nieprzytomnie, a w jego oczach chyba czaiło się szaleostwo. Nawet ręce mu nie drżały, gdy przypalał papierosa, którego z szacun

kiem podał mu sierżant Metzger. Kuno spojrział na plecy Schwarza, a potem na zwłoki cywila w kącie świątyni. Nie zauważył żadnej rany po kuli. Skąd wzięły się te dziwne zadrapania na twarzy?

Ale von Dodenburg nie miał czasu, by prowadzić dalsze dochodzenie. Z zewnątrz doszedł warkot starego silnika samochodowego, któremu wtórowały szorstkie dowcipy i śmiechy zmęczonych młodych żołnierzy odpoczywających na wiejskim placu. Odwrócił się szybko i ruszył do drzwi, a za nim jak cieo podążał

Metzger.

Do wioski przybyli Geier i jego rezerwa, zgromadzeni w starej ciężarówce Forda, wypełnionej po brzegi zapasowym ekwipunkiem. Nim samochód się zatrzymał, Sęp wyskoczył z szoferki i podbiegł do

porucznika z rozpromienioną twarzą.

* Panowie, major Hartmann został poważnie ranny, a reszta batalionu poniosła poważne straty w trakcie forsowania Mozy. Teraz ja przejmuję dowodzenie całym oddziałem.

Uderzył szpicrutą w cholewkę buta. Von Dodenburg spojrział na Schwarza, ale twarz tego ostatniego nadal nie wyrażała żadnych uczuć.

* Rozumiem, panie kapitanie * to wszystko, co zdołał powiedzieć von Dodenburg, widząc nieskrywaną radość kapitana z powodu spełniania się jego marzeń.

* Wydad koniak i papierosy! * krzyknął nowy dowódca batalionu do ludzi w ciężarówce. * Wszystkim!

Zmęczeni żołnierze von Dodenburga wykrzykiwali z zadowoleniem. Pobiegli w kierunku pojazdu, a żołnierze siedzący w samochodzie podawali ekwipunek i zrabowane Holendrom skrzynki z alkoholem i papierosami.

* Kaufmann to znalazł * promieniał Sęp * przewiózł przez rzekę razem z zapasowym sprzętem. Przyda się, w sam raz na tę okazję, co?

Spojrzał na von Dodenburga, jakby było naturalne, że ten podziela jego radość, choć kosztowała życie tak wielu ludzi.

* Oczywiście na razie pełnię obowiązki tylko tymczasowo, ale kto wie, co przyniesie następne parę godzin.

Chwilę później znowu zrobił się poważny.

* W porządku, pan i pan, Schwarz, chodźmy nad wodę, przyjrzymy się temu fortowi Eben Emael.

Podczas gdy żołnierze z batalionu szturmowego świętowali, popijając zrabowany koniak, trzech oficerów szło przez pola w kierunku ostatniej bariery, która oddzielała ich od największej fortecy w Europie.

CZTERY

Tuż przed nosem von Dodenburga leżał w trawie hełm spadochroniarza z wielką dziurą po pocisku.

Wewnątrz stalowej skorupy, na pasku wchłaniającym pot widniało imię i nazwiskowej właściciela:

„Kapral spadochroniarz Horst Kufer”.

* Wkrótce * pomyślał porucznik * do jego najbliższych przyjdzie telegram, że „zginął za naród i wodza”.

Leżąc, lustrowali kanał. Za ich plecami jeden z wielkich szybowców DFS, które przywiozły

spadochroniarzy, leżał w zniszczonym świerkowym młodniku jak połamany motyl. Nigdzie nie było śladu obrodców fortu, natomiast ze spowitego białym dymem głównego bastionu wyraźnie dobiegały odgłosy niemieckiej broni automatycznej.

* Nadal gdzieś tam są * mruknął Geier, lustrując całą szerokość Kanału Alberta, który na drugim brzegu obudowany został gładką, pionową betonową ścianą. * To już coś.

Jego euforia z powodu chwilowego awansu gdzieś zniknęła, gdy tylko zobaczył kanał

i mur za nim. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromu zadania, jakie na niego czekają.

Von Dodenburg wyostrzył obraz w lornetce, by przyjrzed się zniszczonemu mostowi, który znajdował się w dole kanału. Zniszczone dźwigary wisiały powyginane nad wodą, upstrzone szarymi plamami

mundurów tych spadochroniarzy, którym nie udało się zdobyć przeprawy przed wysadzeniem jej przez Belgów w powietrze.

* Mają dwa stanowiska karabinów maszynowych, tyle mogę rozpoznać, panie kapitanie. A tam, w zagajniku na godzinie drugiej zamaskowali podwójnego Oerlikona.

Sęp pokiwał głową ze zrozumieniem.

* Tak, teraz je widzę. Przynajmniej to miejsce wydaje się być...

Jedno z ukrytych w forcie dział przemówiło. Przez dym prochowy przebił się czerwony jęzor ognia.

Potem rozległ się dźwięk, jakby ktoś rozrywał grube płótno. Olbrzymi pocisk, tak wielki, że od razu go zauważyli, pomknął w kierunku niemieckich oddziałów zgromadzonych gdzieś na tyłach.

* Dzięki Bogu przynajmniej za to * kontynuował Sęp. * Spadochroniarze jeszcze nie zdążyli zniszczyć stanowisk artyleryjskich. A już się martwiłem, że mogli tego dokonać za pomocą tych cholernych ładunków burzących.

Von Dodenburg spojrział na niego i aż mu szczęka opadła. Sęp wypowiedział te słowa,

jakby mówił o najnormalniejszej rzeczy na świecie. Potrząsnął głową ze zdumieniem i odepchnął myśli o wygórowanych ambicjach dowódcy. Nic nie mógł z tym zrobić.

* Jakie są rozkazy, panie kapitanie?

Sęp opuścił lornetkę i spojrział na zegarek.

* Boże w niebiosach! * jęknął. * Już piętnasta! Do połączenia zostało tylko osiemnaście godzin!

* Ludzie są wyczerpani * powiedział von Dodenburg. * Muszą trochę odpocząć.

* Wiem, wiem * burknął Geier. * Wiem też, ile ludzie mogą wytrzymać.

* Przepraszam, panie kapitanie.

Geier tylko machnął ręką na odczepnego, jakby sprawa nie była warta dalszej dyskusji.

* To miejsce wydaje się całkiem dobre. Rozpocznijmy przeprawę, jak tylko zajdzie słońce. Najdalej o siedemnastej, zrozumiano?

* Tak jest, panie kapitanie.

* Do tej godziny ludzie mogą wypoczywać. Ja pojedę do batalionu i ruszę go z miejsca. Jeśli sforsujecie kanał, przywiozę tylu ludzi, ilu zdołam.

* Panie kapitanie * wtrącił się Schwarz, który odezwał się pierwszy raz po wyzwoleniu z kościoła. * Niech pan popatrzy.

Wskazał na drugą stronę kanału, poza stromą ścianę oporową, na ogromną, szaroczną bryłę fortu, który nagle wyłonił się z całunu dymu, jakby morską mgłą odsłoniła wielki ża

głowiec. Rósł niczym wielka betonowa skała, wystawał osiemdziesiąt metrów ponad wody kanału.

Wszystkie jego boki pokryte były furtami artyleryjskimi, w których jednak nie kryły się przestarzałe ośmioletnie armaty, lecz wielkie działa kalibru 75 milimetrów ustawione parami, dodatkowo osłaniane karabinami maszynowymi.

Przez chwilę patrzyli na fort Eben Emael, cichy i groźny. Potem potężne umocnienia zniknęły powoli, przesłonięte wstęgami dymu.

Kiedy żołnierze spali, przygnębiony i bezsenny Rzeźnik błąkał się po opuszczonych uliczkach zrujnowanej wioski. Choć czuł zmęczenie, zmartwienia wygoniły go na zewnątrz i teraz włóczył się bez celu, myśląc o groźbach, jakie rzucał von Dodenburg, i o forsowaniu Kanału Alberta, które miało się zacząć za parę godzin.

Od niechcenia kopał belgijski hełm, który leżał na ziemi niczym nocnik, i co pięd kopnięd brał z pierśiówki niewielki łyk koniaku. Nigdy nie wyobrażał sobie, że wojna może tak wyglądać, choć od dziesięciu lat przygotowywał się do niej. Dzień w koszarach nie kooczył się nigdy o siedemnastej, do tego bez apelu i sprawdzania czystości. Teraz ludzie leżeli brudni, rozchełstani i bez szacunku. Postawa oficerów też go rozczarowała, szczególnie w przypadku

von Dodenburga. Gdy przebywali w koszarach imienia Adolfa Hitlera, nic bez niego nie mogło funkcjonować. Przecież oficerowie skrycie zrzucali na niego zadania, by leniwi i brudni bękarci, jakimi byli poborowi, robili to, co im powiedziano * wstawali na czas, myli się, wpisywali swoje nazwiska w księdze kąpieli, czyścili karabiny i napletki w określonych terminach * jednym słowem, aby byli zawodowymi żołnierzami, a nie bandą cudzołożników o brudnych tyłkach. Ale na froncie wszystko się zmieniło.

Nagle okazało się, że nie tylko jest zbędny, podejrzewano go również o tchórzostwo. Choć był znany z tego, że jako jedyny w całej kompanii potrafi „zrobić świnię”. Że z odległości pięćdziesięciu metrów potrafił poznać, czy szeregowiec wyczyścił kłamrę u pasa. Że w 1936 roku po paradzie chwalił go sam Reichs* fuhrer Heinrich Himmler! A teraz takie żółtodzioby jak ten gówniany paniczek, pierwszy porucznik von Dodenburg, ośmielają się oskarżać go o tchórzostwo!

Jakby nie miał dość kłopotów na głowie. Łzy żalu nad samym sobą napłynęły mu do oczu, gdy przypomniał sobie, co powiedziała mu Lora, gdy podbił jej oczy i wybił kilka zębów w noc po wizycie u wiejskiego konowała.

Przez dziesięć lat ich małżeostwa ani razu nie sprawdził się w łóżku!!!

Łyknął kolejną porcję koniaku.

Każda kobieta, która tak pomyślała, musiała być dziwką najniższej klasy. Jak upadła kobieta może oceniać takie rzeczy? Orgazm, jak to nazwała, cokolwiek to było. W czasach kawalerskich, nim jeszcze poślubił Lorę i wyciągnął ją z pracy w knajpie oraz dał nowy status, uszczęśliwiał cztery kobiety, w tym jedną „przy nadziei”, i chciały to robić przez cały czas. Tak jak żona doktora, a wszyscy wiedzą, co takie lubią robić w łóżku dzięki wyuzdanemu treningowi, jaki odebrały od mężów!

Starszy sierżant Metzger po raz ostatni kopnął hełm, zatoczył się i omal nie przewrócił. Teraz miał straszliwe choróbsko i nikogo to nie obchodziło. Ciekawe, czy ten gówniany porucznik von Dodenburg potrafiłby pójść do akcji z fiutem obwiązany perkalową szmatą, do tego bolącym jak cholera przy każdym sikaniu? Na pewno nie lepiej niż on!

Sierżant Metzger uśmiechnął się do swego oblicza odbijającego się w szybie wystawowej i wykrzywił

twarz, by powiedzied:

* Nie!

Potem zrobił marsową minę. Kapitan Geier był inny niż te wojenne gnojki. To był stary przedwojenny żołnierz, który wiedział, jak kiedyś bywało * twardy i nieustępliwy. Jeśli powiedziałaś rekrutowi, aby narobił do swojego hełmu, robił to, choć musiał czasem wziąć środki na przeczyszczenie. Małe, kaprawe oczka sierżanta ponownie wypełniły

się łzami na wspomnienie tamtych wspaniałych czasów.

* To były cudowne dni, uwierz mi * powiedział do swojego odbicia w szybie, kiwając się niebezpiecznie.

* Żołnierz to był żołnierz, nie jak te żółtodzioby teraz...

Nagle przerwał. Jakaś postać stała obok niego, patrzyła na wystawę sklepową i uśmiechała się szeroko.

Odwrócił się i położył palec na spuście pistoletu maszynowego. Obok niego stała dziewczyna, na gołych nogach miała staromodne, pokryte nawozem, drewniane sabo* ty. Ubrana była w brudną, kolorową, chłopską sukienkę, a włosy mysiego koloru splotła w dwa warkoczki, które sztywno sterczały z dwóch stron jej rozdziawionej twarzy. Ale zapijaczone oczy Rzeźnika przede wszystkim pożerały wielkie piersi dziewczyny, które przy każdym oddechu prawie rozrywały kusą sukieneczkę.

* Boli mnie tył głowy * westchnęła z przesadnym naciskiem * już dawno nie miałam drewna wsadzonego w drzwi.

Najwyraźniej niedorozwinięta dziewczyna zaśmiała się głupkowato, brakowało jej dwóch przednich zębów. Rozstawiła nogi i podrapała się po wydatnym brzuchu, dając jasno do zrozumienia, jakie ma pragnienia.

Pijanym sierżantem momentalnie targnęło zwierzęce pożądanie sprowokowane bezczelnym wyuzdaniem umysłowo chorej kobiety.

Dziewczyna od razu rozpoznała spojrzenie zamglonych, czerwonych oczu Rzeźnika.

* Ik heet Anna. Ik ben niet getrouwd (Mam na imię Anna. Nie jestem mężatką.) * powiedziała powoli, z trudem formułując zdanie.

Metzger nie do końca zrozumiał, co mówi, ale na pewno się nie pomylił w odczytaniu gestów, które wykonała kciukiem i dwoma innymi palcami, wskazujących jednoznacznie na kopulację.

* Gdzie?

Skinęła na niego brudnym paluchem.

* Komm.

Ruszył za nią po gruzowisku chwiejnym krokiem. Skręcili w małą wybrukowaną alejkę. Otworzyła drzwi brudnobiałej chałupki. W środku było ciemno i śmierdziało zwierzętami oraz skwaśniałym mlekiem. W

rogu pomieszczenia stało zapadnięte łóżko zrobione z mosiężnych krat, które chyba pamiętało jeszcze wizytę rzymskich legionistów. Pod nim stał pełny nocnik.

Rzeźnik z obrzydzeniem odwrócił wzrok.

Jęcząc jak marcowa kotka, dziewczyna z rozkoszą rzuciła się na łóżko. Rama legowiska zatrzeszczała w proteście. Dziewczyna roześmiała się głupio, a jej oczy były rozszerzone z pożądania.

* Nix vader, nix moeder * powiedziała, wskazując machnięciem ręki, że mieszkańcy domostwa uciekli z resztą wieśniaków. * Heel goed!

Rzeźnik dłużej nie czekał, kopnięciem obcasa zatrzaskał drzwi. Leżąca na łóżku chora dziewczyna już rozkładała nogi. Zobaczył, że jest naga. Zachęcająco rozsunęła uda. Metzger zaczął sapad. Wahał się. Jeśli to robi, zarazi ją chorobą weneryczną. Dziewczyna jęczała, włożyła rękę pomiędzy nogi i nadal rozchyłała potężne uda jak motyl skrzydła.

Rzeźnik nie mógł dłużej wytrzymać. Jakie znaczenie miała ta idiotka? Poza tym cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. O co miał się troszczyć? Zaczął grzebad przy pasku i rozpiął rozporek. Dziewczyna na łóżku za* miauczała rozkosznie, przewidując, co będzie dalej. Bezwładnie zwałił się na nią. Jej język zaczął błądzid po jego ustach. Przez chwilę jej nieświeży oddech i spocone ciało odrzucały go. Ale gdy wsunęła głębiej język i zaczęła chciwie ssad jego ślinę, zapomniał o wojnie, problemach, dosłownie o wszystkim. Zaczął szukać i szybko znalazł jej galaretowate piersi.

W skupieniu i całkowitej ciszy porucznik von Dodenburg chodził od ciała do ciała i zbierał identyfikatory.

Przeszukiwał kieszenie zabitych, gromadząc ich nieliczne osobiste rzeczy: fotografie dziewczyny lub matki, listy cierpliwie pisane przez ojców, którzy dopominali się o ostrożność i dyscyplinę, a także listy od matek, pełne miłości i troski. Znalazł rów

nież kilka brudnych zwitków banknotów o niskich nominałach. Za nim szedł Schulze i w świetle gasnącego dnia zapisywał ogryz* kiem ołówka na kartce papieru imiona i nazwiska poległych żołnierzy.

Von Dodenburg westchnął i wyprostował się nad ciałem młodego kaprała, który wyglądał, jakby przed chwilą usiadł na bruku i zasnął. Dziecięca twarz zabitego wyglądała na uśmiechniętą.

* Ilu ludzi, Schulze? * spytał miękko.

* Około dwudziestu, panie poruczniku... Ich biedne matki!

* Zginęli za swój kraj.

* Kraj... * powtórzył szyderczo strzelec. Porucznik podniósł wzrok.

* Co jest...

Skądś wyraźnie dochodził krzyk i jęki rozkoszy.

* Co to było? * zapytał i przysiadł w kucki, odbezpieczając pistolet maszynowy.

* To gdzieś stamtąd * odpowiedział Schulze.

* Osłaniaj mnie. Muszę to sprawdzić.

* Niech pan uważa, panie kapitanie, to może być snajper * upominał szeregowiec.

Ostrożnie, kryjąc się w cieniach, które zaczęły skrywać małą uliczkę, dwóch ludzi ruszyło w kierunku pobielonej chałupy, z której dochodziły przedziwne dźwięki. Były rytmiczne i uporczywe, jakby ktoś kogoś gryzł z rozkoszy. To nie pomagało Schulzemu w myśleniu.

Von Dodenburg podszedł do drzwi chaty. Palcem wskazującym pokazał podwładnemu, aby przeszedł na drugą stronę uliczki i stanął dokładnie naprzeciwko drzwi. Schulze bezszelestnie wykonał rozkaz.

Porucznik poczekał, aż strzelec zajmie pozycję, i przycisnął mocno pistolet maszynowy do uda. Potem nabrał powietrza w płuca i z całej siły kopnął podkutym butem drewniane drzwi. Te natychmiast ustąpiły, oficer odskoczył, a Schulze posłał do środka serię pocisków.

* Niebo, dupa i dratwa! * rozległ się trudny do pomylenia głos sierżanta Metzgera.

* Dobranoc, Marysiu * stęknął zaskoczony Schulze * to Rzeźnik!

Von Dodenburg wtargnął do środka, zaraz za nim wpadł rosły hamburczyk. Znaleźli się w ciemnym, brzydko pachnącym pokoju. Starszy sierżant Metzger leżał twarzą do ziemi i gwałtownie próbował wciągnąć spodnie.

* Święty Boże! * zawołał Schulze, widząc szamoczącego się na podłodze podoficera. * Rzeźnik z gaciami na kostkach!

Ale uśmiech zamarł mu na twarzy, gdy zdał sobie sprawę, co zrobił sierżant.

* Przecież nie jest pan wyleczony! * krzyknął oskarżycielsko. * Zostawił jej pan...

Nagle urwał. Dziewczyna, która leżała na łóżku, szybciej od podoficera pozbyła się strachu i uśmiechała się bezrozumnie. Nogi miała nadal rozrzucone, leżała w pozycji, w której zostawił ją Rzeźnik, wyskakując z łóżka.

Von Dodenburg od razu ocenił sytuację.

* Okryj się * powiedział, a widząc, że jedyną reakcją dziewczyny jest głupi śmiech, rzucił jej sukienkę.

Jej radość zniknęła * nadąsała się jak obrażone dziecko.

* Wynoś się! Schulze, wyrzud ją! Strzelec chwycił dziewczynę za rękę i wyciągnął z łóżka.

* Chodź, Greto Garbo, idziemy * powiedział. Pomimo nieco szorstkiego zachowania w jego głosie było dużo troski.

* Dzisiaj już dałaś przedstawienie.

Gdy znaleźli się na zewnątrz, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął połamaną tabliczkę przydziałowej czekolady, mocno nafaszerowaną środkami pobudzającymi.

* Masz, biedna suko! Bierz to i znikaj. Nedorozwinięta dziewczyna próbowała

pokłonić się w wiejskim stylu, ale fatalnie jej to wyszło. Gryząc radośnie czekoladę, szybko zapomniała o ostatnich zdarzeniach i ruszyła bez celu w ciemność.

Schulze wrócił do chałupy.

Starszy sierżant założył już spodnie, ale nadal miał rozpięty rozporek. Stał wyciągnięty jak struna przed rozsierdzonym porucznikiem.

* Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że my tutaj realizujemy ważną misję?! * grzmiał. * Nie tylko militarną, ale również polityczną. Jesteśmy zwiastunami Nowego Porządku! Głupcy,

tacy jak ty, niszczą zaufanie miejscowej ludności do nas, Niemców! Mój Boże, człowieku, czy to do ciebie dociera?!

* Przecież to tylko zwykła idiotka * słabo próbował usprawiedliwić się Metzger.

* Idiotka! * ryczał oficer. * To jeszcze gorzej! Co miejscowi sobie o tym pomyślą? Niemcy przyszli do wioski i przynoszą nową filozofię życia, odbudowę Europy. I co najpierw robi jeden z niemieckich podoficerów * obraca niedorozwiniętą dziewczuchę!

Wściekłość w poruczniku zawrzała, cofnął rękę i uderzył nieszczęśliwego podoficera w twarz. Ten pod wpływem ciosu cofnął się i oparł o ścianę. Po twarzy zaczął mu spływać strumyk krwi, a z oczu wyglądało niedowierzanie w to, co się działo. Nikt go nie uderzył od czasu, gdy skończył dziesięć lat. Cały świat sierżanta Metzgera się zawalił. On, żołnierz z długoletnim stażem wojskowym, najstarszy podoficer w kompanii, został spoliczkowany jak gówniany rekrut w czasie pierwszego dnia pobytu w armii! To było chyba niemożliwe. A jednak wydarzyło się i powoli docierało do świadomości Rzeźnika.

Z błyszczącymi z gniewu oczami von Do* denburg zwrócił się w stronę Schulzego.

* Masz eskortować Metzgera do mojego stanowiska dowodzenia. Miej na niego oko i nie zawahaj się zastrzelić go, gdyby próbował uciekać.

* Tak jest, panie poruczniku * powiedział hamburczyk z nutą satysfakcji. * Może pan na mnie polegać.

* A co do ciebie, Metzger... Znajdujesz się w ścisłym areszcie aż do rozpoczęcia natarcia, które będzie miało miejsce za pół godziny. Potem zostaniesz zwolniony do aresztu otwartego.

Rzeźnik próbował wyjąkać jakieś przeprosiny i podziękowania, ale porucznik nie pozwolił na to.

* W trakcie operacji pozostaniesz blisko mnie, rozumiano?

* Tak jest, oczywiście, panie poruczniku! * I jeszcze jedna rzecz.

* Tak jest!

* Będziesz nosił miotacz płomieni, który przywiózł kapitan Geier. Od teraz jesteś operatorem tego sprzętu w mojej grupie, rozumiano, strzelcu Metzger?

Głos uwiązł w gardle byłego podoficera. Nie doświadczył, że stracił zazdrośnie strzeżoną rangę, o którą walczył

przez dziesięć lat, to jeszcze wydano na niego wyrok śmierci w zawieszaniu.

PIĘD

Esesmani, skuleni w grupie w przybrzeżnym mulu, co chwila padali na twarze, gdy strumienie światła z reflektorów prześlizgiwały się po powierzchni wody. Jak długie łódkowe palce ścigały się w poprzek kanału, zatrzymując się na chwilę to tu, to tam, przeskakiwały ponad naprężonymi ciałami i ruszały dalej.

Chwilę później zniknęły i żołnierzy obejmowały ciemności.

* W porządku * syknął von Dodenburg, jakby wróg znajdował się tylko kilka metrów dalej. * Właził do łodzi.

Rzeźnik, przygnieciony ciężarem pojemnika z mieszanką zapalającą, niezdarnie postawił nogę w czółnie, za nim ruszył Schulze. Na innych łódkach przycumowanych przy brzegu kanału działo się to samo.

* Wypływaj * rozkazał porucznik. Prawie bezgłośnie odbili od brzegu.

* Dużo szczęścia * zawołał z brzegu Sęp, znikając po chwili w ciemnościach.

Von Dodenburg wzdrygnął się, nie wiedział, czy był to skutek strachu, czy też zim

nych wód kanału. Nie miało to jednak znaczenia. W tym mroku nikt ich nie mógł zobaczyć. Teraz byli dokładnie w połowie szerokości przeszkody wodnej. Przed nimi rysowały się kontury betonowego muru, który w niezauważalnym dla oka miejscu łączył się z ciemnym niebem. Gdyby nas teraz spostrzeżono, byłaby prosta i szybka masakra, pomyślał porucznik. Nie mielibyśmy żadnych szans.

Nagle zielona flara wystrzeliła w niebo i zawisła na chwilę bez ruchu.

* Padnij * krzyknął zdławionym głosem porucznik.

Momentalnie przestali wiosłować. Schowany na dnie czołna, osłonięty burtami von Do* denburg widział

chorobliwie zieloną twarz Metzgera, na której błyszczały wypełnione strachem oczy. Czuł, jak jego własne serce wali jak młot kowalski. Flara zaczęła powoli, z sykiem opadać, by w koocu zgasnąć w wodzie. Ledwo kontrolując drżenie głosu, porucznik powiedział:

* W porządku, ruszaj dalej.

Chwilę później od strony zniszczonego mostu odezwał się karabin maszynowy. Mogli obserwować lecące zygzakiem, białe i czerwone paciorki światła, słyszeli, jak pociski z jękiem rykoszetują od betonowej ściany. Jednak wróg na pewno nie celował w nich.

Z głuchym tąpnięciem dzioby łodzi uderzały w betonową ścianę. Von Dodenburg nawet nie zdążył podziękować Bogu za szczęśliwą przeprawę.

* Ustawid się w szeregu * rozkazał cicho. * Prowadzą podoficerowie. Wyrwę jaja każdemu, kto zrobi najmniejszy hałas. Jasne?!

Nikt nie odpowiedział, ale von Dodenburg wiedział, że jego ludzie są świadomi niebezpieczeństwa. Gdy zaczną się wspinać po betonowej skarpie, będą znowu wystawieni na strzał jak kaczki na polowaniu.

Kuno przerzucił pistolet maszynowy przez ramię, sprawdził pasek hełmu, po czym zaczął dotykać pozostałych części ekwipunku, oceniając, czy mogą się oderwać i uczynić łoskot, spadając na beton.

Wziął głęboki oddech i ruszył w ciemność, wyszukał pierwszą szczelinę jako uchwyt dla dłoni. Reszta ludzi ruszyła za nim.

Leżeli na szczycie betonowego muru i dyszeli niczym starcy po długim biegu. Wspięli się za cenę pozrywanych paznokci i wymęczonych płuc. Ta wspinaczka była nocnym koszmarem, brutalną

mieszanią strachu i nerwowego napięcia, ale pomimo bólu w mięśniach i krwawiących palców von Dodenburg uśmiechał się do siebie z lekkim triumfem. Nikt nie odkrył ich obecności. Wytarł pot z czoła, pochylił się, aby nie dostrzeżono jego sylwetki rysującej się na krawędzi pochyłej ściany, i podbiegł w stronę Schwarza.

* Niech pan posłucha * wyszeptał, dłoomi zasłaniając usta, by stłumid głos. * Rozdzielimy się na dwie grupy. Spadochroniarze nie mogą byd daleko. Niech pan pilnuje, aby w ciemności paoscy ludzie nie wystrzelali ich przez pomyłkę.

Potem zmarszczył nos, czując smród podwładnego. Nie myli się już od dwudziestu czterech godzin, więc duszący odór zestarzałego potu był wszechobecny.

Schwarz pokiwał głową, a von Dodenburg szybko odczołgał się w stronę swoich żołnierzy. Szedł od jednego do drugiego i powtarzał wszystkim tę samą, jego zdaniem pocieszającą informację.

* Powinniśmy dotrzeć do spadochroniarzy w ciągu kilku minut.

Zmęczeni esesmani powoli podnosili się z ziemi. W rozproszonym szyku, napominani szturchnięciami i kuksaocami przez ocalałych podoficerów, aby zgodnie z poleceniami von Dodenburga nie robili hałasu, ruszyli poprzez zroszone pole w kierunku groźnych zarysów fortu Eben Emael.

I wtedy szczęście ich opuściło. Pole po prawej stronie porucznika eksplodowało z ogłuszającym hukiem.

W błysku pomarańczowych płomieni oficer zobaczył ciało wyrzucane w powietrze. Chwilę później zapadła głęboka ciemność, a przerażony głos zaczął zawodzić:

* Miny, wszędzie miny!

* Zatrzymad się! Wszyscy stad!

Ale było już za późno. Kolejna mina wybuchła ledwie dziesięd metrów od von Doden* burga. Padł odruchowo na ziemię, a na jego hełm spadły jak letni deszcz kamienie i błoto. W świetle dogasających płomieni wybuchu dostrzegł przez mgnienie oka, jak jeden z kaprali bandażuje kikut rozerwanej prawej nogi. Automatycznie ruszył w jego stronę, lecz ranny żołnierz szybko zawołał:

* Niech pan nie podchodzi, poruczniku. Te ścierwa są wszędzie!

Von Dodenburg stanął, jakby wrósł w ziemię. Co teraz powinien zrobid? Od strony zarysu pierwszego stanowiska artyleryjskiego wystrzeliła w powietrze czerwona flara i powoli zaczęła wspinad się w niebo.

Usłyszał krótkie rozkazy wydawane w obcym języku, domyślał się ich treści. Zagrzechotał karabin maszynowy, a po nim nastąpiły wściekłe strzały karabinowe.

* Mój Boże! * krzyknął ktoś za nim i padł na ziemię.

Von Dodenburg nadal się nie ruszał. Chwilę później Schulze zmusił go do działania.

* Na miłość boską, wynośmy się stąd! * wołał strzelec, starając się przekrzyczed narastającą palbę karabinową.

* Ale gdzie, do diabła?

* Na szczyt tamtej kopuły. To jedyny sposób. Znajdziemy się w martwej strefie!

* Ale co z minami?

* Pieprzyd miny! * zawołał Schulze, chwytając porucznika za ramię. * Jazda!

Rzeźnik stał jak skamieniały, przygniatany do ziemi kanistrem miotacza płomieni. Schulze już się nie wahał. Walnął go w krzyże i ryknął:

* Ty też! Maszeruj albo wykituj, tak zawsze do nas wołałeś! Więc teraz tak zrób!

Biegli polem w świetle zdradzieckich rac oświetleniowych, prosto w śmiertelną ścianę ołowiu. Biegli, padali, podrywali się i znowu biegli. Miny eksplodowały wokół nich. Ktoś zawołał w agonii. Przeskoczyli nad rannym żołnierzem i pognali dalej.

Wpadli w coś, co okazało się systemem transzei. Von Dodenburg stanął nagle twarzą w twarz z belgijskim żołnierzem. Rozpoznał wielki hełm z poprzedniej wojny. Podobny miał jego ojciec w swoim gabinecie. Instynktownie wystrzelił, chociaż człowiek podnosił ręce w geście poddania. Belg padł na plecy, wystrzelony z bliskiej odległości pocisk dosłownie rozerwał mu brzuch.

Chwilę potem porucznik potknął się, bo noga zaplątała mu się w zwój drutu kolczastego, i runął na ziemię jak długi. W tym samym momencie Metzger nacisnął spust miotacza płomieni. Wystrzelił jęzor ognia. Dwadzieścia metrów dalej żołnierz wroga błyskawicznie zmienił się w żywą pochodnię. Padł na ziemię i zaczął rzucać się w śmiertelnym bólu.

Inny uciekał w ich stronę, oślepiiony płomieniami, i machał rozpaczliwie spalonymi rękami. Wreszcie padł

na ziemię, a jego napęczniała, poczerniała głowa znalazła się w błyskającej płomieniami kałuży. Schulze szturchnął go stopą.

* Chodźcie * wysapał * już prawie jesteśmy.

Przebiegli obok porzuconego karabinu maszynowego. Ze strzelnicy wysunęła się czarna głowa. Grube usta mruczały coś niezrozumiale w języku zbliżonym do francuskiego. Von Dodenburg zrozumiał tylko słowo: „litości”. Ale opanowała go żądza krwi i nie miał zamiaru jej powstrzymywać. Wystrzelił serię i czarna głowa Kongijczyka utonęła w kałuży krwi.

Drogę zagroził im niewielki bunkier. W pierwszej chwili myśleli, że został opuszczony, ale niespodziewana lawina pocisków położyła na ziemię kaprała, który znajdował się za porucznikiem.

Wiedzieli już, jak bardzo się pomylili.

* Miotacz płomieni. Szybko! * warknął Schulze i wypchnął naprzód Metzgera. * No, dalej kochasiu, do roboty!

Były sierżant podszedł niepewnym krokiem i nacisnął spust broni. Rozległ się stłumiony świst. Płomienie ogarnęły ściany bunkra. Nic się nie wydarzyło, na górze błyszczała tylko stalowa kopuła.

* Daj mu jeszcze raz! * wrzasnął Schulze.

Teraz zadziało. Zza muru wyskoczyło z pół tuzina oślepionych i kaszlących Belgów, którzy podnosili ręce na znak kapitulacji. Ktoś skosił ich jedną, długą serią z broni maszynowej.

Przebili się przez zewnętrzną linię belgijskiej obrony. Obustronna strzelanina ustępowała powoli wymianie pojedynczych strzałów i krótkim seriom z karabinów maszynowych. Przebili się przez pole minowe, jednak za cenę ogromnych strat. Zwolnili i szli powolnym marszem, dając trochę odpocząć zmęczonym płucom. Ospałymi ruchami ścierali pot z czoła, a von Dodenburg pomimo ciemności liczył

ciemne sylwetki swoich ludzi idących obok niego. Z przerażeniem stwierdził, że w ciągu pół godziny stracił połowę żołnierzy. Niezdecydowanym ruchem wskazał, że powinni skierować się ku ciemnym zarysom widniejącego na horyzoncie fortu. Za nimi, na diabelskim polu minowym, ktoś leżał i rozdzierająco krzyczał:

* Towarzysze, na miłość boską, nie zostawiajcie mnie!

Wołanie stopniowo słabło, aż wreszcie ucichło.

Piętnaście minut później natknęli się na spadochroniarzy. Nie było w tym żadnej dramaturgii. Okrągły, pozbawiony wygiętej krawędzi hełm wychylił się z rowu w pobliżu fortu i dobiegło do nich pytanie:

* Co, do diabła, robiliście tak długo?

SZEŚD

Gromada zarośniętych i osmolonych spadochroniarzy zajmowała pozycje między wrakiem szybowca DFS

230, który wylądował na szczycie fortu, a bunkrem wyłączonym z akcji ładunkami burzącymi. Kiedy tylko belgijska lub, przez przypadek, niemiecka artyleria ostrzeliwała ich, uciekali do wnętrza zniszczonych umocnień, ale resztę czasu spędzali na zewnątrz. Wyjaśnił to dowodzący spadochroniarzami sierżant:

* Trochę dziwnie się czujesz, gdy tam siedzisz, ludzie tego nie lubią. Jeśli się wsłuchasz, możesz usłyszeć Belgów, którzy są poniżej, w podziemnych galeriach. Są ich tam setki.

Wzdrygnął się.

* Ludzie wolą siedzieć na zewnątrz, na widoku, chociaż Belgowie ostrzeliwują nas dwa razy dziennie.

Von Dodenburg pokiwał głową ze zrozumieniem.

* A co z próbą wdarcia się do galerii? * spytał.

* To niemożliwe * wyjaśnił sierżant. * Wyczerpaliśmy wszystkie ładunki burzące. Zo stały nam tylko pistolety maszynowe i karabiny.

* A granaty? * dociekał porucznik. Dowódca spadochroniarzy był wyczerpany

i Kuno zdawał sobie z tego sprawę. Przeprowadzili przecież jeden z najbardziej zadziwiających wyczynów w historii współczesnych wojen: lądowanie na szczycie najpotężniejszej fortyfikacji w Europie. Do tego musieli podjąć walkę z przeciwnikiem, który miał przygniatającą przewagę liczebną. Nie mógł w tej sytuacji krytykować ich braku inicjatywy.

* Wiązaliśmy je w wiązki po trzy i zniszczyliśmy w ten sposób wieżę pod nami. Niektórzy chłopcy spuszczały się na dół, wzdłuż luf armatnich, zawieszali je przy ich wylotach i szybko uciekali.

Von Dodenburg wstał i spojrział przez szczelinę okopu.

* Sierżancie, niech pan pójdzie ze mną do środka wieży, gdzie możemy to dokładniej obejrzed.

Chciałbym, aby pan mi coś wyjaśnił.

Nisko pochyleni pospieszyli do bunkra, przy którym leżała resztką wyczerpanych ludzi z kompanii porucznika. Niektórzy siedzieli oparci o mur, Schulze usiłował opatryd umierającego żołnierza, który otrzymał okropny postrzał w podbrzusze. Ranny odwrócił głowę w stronę zbliżających się ludzi, po czym jego rumiana twarz zbladła i znieruchomiła.

* Co z nim? * spytał von Dodenburg.

Schulze potrząsnął głową i pokazał kciukiem w kierunku ziemi.

* Kula trafiła go w jajka. Jestem zaskoczony, że tak długo pociągnął.

Oficer nie skomentował wypowiedzi podwładnego. Czas współczucia już minął. Czuł się obecnie całkowicie pozbawiony emocji. Zbyt wielu ludzi z batalionu zginęło w ciągu kilku ostatnich godzin. Teraz potrafił myśled tylko o wyznaczonym zadaniu i kilku godzinach snu. Spad, spad, spad, wieczność i jeszcze jeden dzieo.

* Zrób dla niego, co możesz, ale go uspokój * powiedział do szeregowca i wykonał gest, jakby palcami naciskał tłoczek strzykawki.

Schulze od razu pojął, o co chodzi. Wstrzyknął w ramię rannego chłopaka odpowiednio dużą dawkę morfiny, która pozwoli mu bezboleśnie odejść na tamten świat.

Von Dodenburg usiadł obok sierżanta spadochroniarzy, właśnie wyciągającego świeczkę.

* W porządku, sierżancie, potrzebuję paru wskazówek, może mi je pan dać.

Powoli, jakby z przesadną precyzją, podoficer zaczął rysować brudnym palcem na pokrytej kurzem betonowej podłodze bunkra kontury tej części fortu, w której się znajdowali.

* Jesteśmy tutaj. Pod nami znajduje się galeria biegnąca w tamtym kierunku, oczywiście jeśli się nie mylę. Z tej galerii jest wyjście na dwie kopuły artyleryjskie * jedną, jak już

wspomniałem, udało nam się zniszczyć, druga nadal funkcjonuje.

* Ma pan na myśli stanowisko artyleryjskie numer trzydzieści?

* Tak, przypuszczam, że to trzydziestka. Porucznik chłonął informacje. Patrzył na

swój cień migoczący na ścianie w chybliwym świetle świeczki. Musiał wszystko zebrad w głowie i uporządkować. Za ich plecami umierający żołnierz westchnął miękko, gdy Schulze wbijał mu w ramię igłę strzykawki. Po chwili głowa chłopaka opadła na bok, zaczął chrapać, jakby spał. Schulze przeciągnął się odrętwiały i oparł o mur obok Rzeźnika, który miał tak czarną twarz, jakby przebiegł maraton z workiem sadzy na plecach.

W bunkrze zapanowała cisza przerywana tylko czasem jękami umierających ludzi i szmerem

dochodzącym z galerii piętro niżej. Von Dodenburg nagle poderwał głowę. Już prawie przysypiał, siedząc w kucki, a przecież musiał zaplanować, co robić dalej.

Ociężale przetarł pięściami gałki oczne, chcąc pobudzić się do życia.

* To mówi pan, że ta galeria... * zwrócił się do doświadczonego spadochroniarza bełkotliwie jak pijany. *

Nie... mam na myśli... czy z tego zniszczonego stanowiska artyleryjskiego można dojść do galerii?

Sierżant powoli potaknął.

* Czy jest możliwość dostania się do niego z zewnątrz? Sierżancie, mówię do was!

Spadochroniarz rozbudzony podrzucił głowę do góry.

* Przez furkę armatnią. Może się udać, ale trzeba mieć ładunki wybuchowe.

* Jak silne?

* Boże * poskarżył się sierżant, klepiąc twarz brudnymi dłońmi. * Nie wiem.

Znowu zamknął oczy. Von Dodenburg złapał go za kołnierz i potrząsnął nim gwałtownie.

* Sierżancie, zadałem pytanie! Ile?

* Niewielki ładunek, wiązka czterech lub pięciu granatów. Związane razem mogłyby rozwalid ścianę.

Porucznik zwolnił uchwyt, a spadochroniarz ponownie oparł się o mur. Chwilę po tym już spał, chrapiąc głośno przez otwarte usta.

* Pięć ręcznych granatów * wyszeptał do siebie oficer. * Tylko pięć.

Powoli w jego głowie zaczął rodzić się plan. Przed świtem musi być w galerii poniżej, gotowy do eliminowania kolejnych stanowisk artyleryjskich wroga. Popatrzył na fosforyzującą tarczę zegarka.

Zostało dokładnie dziesięć godzin, potem niemiecka armia zacznie całą siłą forsować Mozę. Jeśli batalion szturmowy SS nie zniszczy działa, przeprawa przez rzekę może zamienić się w masakrę.

* W porządku, von Dodenburg * wyszeptał Schwarz, gdy oddział desantowy zebrał się na szczycie fortu *

wszystko gotowe.

* Dobrze * powiedział Kuno, szarpiąc szorstką, prymitywną linę, którą zrobili z uprząży spadochronowych znalezionych w zniszczonym szybowcu.

Ułożył wygodniej wiązkę granatów.

* Jestem gotów.

* Niech pan spojrzysz w dół, panie poruczniku * powiedział zaniepokojony Schulze. * Do tego będą potrzebne czary.

Porucznik tylko się uśmiechnął.

* Załatwię to, niech się pan nie martwi. Wrócę i jeszcze zrobię z pana porządnego żołnierza.

Jeszcze raz spojrzął na błyszczącą tarczę zegarka. Do świtu zostało najwyżej pięć godzin.

* Spuśćcie ją na dół * powiedział do żołnierzy, próbując ukryć strach w głosie.

Żołnierze zrzucili jeden koniec sznura, a potem mocno chwycili jego drugi koniec. Chwilę później porucznik znalazł się poza krawędzią szczytu fortu i schodził w dół, trzymając się kurczowo prowizorycznej liny. Nagle ogarnęła go ciemność. Dwadzieścia metrów, trzydzieści, czterdzieści. Wiatr zdawał się przybierać na sile. Wisiał twarzą do fortu i czuł, jak boleśnie ociera się ciałem o ścianę.

Sześćdziesiąt metrów. Naraz zatrzymał się,

poczuł szarpnięcie cienkiego sznurka przymocowanego do nadgarstka. To był uzgodniony sygnał.

Musiał

już być na poziomie wyższego działka zniszczonego przez spadochroniarzy.

Wziął głęboki oddech i spojrzał w dół. Wątki, wijąca się srebrzyście nitka musiała być Kanałem Alberta.

Jeśli zrobi teraz fałszywy ruch, to będzie koniec podróży. Oblizał usta, podciągnął się trochę i mocno chwycił obiema dłońmi parciane uchwyty uprzęży.

* W porządku, buraki * powiedział * kołyszcie!

Powoli, prawie niezauważalnie, prowizoryczna lina zaczęła kołysać się w tył i w przód, równoległe do ściany. Jego ciało kołysało się jak wahadło, odbijając się z coraz większą częstotliwością od chropowatego betonu, by zwiększyć wychylenie liny. Stękał, gdy walił stawami o mur, ale tylko zaciskał

zęby z bólu. Gdzieś niedaleko, może jakieś dziesięć metrów na prawo, sterczała w niebo cicha lufa armaty kalibru 75 milimetrów. Musi zdobyć jej stanowisko. Musi!

A tam, na płaskowyzu, na szczycie fortu, spoceni esesmani z wytrzeszczonymi z wysiłku oczami, zaparci obcasami w ziemię, z całej siły trzymali linę, na której kołysał się ich dowódca. Nie widzieli go, ale wyraźnie słyszeli, jak od czasu do czasu ociera się o szorstką betonową ścianę.

Daleko w dole von Dodenburg kołysał się na wielkim wietrze huczącym wokół niego, jakby chciał oderwać od ściany jego zbolące ciało i pozbawić go dogodnej pozycji. Dwa razy uderzył głową w kawał

betonu, nie stracił przytomności tylko dzięki temu, że miał na głowie hełm. Nagle przed jego oczami pojawiły się bliźniacze lufy rozerwane w wielu miejscach ładunkami wybuchowymi, które odpalili spadochroniarze. Polegając całkowicie na swoich ludziach, oderwał ręce od liny i chwycił za poszarpaną stal. Paznokciami starał się uchwycić metal, jednak lina wahadłowym łukiem odciągnęła go w przeciwną stronę. Spróbował jeszcze raz i jeszcze raz, nadal bez rezultatu! Kooce palców miał całe we krwi i stracił

w nich czucie. Nagle poczuł gwałtowny odpływ sił. Wiedział, że ludzie na górze mogą już dłużej go nie utrzymać, więc pozwolił się popchnąć silnemu wiatrowi i ruszył do przodu. Wyciągnięte przed siebie dłonie trzymał w pogotowiu. Przed oczami zamajaczyła mu pierwsza lufa. Rzucił się do przodu, napinając każdy mięsień. Chwycił coś, potem puścił i ponownie złapał zimny metal. Nadział się na coś ostrego.

Poczuł, jak impuls bólu przebiega przez całe ramię, ale nie puścił zbawionego uchwytu. Ostatnim wysiłkiem woli podciągnął się na szczyt wielkiego działka i położył się na nim bezwładnie jak worek ziemniaków, patrząc niewidzącymi

oczami w dół, na płynące daleko srebrzyste wody Kanału Alberta.

Wydawało mu się, że minęły wieki, chod tak naprawdę odpoczywał może trzydzieści sekund. Potem pociągnął za sznurek sygnałowy, by dać żołnierzom na górze znak, iż znalazł punkt oparcia. Usiadł okrakiem na lufie i zaczął przesuwad się w stronę wieży pancерnej. Dotarł do niej bezpiecznie i mocno przechylony na prawo mógł się przekonać, że sierżant spadochroniarzy nie kłamał.

Przy furcie działowej znajdował się sporych rozmiarów otwór obserwacyjny. Ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jego dalszej krawędzi.

Ocenił, że otwór ma trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Był zbyt mały, aby precyzyjnie się przez niego chodby najszczuplejszy żołnierz batalionu. Ale dodatkowe dziesięć centymetrów pozwoliłoby wcisnąć się w niego nawet takiemu bykowi jak Metzger.

Sięgnął po granaty, związał je fachowo drutem dostarczonym przez sierżanta spadochroniarzy, który dał

mu również pięć zapalników: tak jak wszyscy żołnierze, którzy wylądowali na szczycie fortu, był on wyszkolonym saperem. Zagryzając dolną wargę, przerzucił prowizoryczny ładunek wybuchowy do lewej ręki. Jeden zły ruch i granaty wyslizgną mu się z ręki i eksplodują bez celu na dnie wieżyczki.

Wyciągnął się jak struna, umieścił granaty w szczelinie obserwacyjnej i wcisnął zapalniki.

Szaleoczo odepchnął się, przeciągnął ponad bliźniaczymi lufami i przytulił do chropowatego betonu. Pięć granatów eksplodowało z przytłumionym hukiem. Podmucha gorącego powietrza uderzył go w twarz.

Kawałki betonu poleciały w powietrze i po chwili z głośnym chlupotem powpadały do wody. Uniósł głowę, spodziewając się gniewnych okrzyków i serii z karabinów maszynowych. Ale nic się nie działo.

Żadnych wrzasków ani strzałów. Prawdopodobnie Belgowie pomyśleli, że był to wybuch niemieckiego pocisku artyleryjskiego.

Ostrożnie, spodziewając się zasadzki, von Dodenburg zbliżył się ponownie do powiększonego otworu.

Rozwiewający się dym odsłonił poszarpane, ostre krawędzie powiększonej szczeliny. Powoli wcisnął do środka głowę i ramiona. Obyło się bez większych kłopotów, więc pociągnął ponownie za sznurek sygnałowy, by kolejni żołnierze schodzili na dół. Pięć minut później cały oddział desantowy znalazł się w opuszczonej kopule artyleryjskiej. Żołnierze rozglądali się ciekawie, korzystając z niebieskiego światła pochodni, którą zapalił Schwarz.

Schwarz przejął dowództwo. Trzymał pistolet maszynowy mocno przyciśnięty do biodra. Mały oficer SS

wydawał się nieustraszony. Dwa razy przeprowadził ludzi przez zajmo

wane przez wroga pozycje, a światło przeciekające pod drzwiami i basowy pomruk wskazywały, że Belgowie są w środku i nie śpią. Raz w zaciemnionym korytarzu przemknął jakiś cieo, w świetle pochodni przybrał on monstrualne rozmiary. Ale Schwarz nie zwracał na to uwagi. Jego oczy nie wyrażały żadnych emocji, a twarz pokrywała krew i ponury uśmiech. Prowadził oddział w głąb wrogiego fortu. Teraz słyszeli tylko stukot własnych butów, chod założyli na nie skarpetki, aby jak najbardziej stłumid hałas. Do tego wentylacja dudniła jak serce jakiegoś wielkiego stworzenia.

Nagle porucznik zgasił pochodnię.

* Pod ścianę * syknął. * Ktoś idzie.

Serca biły im szaleoczo, gdy wciskali się w zagłębienia muru. Wpatrywali się w zbliżające się łukowate snopy światła, którymi nadchodzący oświetlali sobie drogę.

* Nie strzelad * wyszeptał von Dodenburg. Schulze stał zaraz za Schwarzem. Zacisnął

mocno pięści, jakby przewidując rozwój wydarzeń. Mały porucznik lekko przykucnął i przycisnął bagnet do biodra.

W polu widzenia pojawił się wielki cieo. I jeszcze jeden. Poprzedzały swoich właścicieli jak mityczni giganci. Von Dodenburg odetchnął z ulgą.

* Tylko dwóch!

* Id... la bas! * zawołał Schwarz najlepszą francuszczyzną, na jaką go było stad, gdy pierwszy człowiek wyłonił się z ciemności.

Belgijski kapral wyglądał na bardzo zaskoczonego.

* Pardon * powiedział przepaszajaco i zgasił latarkę, jakby obawiał się, że oślepie ona Schwarza.

W tej samej chwili bagnet wbił się między jego żebra. Belg otworzył usta, aby krzyknął z bólu, ale porucznik zasłonił je dłonią. Kolana ugięły się pod Belgiem i żołnierz powoli osunął się na podłogę.

Latarka wypadła mu z dłoni.

Ułamek sekundy później Schulze uderzył drugiego przeciwnika za uchem i chwycił za tył jego hełmu.

Stalowy ochraniacz zsunął się mężczyźnie na kark, a pasek trzymający hełm zaczął uciskać mu gardło.

Niemiec potężnie kopnął wroga kolaniem w krzyże, a potem wielkimi łapami pociągnął za hełm. Pasek zaczął dusid ogłuszonego Belga. Jego krzyk zamienił się w skowyt wisielca. Desperacko chwycił palcami za duszący go kawałek skóry. Rzucił się rozpaczliwie, ale Schulze trzymał mocno. Oczy Belga wyszły ze strachu z orbit, nadal rzucał się z boku na bok. Mimo to hamburczyk powoli go dusił. Belg wreszcie zwiotczał, a Schulze delikatnie położył zabitego przeciwnika na ziemi.

Chwilę później reszta oddziału zebrała się nad zwłokami dwóch zabitych Belgów. Niektórzy

esesmani zaczęli nerwowo szukać po kie

szeniach, by wydobyć pogniecione papierosy. Nie zauważyli trzeciego żołnierza, który przestraszony umknął bezgłośnie, by zameldować o pojawieniu się cholernych, brudnych wrogów.

Znajdowali się głęboko wewnątrz fortu. Huk serii broni maszynowej i wystrzałów artylerii zagłuszała grubość skał i murów i powoli ustępował on dźwiękom maszynierii obsługującej podziemne umocnienia.

Von Dodenburg podniósł rękę do góry. Zatrzymał się i wskazał na drabinę znajdującą się dokładnie przed nimi, przyczepioną do betonowej ściany obok napisu DEFENSE DE FUMER. Po obu stronach drabiny znajdowały się otwarte szyby windowe, w których poruszały się proste platformy dźwigowe zwane w Niemczech „pater nosterami”.

* Wożą nimi pociski z magazynów do wież artyleryjskich * wyjaśnił spokojnie.

Schulze pierwszy wiedział, co zrobić.

* Załatwimy je z marszu. * Jak?

Żołnierz roześmiał się.

* Kiedy maszyny w dokach w Hamburgu zatrzymywały się, robotnicy mieli przerwę na kawę. A w poniedziałki rano, po nocy spędzonej na Reeperbahn, maszyny często się zatrzymywały.

(Hamburska dzielnica czerwonych latarni.)

Potem zwrócił się do gromadki żołnierzy w cieniu za jego plecami.

* Niech każdy z was weźmie w garść trochę pyłu cementowego i idzie za mną.

Pokazał, o co mu chodzi, i na skinienie głowy von Dodenburga pozostali żołnierze wrzucili pył i gruz do szybów windowych. Schulze zaśmiał się radośnie, gdy proszek cementowy pokrył wypolerowane prowadnice, które znajdowały się po obu stronach szybów dźwigowych.

* Tam na dole * powiedział * będziemy potrzebowali dużo tego gównianego proszku. Gdybym zszedł niżej i sprawdził, czy silniki wind są benzynowe, wystarczyłaby garść cukru i byłoby po sprawie.

Na podkreślenie swoich słów pstryknął głośno palcami.

* Ale taka ilość tego brudu też na chwilę załatwi sprawę.

Żołnierze pospiesznie sypali kolejne porcje chropowatego proszku, który miał zatrzymać windy amunicyjne. Nawet Schwarz uległ ogólnemu poruszeniu i sypnął parę garści gruzu.

Dźwig windy zahamował z szarpiącym nerwy zgrzytem. Schulze puścił oko do dowódcy.

* No i co pan na to, poruczniku? Czy to nie jest najczystsza forma sabotażu, jaką pan widział?

* Ty cholerny terrorysto! Myślę, że powinienem donieść na ciebie do gestapo. Oczywiście,

jeśli wyjdę stąd żywy! * powiedział von Dodenburg, a w jego głosie dało się słyszeć zadowolenie.

* W

porządku, dałeś gwiazdorskie przedstawienie, Schulze. A teraz złazimy do środka.

Chwycił wojowniczo pistolet maszynowy.

* Wieża artyleryjska pod nami musi zostać wyłączona z akcji.

Pobiegli w dół tunelu, aż dotarli do schodów. W dolnej galerii, ciemnej od wilgoci kapiącej na ziemię, betonowe ściany pokryte były nalotem saletry potasowej. Ruszyli dalej śliską schodnią. Metzger, dwa razy cięższy od młodych żołnierzy, poślizgnął się i przewrócił. Nikt nie pomógł mu podnieść się z podłogi.

Wszyscy wiedzieli, że na byłym sierżancie ciąży poważne oskarżenie, a poza tym każdy martwił się o własne życie.

Nagle tunel skręcał pod kątem prostym w prawo. Biegący na czele von Dodenburg stanął w miejscu.

Drogę zagroziły mu wielkie stalowe drzwi, a ostre, białe światło rozjaśniało żółtawy półmrok.

* Stanowisko artyleryjskie numer czterdzieści sześć * wyszeptał.

Jakby na potwierdzenie jego słów zza drzwi doleciał silny huk wystrzału dział. Choć stal musiała mieć kilkanaście centymetrów grubości, zadrżała gwałtownie. Zaraz potem cały tunel wypełnił się dymem prochowym, który zaatakował ich płuca. Echo wy

strzału było tak silne, że musieli zasłonić uszy, by uratować bębni. Von Dodenburgowi wydawało się, że czaszka rozpada mu się na kawałki. Chwiejnym krokiem dotarł do muru, by się o niego oprzeć, potem pochylił się, a z oczu popłynęły mu łzy. Kaszłał tak, jakby mu wrywało płuca.

Schwarz, który nie dostał pełnego ciosu fali uderzeniowej po wystrzale bliźniaczych armat, przejął dowodzenie.

* Metzger, Schulze, osłaniajcie mnie. Wchodzę!

Nie czekając nawet, aż podwładni wykonają rozkaz, pochylił pistolet maszynowy i nacisnął stopą na stalowe drzwi. Oczywiście, jako droga ewakuacji na wypadek wybuchu pożaru, były dobrze naoliwione.

Artylerzyści noszący pod hełmami azbestowe kaptury chroniące ich przed iskrami stali gromadą przy windzie amunicyjnej. W gęstym, żółtym dymie gestykulowali nerwowo, przerzucając jeden na drugiego winę za zepsucie windy. Azbestowe kaptury utrudniały im widzenie i słyszenie i za późno zorientowali się, że jest za nimi Schwarz.

Gruby sierżant z chorobliwie pożółkłą twarzą, która dawno nie widziała słońca, obrócił się i zobaczył

wroga. Sięgnął po pistolet, ale nigdy nie wyciągnął go z kabury. Schwarz posłał krótką serię i tłusty kanonier z głuchym tąpnięciem uderzył o betonową ścianę.

Porucznik ponownie nacisnął spust niczym kosiarz w trakcie żniw. Belgowie padali tam, gdzie stali.

Najpierw podskakiwali, jakby ich poraził prąd, jak marionetki w rękach szalonego lałkarza, po czym osuwali się na betonową posadzkę. Wszystko stało się w ciągu kilku sekund. Gdy pistolet maszynowy ucichł, ostatni Belg zwijał się na podłodze.

Schwarz stał jak zahipnotyzowany w pozycji, w której strzelał, z rozstawionymi nogami i pistoletem maszynowym przyciśniętym do boku, jakby spodziewał się, że zabici artylerzyści mogą poderwadzić się na nogi i trzeba będzie raz jeszcze ich ostrzelać.

* Och, moje plecy... * zajęczał Schulze, patrząc na twarz małego oficera. * Ten facet dostał szau bojowego. Porucznik Schwarz oszalał!

* Zamknij jadaczkę! * przerwał mu von Dodenburg.

Niemal delikatnie położył dłonie na wciąż dymiącym pistolecie maszynowym zastępcy i powoli skierował

lufę ku ziemi.

* W porządku, Schwarz. Już wszystko w porządku!

Schwarz potrząsnął głową, wydawało się, iż budzi się z transu.

* Co jest? * spytał. * Co pan robi?

* Mój drogi Schwarz, już po sprawie

* uspokajał von Dodenburg.

* Oczywiście, że wszystko w porządku

* warknął Schwarz. * O czym pan mówi? Prze

cież zdobyliśmy wieżę czterdziestą szóstą, prawda?

W tym momencie von Dodenburg zdał sobie sprawę, że porucznik Kurt Schwarz jest szalony, nieodwołalnie i kompletnie obłąkany.

SIEDEM

Twarz komendanta Jottranda nawet w surowym, żółtym świetle nagiej żarówki wiszącej pod sufitem w obudowie z metalowej siatki wyglądała na kredowo białą.

* Co powiedziałaś? * naskoczył na żołnierza, który przyniósł złe wieści.

* Jest ich około trzydziestu * wysapał wojak z twardym francuskim akcentem. * Same szkopy.

Ostatnie słowo wypowiedział jako „czko* py”. Major Jottrand stwierdził, że chłopak musi być Flamandem. Znowu pomyślał o tym, jak łatwo mieli Niemcy * jeden wielki naród zjednoczony wokół

jednego lidera. I wszyscy mówią tym samym językiem! On zaś, dowódca największej fortecy w kraju, musiał porozumiewać się z ludźmi mówiącymi dwoma różnymi językami, do tego jedni nienawidzili drugich i nie chcieli służyć pod dowództwem człowieka, który mówił innym językiem niż oni. Jakim wariackim tworem była belgijska armia, jeśli jeszcze weźmie się pod uwagę, że jej nominalnego dowódcę, samego króla, podejrzewano o proniemieckie sympatie!

* Dokąd zmierzają?

* Chyba do skrzydła czterdziestego szóstego * oznajmił głos od strony drzwi.

* Co to może, do diabła, oznaczad, Baer? * burknął komendant.

Porucznik Baer, Flamand, pokazał głową szeregowcowi, aby wyszedł, potem stanął trochę nonszalancko na baczność.

* Panie majorze, pragnę zameldować, że przeciwnik zajął już wieżę numer czterdzieści sześć. Zniszczyli dźwig amunicyjny i, jak sędzę, zmierzają w kierunku wieży czterdzieści pięć.

Wyczerpany Jottrand machnął porucznikowi ręką, aby ten zrezygnował ze sztywnej postawy.

* Przepraszam, Baer. Moje nerwy i ta atmosfera tutaj, wewnątrz. Ostatni raz widziałem światło dzienne trzydzieści sześć godzin temu * powiedział, starając się wyjaśnić swoje zachowanie.

* Rozumiem * odpowiedział krótko porucznik.

Komendant wziął się w garść i wydał pierwsze sensowne rozkazy, które zostały jednak zagłuszone przez huk kolejnej eksplozji. Kawałki tynku z sufitu posypały się na jego łysiejacą głowę. Ściany lekko zadrżały, a przez szczelinę między podłogą i drzwiami wpłynęła fala cementowego pyłu.

* Wiesz, co to było, prawda, Baer? * spytał, gdy hałas minął.

Porucznik przygryzł usta.

* Numer czterdzieści pięć * powiedział Jot* trand i uśmiechnął się, jakby te słowa sprawiły mu

masochistyczną radość. * Jeśli ich nie zatrzymamy, zniszczą stanowiska trzydzieści sześć, dwadzieścia trzy i siedemnaście.

Zaśmiał się szyderczo.

* Nie trzeba być jasnowidzem, żeby przewidzieć, co zrobią potem.

* Uważa pan, panie komendancie, że szkopy mają zamiar przekroczyć rzekę na północ od nas, a zadaniem ludzi pod nami jest zniszczyć działa kryjące ten sektor?

* Dokładnie tak * powiedział Jottrand z zaciśniętymi ustami. * Ale nie mogę im na to pozwolić.

Walczyłem z nimi podczas poprzedniej wojny, pokonaliśmy ich. Teraz też chcę to zrobić. Jasne? Co teraz... Potrzebuję jak najwięcej ludzi, poza tymi od dział, aby stworzyć tymczasową kompanię: kucharzy, pisarzy, gooców, również sprzętaczy * wszystkich, którzy mogą strzelać z karabinów, rozumiesz?

* Tak jest, a potem?

Jottrand spojrzał gorączkowo na cyferblat zegarka.

* Dokładnie za piętnaście minut poproszę 7. Dywizję Piechoty, aby postawiła na szczycie fortu zasłonę artyleryjską. Mam zamiar pacnąć szwabów jak krowa odganiająca ogonem muchy. Potem przeprowadzimy kontratak.

Major dramatycznie, w rzymskim stylu * przeciwko czemu instynktownie buntowała się germańska dusza Baera * poderwał się na nogi i rósł z każdym słowem jak galijski wojownik.

* Poruczniku! Musimy wyrzucić ich z fortu! Dla chwały naszej armii i przyszłości naszego narodu!

* * *

Belgijski kontratak kompletnie zaskoczył niewielkie siły von Dodenburga.

Właśnie zdobyli wieżę trzydzieści sześć i zniszczyli kolejne działa, rozbijając iglice zamków o betonowe mury. Potem ruszyli ciemnym korytarzem w kierunku następnego celu i wtedy nadziali się na ogień karabinu maszynowego strzelającego z najbliższej odległości. Pierwsi trzej ludzie zostali dosłownie rozstrzelani na kawałki, a von Dodenburg rzucił się pod ścianę z piersią pokrytą ciepłą krwią. Chwilę później belgijska 7. Dywizja ostrzelała szczyt fortu. Eben Emael kołysał się jak wielki statek na wzburzonym morzu. Od sufitu odrywały się kawały betonu. Ściany jęczały od naprężenia po kolejnych wybuchach, a pyłasta mgła podnosiła się z podłogi.

Karabin maszynowy trzymał ich w śmiertelnej pułapce. Strumienie ołowiu cięły ich i odrzucały w głąb korytarza. Żołnierze machali rękami i nogami w strasznym, nieskończonym

dynowanym taocu śmierci. Schulze tylko przysiadł, gdy kula grzmotnęła go w udo, a Rzeźnik, który

otrzymał czyściutki postrzał w grzbiet dłoni, stał oniemiały w środku spanikowanego oddziału esesmanów.

* Na ziemię, wy idioci! * zaskrzeczał Schulze.

Złapał Metzgera za kostkę i pociągnął, były sierżant padł na podłogę pomiędzy umierających i rannych.

Ułamek sekundy później seria pocisków zostawiła głęboki ślad na ścianie, pod którą jeszcze przed chwilą stali.

Von Dodenburg walczył z nudnościami. Przed nim znajdowało się z tuzin nieprzyjacielskich żołnierzy chroniących się za prowizoryczną barykadą zamykającą korytarz. W zakamarkach za ich plecami pojawili się uzbrojeni Belgowie. Byli zamknięci w pułapce.

Schwarz cały czas stał prosto i strzelał jak opętany. Szczerzył zęby, a w oczach miał żądzę mordy. Nowa eksplozja wstrząsnęła łukowatym korytarzem. Porucznik zachwiał się mocno od podmuchu. Von

Dodenburg złapał go za ramię i sycząc z bólu, zawołał tak, by przekrzyczeć huk:

* Kładź się, ty wariacie!

* Musimy się przebid * odkrzyknął Schwarz, zmieniając magazynek w broni. * Wieże... co z 6. Armią?!

* Wiem, wiem * warknął von Dodenburg i kopnął towarzysza w łydkę.

Gdy Schwarz się przewrócił, porucznik położył się na nim, a zaraz potem nad ich głowami śmignęła kolejna seria ołowiu.

* Zostao tutaj * krzyknął von Dodenburg i poczuł bolesne uderzenie, gdy bryła betonu oderwała się i stuknęła w tył jego hełmu. * Nie pokonamy tej barykady! Urządzą nam rzeź!

Przekręcił się i zawołał do żołnierzy:

* Wszyscy na tył korytarza, za zakręt! Będziemy was osłaniać! Schwarz, ognia!

Nie mógł użyć swojego pistoletu maszynowego, ponieważ był ranny w ramię. Wyciągnął z kabury Walthera i trzymając go niezręcznie w lewej ręce, dołączył do Schwarza, który strzelał długimi seriami.

Ocalali Niemcy czmychnęli pod osłonę łukowatego muru korytarza, a w tym czasie dwaj oficerowie wycofywali się, omijając ciała zabitych towarzyszy. Chwilę później znaleźli się poza zasięgiem ognia belgijskiego karabinu maszynowego. Von Dodenburg padł na podłogę z głową pochyloną z powodu zmęczenia i goryczy porażki. Belgowie całkowicie ich zablokowali!

Stukot broni maszynowej zamarł gwałtownie. Armaty na zewnątrz też umilkły. Porucznik trzymał zranioną rękę ponad głową, aby zmniejszyć krwawienie z rany. Jednak nie na wiele się to zdało.

Zamrugał parę razy, chcąc się pozbyć pyłu z oczu, i rozejrzał się po swoich ludziach. Z dwuosobowej kompanii, która rozpoczęła walkę trzydzieści parę godzin temu,

zostało ledwie trzydziestu ludzi. Myśl o tej masakrze przyprawiła go o mdłości. Ostatnim wysiłkiem woli zebrał się w sobie i spróbował myśleć Co teraz, u diabła, mają zrobić?

Rzeźnik, siedzący przy ścianie naprzeciwko, pochylił się, zrzucił miotacz płomieni i jęczał żałośnie, ściskając zranioną dłoń.

* Przestao wyd, ty tłusty wieprzu * łajał go Schulze. * Ci Belgowie prawie odstrzelili mi jajka, a się nie skarzę. Ty i twoja mała ranka!

Przerwał nagle, bo usłyszał stukot podkutych dwiekami butów, których właściciel zbliżał się ostrożnie do załomu korytarza. Ktoś nadchodził. Czekali w napięciu, ściskając nerwowo broń.

* Ej, wy tam, Niemcy! * szorstki głos zawołał doskonałą niemczyzną. * Lepiej się poddajcie. Nie macie żadnej szansy. Dajemy wam pięć minut, abyście poszli po rozum do głowy!

Wszystkie rozmowy od razu ucichły.

* A to jest ostrzeżenie dla was, jeśli nie złożycie broni!

Mały, okrągły przedmiot wytoczył się zza zakrętu i uderzył o ścianę.

* Granat! * ktoś krzyknął.

Wszyscy rzucili się wariacko na ziemię, ale zdradzieckie jajko nie eksplodowało. Zamiast tego zaczęła się z niego wydobywać chmura gęstego dymu.

Ku zaskoczeniu leżących najszybciej zareagował Metzger. Zdrową ręką chwycił metalo

we jajo i odrzucił tam, skąd nadleciało. Chwilę później zaczął gwałtownie kasłać Żołnierz obok niego, który również wciągnął w płuca groźny dym, robił to samo. Potem pochylił się nisko, jakby chciał wypluć truciznę.

Schulze spojrział na von Dodenburga, a jego twarz wykrzywił strach.

* Gaz! * zaskrzeczał. * To gaz, panie poruczniku!

Porucznik poczuł, że dreszcz przerażenia

przebiega przez jego ciało.

* Gaz! * powtórzył jak echo. * Nie ośmiela się!

Ale słaby smród gorzkich migdałów zaprzeczał jego słowom. Swoją maskę gazową zostawił gdzieś na górze, na szczycie fortu, jeszcze nim zjechał na linie do pierwszej wieży. Większość ludzi miała jednak przy pasku karbowane puszki, w których powinny się znajdować zbawienne urządzenia.

* Wyciągad maski! * rozkazał, zdając sobie sprawę, że oni przeżyją, podczas gdy on zakaszle się na śmierd.

* Ja nie mam! * krzyknął któryś z żołnierzy

w panice.

* Ja też nie!

* Ja mam w pojemniku tylko koniak!

Ze wszystkich stron dolatywały przestraszone głosy żołnierzy, które potwierdzały, że zrobili to co ich poprzednicy w trakcie kampanii w Polsce * wyrzucili ciężkie maski jako

niepotrzebne obciążenie i umieścili zamiast nich dodatkowe porcje jedzenia, rzeczy osobiste lub napitki.

* No dobrze, już dobrze * von Dodenburg podniósł zdrową rękę, aby powstrzymać panikę.

Wiedział, że jeśli nie uspokoi całego oddziału, ludzie załamają się kompletnie; wtedy nie będzie mógł

powstrzymać ich przed poddaniem się. Pamiętał, co zrobił batalion jego ojca w 1918 roku, gdy wyczerpały się filtry chemiczne w prymitywnych maskach, a alianci przeprowadzili atak gazowy.

* Nie ma powodu do paniki. Jest na to sposób. Znajdźcie jakieś szmaty na tyle duże, abyście mogli zasłonić usta. Szybko!

Pokazał, o co mu chodziło: zerwał pasek materiału ze swojej koszuli. Potem szybko rozpiął rozporek i umieścił szmatę między nogami.

* A teraz lejcie!

Potem podniósł zmoczony gałgan i bez wahania przycisnął go do ust.

Wszyscy szybko poszli za jego przykładem. Oszalali ze strachu darli mundury na strzępy, rozrywali rozporki i obsikiwali chusteczki do nosa lub kawałki mundurów, by w panicznym pośpiechu przyłożył je do ust.

W samą porę. Pierwsze granaty gazowe spadły na podłogę korytarza. Toczyły się przez chwilę, ale Schwarz zręcznymi kopnięciami odsyłał je z powrotem. Nadlatywało ich jednak coraz więcej.

Pomimo zaimprovizowanych masek gęste opary zaczęły przedostawać się do płuc. Coraz więcej

śmiertelnych jajek lądowało wśród esesmanów, rozsiewając trujący gaz u ich stóp. Zaczęło się kłucie w płucach. Jakby ktoś wbijał w nie rozgrzane do czerwoności pręty. Zaczęły ich oslepiad własne łzy. Von Dodenburg rozerwał kołnierzyk i zaczął kasład. Dym podnosił się coraz wyżej. Któryś z ludzi krzyknął, nim ktoś go zdołał powstrzymad, zerwał się na równe nogi i pognął w stronę pozycji wroga.

Daleko nie dotarł. Seria z karabinu maszynowego zatrzymała go w miejscu. Żołnierz stał przez chwilę jakby zaskoczony, potem rozrzucił szeroko ręce i upadł na ziemię, nękając w gęstych oparach zasnuwających podłogę.

Następny żołnierz padł na kolana z wykrzywioną twarzą. Z pogryzionych ust wypływała mu krwawa piana, desperacko próbował nie wdychad śmiertelnego dymu. Powoli, w nieunikniony sposób zaczął pochylać się ku ziemi. Von Dodenburg patrzył z przerażającą fascynacją, zahipnotyzowany tą sceną. Jego ciałem wstrząsał kaszel, któremu towarzyszyły strumienie łez. Czuł się słaby jak dziecko. Złapał się za gardło, bezskutecznie próbując powstrzymad gaz wdzierający się do płuc. Zaczęła go ogarniad czerwona noc i wszystko dookoła znikadło. Jak na zwolnionym filmie z bezwładnych rąk Schwarza wypadł pistolet maszynowy i z chrzęstem spadł na beton. Jed

nak oczy małego porucznika nadal pozostawały szalone. Zaczęły się pod nim uginad kolana. Powoli, bardzo powoli oficer osuwał się w mgłę.

Przez czerwoną noc, która pochłaniała von Dodenburga, przedarł się nagle szorstki, pruski głos. Był gdzieś daleko, ale dochodził wyraźnie. Niewysoka postad z pokrwawionym bandażem na głowie dopadła do umierającego oficera. Człowiek wyglądał potwornie w czarnej masce gazowej z zaparowanymi szklanymi wizjerami. Odrzucił trzcinę i chwycił miotacz płomieni, który wystawał z gęstego dymu. Jak szalony zrzucił resztki kurtki na podłogę. Nagle dmuchnęło świeżym, czystym powietrzem, a przez ciała zagazowanych żołnierzy z 2. Kompanii zaczęła przeskakiwad mieszana grupa spadochroniarzy i esesmanów. Sęp przypiął na plecach miotacz płomieni i machnął ręką. Był to sygnał do ataku.

Podczas gdy podtruci żołnierze chwyтали świeże powietrze, kapitan zniknął za zakrętem, za nim zaś podążali żołnierze, którzy przetrwali belgijski ostrzał na zewnątrz fortu. Geier nacisnął spust miotacza płomieni i dziki strumieo ognia uderzył w prowizoryczną barykadę. Ponownie wystrzelił smugę ognia.

Karabin maszynowy okrył się mglistą czerwienią, a korytarz wypełniło echo belgijskich wrzasków. Ale Sęp nie okazywał litości. Ponownie wystrzelił. Ci Belgowie, którzy przeży

li, zaczęli uciekad w głąb korytarza, przepychając się jeden przez drugiego, byle tylko ujść morderczym płomieniom. Za ich plecami ciała strzelców, przylepione do karabinów maszynowych, zniekształcone przez ogromny żar, skurczyły się do rozmiarów „małych czarnych Pimejów". Tak określał to sierżant, który demonstrował im sprzęt, chod zdawało się, że było to wieki temu.

OSIEM

Była czwarta rano i za jakieś trzydzieści minut powinno zacząć świtać. Tyle czasu miał kapitan Geier, by przypuścić atak na dwie ostatnie wieże artyleryjskie fortu. Teraz, w korytarzu pokrytym ciałami zabitych esesmanów i spalonymi zwłokami ich przeciwników, panowała cisza przerywana od czasu do czasu świstem i jękiem kul wystrzeliwanych przez sprytnego belgijskiego snajpera, które rykoszetowały od ścian korytarza. Ale ten ostrzał nie był skuteczny, bo zmęczeni żołnierze z 2. Kompanii Batalionu Szturmowego SS leżeli na podłodze, próbując choć trochę odpocząć po koszmarze ostatnich godzin.

Schulze założył kolejny opatrunek i patrzył, jak nasiąka krwią z rany na ramieniu porucznika von Dodenburga. To już trzeci, który zrobił z zapasowych majtek, jakie nosił w pojemniku na maskę gazową razem z kilkoma niebieskimi prezerwatywami typu „Wulkan”. Miały one gwarancję „przetrwania nawet najgroźniejszego wytrysku”, przynajmniej tak zapewniali producenci.

* Już po sprawie, panie poruczniku * wyjaśniał. * Dzięki czystym gaciom i „paryżankom” (W niemieckim slangu wojskowym * prezerwatywy.) jest pan przygotowany na każdą sytuację bojową. Poza tym wydaje mi się, że krwawienie ustaje.

* Dziękuję, Schulze. Chyba masz rację. Sęp, z twarzą zaczerwienioną po zdjęciu

maski oraz z siną pręgą na wielkim nosisku, którą odcisnęła obręcz tejże maski, przepychał się w ich stronę.

* Jak leci, von Dodenburg? * spytał, choć interesowało go tylko, czy zdolny oficer będzie w stanie wziąć udział w dalszej części operacji.

* Nieźle, panie kapitanie, krwawienie ustaje.

* Dobrze * odpowiedział Sęp i pokazał wzrokiem, że obecność Schulzego jest już niepotrzebna. Obolały strzelec podniósł się z betonowej podłogi i opuścił dwóch oficerów.

Sęp wzdrygnął się w zimnym i wilgotnym korytarzu. Nie założył kurtki. Przy okazji von Dodenburg zauważył, że ramiona dowódcy były chude jak u niedożywionego dziecka. Lecz mimo rany na głowie i wątłego ciała nie zdradzał on oznak zmęczenia. Prawie natychmiast przystąpił do realizacji ostatecznej fazy planu, a ranny porucznik starał się słuchać planów kapitana, chociaż wydawało mu się, że w każdej chwili jego głowa może eksplodować z bólu.

Rzeźnik, który siedział w kucki w najciemniejszej części korytarza i uważał się nad sobą i swoim nędznym życiem, zaczął obserwować dwóch oficerów. Mogli za chwilę zdecydować o jego losie, jeśli tylko przetrwa bajzel, w którym się znaleźli.

* I to po tym wszystkim, co zrobiłem dla tych gówniarzy * pomyślał z żalem. * Stworzyłem kompanię, zostałem ranny, a teraz chcą mnie wyrzucić na stertę złomu albo jeszcze coś gorszego.

Pociągnął nosem i poczuł, że z porzuconej kurtki Sępa unosi się zapach tytoniu papierosowego. Geier

pewnie wolały tego uniknąć, ale dłoń Metzgera wyczuła jeszcze coś * zdjęcia, które z całą pewnością dowódca miał już od dłuższego czasu. Ich krawędzie były wytarte i połamane, jakby trzymano je w portfelu z dokumentami identyfikacyjnymi. Powoli, niemal od niechcienia i bez zdziwienia, były sierżant przerzucił plik fotek.

To, co zobaczył, poraziło go jak grom z jasnego nieba. Z pozółkłych kart papieru spoglądali dwaj mężczyźni. Uśmiechali się i mieli zmarszczone brwi, jakby patrzyli w słońce. Sęp musiał być dużo młodszy, gdy zdjęcia były robione, na głowie wciąż miał włosy. Ale to nie

z ich powodu czerwone oczka Metzgera omal nie wyskoczyły z orbit. Młodzieocy byli kompletnie nadzy i jeden robił drugiemu obsce* niczne rzeczy.

Rzeźnik rzucił szybkie spojrzenie w kierunku dowódcy batalionu siedzącego obok von Dodenburga. Teraz już wiedział, dlaczego kapitan nigdy się nie ożenił * powodem nie było całkowite poświęcenie się służbie wojskowej. Teraz wiedział również, co Sęp robił w czasie urlopów spędzanych co pół roku w Berlinie.

Zawsze wracał z nich z podkrążonymi oczami, ponury, cichy i pozbawiony życiowej energii.

Rzeźnik nie błyszczał inteligencją. Większość z tych, którzy go dobrze znali, uważała go raczej za głupka.

Lecz pomimo braku bystrości umysłu zdał sobie natychmiast sprawę z tego, jak wielki skarb ma w rękach. Poczuł, jakby trzymał rękopis legendarnej, pierwszej wersji Mein Kampf, którą Hitler napisał w czasie pobytu w więzieniu Landsberg.

Poczuł gorący żar ulgi. Mając te zdjęcia, był uratowany. Wcisnął je do własnej kieszeni i poklepał się po niej kilka razy, aby się upewnić, że są dobrze schowane.

Był już prawie świt i nadszedł czas ostatecznego ataku. Schulze skooczył właśnie sprawdzad magazynek pistoletu maszynowego. Zdjął

kurtkę mundurową, by łatwiej pozbyć się resztek podartej koszuli. Robił to powoli, delektując się ostatnimi minutami przed rozpoczęciem kolejnej partii zabijania, a von Do* denburg przyglądał się jego ruchom. Nagle strzelec odwrócił się i pokazał porucznikowi plecy. Były pokryte brzydkimi, czerwonymi pręgami i bliznami.

* Gdzie ci to zrobili? * spytał zaskoczony von Dodenburg.

* To nic takiego, panie poruczniku * powiedział hamburczyk z wahaniem w głosie.

* Ładne mi nic! Gdzie cię tak dopadli?

* To od grzejnika w obozie koncentracyjnym w Neuengamme.

* Coś ty powiedział?

Teraz Schulze trochę się przestraszył. Jak mógł wyjaśnić historię z owego nędznego, straszego roku 1938, gdy gestapo wpadło do nielegalnej drukarni ojca w Barmbeku i znalazło antyfaszystowskie ulotki?

Ten stary głupiec z jego socjalistycznymi mrzonkami i cholernymi ulotkami na temat cen masła pod rządami nazistów! Kogo to obchodziło? Chyba tylko gestapo! W ciągu godziny został aresztowany razem z całą rodziną.

Przyszli po Schulzego, gdy pracował w dokach. Było ich czterech, ubranych w czarne skórzane płaszcze do kostek i kapelusze zasłaniające oczy, jak na filmach gangsterskich. Jak tylko znaleźli się w ciemnozielonym poli

cyjnym mercedesie, wszyscy czterej zaczęli go okładać * flegmatycznie, ale i zawzięcie.

Bicie nie było dla niego niczym nowym. Normalny sposób postępowania z zatrzymanymi przez policję hamburską, a i on nie pierwszy raz zetknął się ze „wstępnym przetarciem”. Wielki gliniarz, który służył w otoczonej złą sławą komendzie policji przy St. David na Reeperbahn, już kilka razy zafundował mu taką kurację, kiedy wciągali go tam po oskarżeniu o pijaństwo i rozrabianie w dniu po wypłacie.

Ale to, co się potem zdarzyło w Neuengam* me, było zupełnie inne * strażnicy w czarnych mundurach, owczarki alzackie, które w każdej chwili mogły odgryźć jaja więźniom, jeśli tylko tak rozkażą ich panowie, i pejczy z byczych członków i ogonów oraz sierżant Lohmeyer, jednonogi weteran puczu monachijskiego z 1923 roku * wszystko to tworzyło zupełnie nową jakość piekła. Kaleki podoficer kazał na przykład otwierać więźniom usta, aby w nie szczad. Robił to zawsze, gdy był pijany, co zdarzało się bardzo często.

Jak to wszystko wyjaśnić porucznikowi?

* No, dalej Schulze! * ponaglał von Doden* burg. * Co się stało?

* Jeden z tych sukinsynów przykuł mnie kajdankami do grzejnika, gdy był rozgrzany do czerwoności. Miał

zdrowo ponad pięćdziesiąt stopni. A ten bękart... Szkoda, że go tu nie ma, gdy mam pistolet maszynowy w garści.

* Ale dlaczego o tym nie zameldowałeś? Przecież tortury są nielegalne! Dobry Boże, człowieku, takie rzeczy nie mogły się zdarzyć w Trzeciej Rzeszy!

Schulze spojrzał cynicznie na twarz nieświadomego życia oficera.

* Pan nie wie nawet połowy tego, co się dzieje, panie poruczniku * powiedział. * Mógłbym panu dużo opowiedzieć o dobrze zorganizowanej powiększonej Rzeszy.

Potem przerwał i wzruszył ramionami.

* Ale nikt mi nie uwierzy. Powiedzą, że nigdy nic takiego nie miało miejsca.

Von Dodenburg wiedział, że stąpa po cienkim lodzie, ale podrażnione poczucie sprawiedliwości pchało go coraz dalej.

* Co to znaczy, że nikt ci nie uwierzy? Oczywiście, że uwierzy, jeśli mówisz prawdę. Kto zostawił takie straszne ślady na twoich plecach, Schulze?

Nagle dobry nastrój hamburczyka gdzieś się ulotnił. Pochylił się do przodu.

* Powiem panu, kto to zrobił. Wielki, tusty, zboczony facet, który sam na siebie mówił „stary bojownik”

(Długoletni członek NSDAP.), posiadacz Orderu Krwi, który dostał tylko za to, że bił jak cholera innych więźniów!

(Odznaczenie nadawane zasłużonym członkom NSDAP, szczególnie tym, którzy brali udział razem z Hitlerem w puczu monachijskim.)

* Ale do jakiej formacji należał? * naciskał von Dodenburg.

Schulze zaśmiał się gorzko.

* Jaka formacja? Do cholery, przecież te dupki nosiły takie same mundury jak my! * spojrzął zaszokowanemu oficerowi prosto w oczy. * Oczywiście, że byli z SS!

Kompletnie zbity z tropu porucznik otworzył usta.

* Niemożliwe * wystękał, a potem powtórzył bezdźwięcznie * niemożliwe.

Zaraz później Sęp wezwał ich do ostatniego natarcia.

* Naprzód! * zawołał kapitan Geier.

* Naprzód! * powtórzył jak echo von Dodenburg.

Zaszarżowali w nieznane, w głąb korytarza, klnąc jak pijani szewcy.

Belgowie już na nich czekali. Pierwszy esesman padł niczym pęknięta nadmuchana papierowa torba.

Inny zawył i chwycił się za strzaskaną twarz. Ale Belgowie nie byli w stanie dorównać esesmanom.

Niemcy przedarli się przez prowizoryczną barykadę i w ciągu paru sekund dotarli do przeciwległego końca korytarza.

Chciwi krwi i żądni śmierci, dźgali i cięli na wszystkie strony. Belgijskie granaty eksplodowały z głuchym hukiem. Rozgrzane do czer

oności odłamki metalu świszczą w powietrzu. Ludzie przeklinali. Ludzie wrzeszczeli. A pechowcy umierali.

Porucznik Schwarz kopnął butem drzwi i wpadł do salki, która wyglądała na magazyn. Stał w rozkroku i pociągnął serią po przestraszonych żołnierzach, którzy kryli się za kubłami na odpadki. Padali jak dojrzałe zboże pod kosą żniwiarza.

Zaatakowali pierwszą wieżę. Kanonierzy, przestraszeni widokiem szalonej bandy brudnych, pokrwawionych i obdartych gigantów, podnieśli potulnie ręce do góry. Dwóch z nich zostało zastrzelonych, resztę wyganiano kopniakami i uderzeniami kolb na zewnątrz artyleryjskiego stanowiska.

Dwóch nieugiętych niemieckich ochotników załadowało ładunki wybuchowe do zamków dział i pociągnęło za sznur spustowy. Rozległ się wulkaniczny wybuch, stalowe lufy rozerwało lub rozděło jak rozgotowane parówki. Kiedy dym opadł, Belgowie leżeli powaleni przy ścianach, krwawiąc z nosów i ust.

Na podłodze przy działach, ze straszliwie pokaleczonymi rękami, leżeli dwaj nieprzytomni ochotnicy.

Zamiast kooczyn mieli tylko pokrwawione kikuty. Pozostawiono ich, aby wykrywawili się na śmierd Niemcy ruszyli dalej.

Geier nadal trzymał wielki miotacz płomieni. Nacisnął spust i posłał strumień ognia w stronę Belgów próbujących stawiać opór.

Płomienie wypełniły wąski korytarz i zmiotły przeciwników, jakby ich tam nigdy nie było. Gdy esesmani ponownie ruszyli do przodu, ich podkute buty chrzęściły, jakby szli po wypalonym żużlu.

Szulze wył jak wściekły pies. Rzucił jeden ze zdobycznych belgijskich granatów w stronę uciekających wrogów. Eksplodujące w środku grupy żelazne jajo zamieniło ją w krwawe strzępy. Ślizgając się we krwi i w ochłapach ludzkich ciał, esesmani ruszyli dalej.

Wpadli do ostatniego stanowiska, gdzie bezradni kanonierzy poddali się bez wahania. Znowu wzięła górę żądza krwi. Po chwili reszta Belgów została w ciszy rozbrojona i ustawiono ich pod ścianą. Nawet nie trzeba było ich poganiać kopniakami.

Von Dodenburg i Schwarz, zbierając w sobie resztki sił, zniszczyli zamki dział. Potem, jak reszta zebranych tutaj ludzi, osunęli się na podłogę. Wyzuci z energii towarzysze i wrogowie odpoczywali w ciężkiej ciszy, którą przerywały tylko chrapliwe oddechy. Wszyscy siedzieli zmęczeni, z pochylonymi głowami, jakby w poczuciu klęski.

A dalej na północy, niewidoczni dla garstki wyczerpanych esesmanów i spadochroniarzy, pierwsi żołnierze 6. Armii, dowodzonej przez generała von Reichenaua, przekraczali Kanał Alberta.

Najpierw zrobiła to kompania, potem batalion. Przestraszeni ludzie w napięciu ocze

kiwali, że groźne działa fortu otworzą do nich ogień, gdy będą na środku koryta kanału. Do przeprawy ruszyła cała dywizja, a za nią korpus. Daleko jak okiem sięgnąć cały teren upstrzony był mundurami w kolorze feldgrau. Wielki, triumfalny marsz w kierunku Francji mógł się rozpocząć.

Fort Eben Emael milczał * był w niemieckich rękach.

DZIEWIĘD

Z otępienia wyrwały ich dziwne dźwięki.

* Co to jest? * ktoś spytał.

* To trąbka piechoty * domyślił się Sęp.

Powoli podnosili się z betonu i omijając siedzących belgijskich jeoców, podchodzili do szczelin obserwacyjnych.

* Oni się poddają! * wysapał ktoś z podnieceniem. * Tam na dole są nasze oddziały i białe flagi. Są wszędzie! Belgowie się poddali!

Po chwili usłyszeli okrzyki radości dochodzące z podnóża fortu.

* Ruszamy * powiedział Sęp, opuszczając rękawy koszuli i przeczesując resztki włosów. * Tam muszą być fotoreporterzy i dziennikarze. Nie mogą ominąć Batalionu Szturmowego SS Wotan.

Błogosławiona cisza zaległa nad płaskowyżem, na którym stał fort, zakłócana jedynie przez tępy stukot butów setek jeoców belgijskich maszerujących w brązowych mundurach. Prowadził ich z zawziętą twarzą dowódca, major Jottrand.

Wszędzie unosił się zapach śmierci i zniszczenia. Był to dziwny odór * mieszanina smrodu zatęchłych kazamat, cementowego pyłu, materiałów wybuchowych i krwi.

Von Dodenburg kroczył między belgijskimi jeocami, którzy układali zwłoki zabitych rodaków w długie, równe rzędy. Strzegł ich młody niemiecki piechur ubrany w nieskalanie czysty, szary mundur. Porucznik spojrział na ciała. Dobrze walczyli, lecz nie mieli realnego celu, żądzy podbijania ani woli zwycięstwa.

Według porucznika wielkość kraju zależała od gotowości jego mieszkańców do poświęcenia się ojczyźnie.

Współtowarzysze zabitych nie byli do tego przygotowani, bo nie widzieli ku temu rozsądnego powodu.

Byli po prostu zwykłymi mechanikami, rolnikami, sklepikarzami i mundur nie kojarzył im się z drogą do wielkości. Chcieli zapracować na wygodne, spokojne życie. Nie mieli innych marzeń.

* Panie poruczniku * odezwał się Schulze. * Jesteśmy gotowi.

Razem pokuśtykali w stronę resztek kompanii, której znużeni żołnierze uformowali dwa nieregularne szeregi. Porucznik poprawił hełm na głowie i wyprostował ramiona, w tym czasie Schulze powrócił do szyku.

* Uwaga! * hamburczyk zawołał krótko. Żołnierze wyrównali szyk i stanęli na baczność.

* Kompania. Kompania, uwaga! * zawołał porucznik, a setki zgromadzonych wokół fortu żołnierzy zaczęło przyglądać się im ze zdziwieniem.

Jakby znowu znaleźli się na placu musztry w koszarach imienia Adolfa Hitlera, wyczerpani, młodzi giganci stuknęli obcasami, ułożyli ręce równo przy szwach spodni i wyczekująco patrzyli na swego dowódcę.

Porucznik von Dodenburg zrobił zwrot i ruszył w kierunku chudej, wyprostowanej postaci kapitana Geie*

ra. Donośnym głosem zameldował:

* Druga Kompania Batalionu Szturmowego SS Wotan gotowa! Stu czterdziestu sześciu zabitych i rannych. Obecnych na apelu dwudziestu ludzi!

Natychmiast zapadła cisza, a Sęp zaczął lustrować podarty i pokrwawiony mundur młodego oficera. Z

anonimowego tłumu żołnierzy Wehrmachtu doleciał komentarz będący mieszanką pogardy i podziwu.

* Ale im odwaliło! Widzicie to? Urządzają sobie gównianą paradę w środku pola bitwy. Czy to nie jest normalne dla tych palantów zSS?

Z kawaleryjskim fasonem kapitan Geier stuknął trzcinką, którą Schulze odnalazł po walce w poczerniałym od dymu hełmie.

* Dziękuję panu, von Dodenburg! Proszę powiedzied żołnierzom, że im też dziękuję. Potem możecie odmaszerowad.

Porucznik zasalutował, odwrócił się twarzą do frontu oddziału i powiedział tak, jak nakazywał regulamin.

* Dowódca życzył sobie, abym wam podziękował * a potem bez dalszej zwłoki rozkazał. * W prawo zwrot!

Stuknęli podkutymi butami jak jeden mąż. Von Dodenburg patrzył na nich z podziwem. Gdzie na świecie można znaleźć drugi taki oddział * już weteranów, a przy tym ludzi z niezaspokojoną chęcią

do walki i odnoszenia zwycięstw?

* Marsz!

Z Geierem i von Dodenburgiem na czele pozostałości batalionu Wotan ruszyły w dół wzgórza, w kierunku wioski Kanne. Szli obok trasy przemarszu 6. Armii, wywalczonej za cenę okropnych strat. Jakiś kierowca zsunął hełm na tył głowy i patrzył na nich zdziwiony.

* Śpiew * nakazał von Dodenburg. * Raz! Dwa!

Gdy ryknęli zgodnym chórem, rozległa się pieśń, która niebawem wstrząśnie starym kontynentem nieruchomiejącym w strachu:

Zmykad z ulic, bo idzie SS

Kolumna szturmowa, zwarta i gotowa

Z tyranii prowadzid nas będzie

W wolny świat.

Gotowi jesteśmy z siebie wszystko dad

Jak zrobił to ojciec nasz i dziad

Niech śmierd nam będzie siostrą w walce Bo my jesteśmy Czarną Gwardią...

Po chwili kolumna zniknęła wśród innych oddziałów.

NASTĘPSTWA

„Moi biedni, dzielni żołnierze!”

Adolf Hitler do kapitana Geiera, 21 czerwca 1940 roku.

Maj 1940 roku przeminął jak jeden długi, piękny sen przerywany jedynie zmianą opatrunków i bolesnym sondowaniem ran, przeprowadzanym przez pełnych szacunku lekarzy, którzy byli nadzorowani przez personel osobiście przysłany przez Reichsführera Hein* richa Himmlera ze szpitala La Charite w Berlinie.

Każdego poranka organ prasowy SS, Das Schwarze Korps, donosił na czołówce gazety wielkimi czerwonymi literami o kolejnych wspaniałych zwycięstwach. Wydawało się, że von Dodenburg

niecierpliwie czekał, aby zagoiły się jego rany, bo spiżowy dźwięk trąbek, jaki rozlegał się w radiu każdego dnia, by obwieścić jeszcze jeden sukces, nigdy nie milkł i wzywał go do walki. W późniejszych gorzkich latach zawsze będzie wspominał ten maj jako najszczęśliwszy miesiąc

swojego życia.

Swoje szczęście dzielił z tymi żołnierzami z 2. Kompanii, którzy przetrwali walki w Belgii. Tydzień po dotarciu do szpitala kawalerii w Heidelbergu Sęp rozkazał podać każdemu ze swych podwładnych po lampce szampana. Musiało to spowodować sporą dziurę w zasobach finansowych oficera, ale nalegał on na taki sposób uczczenia swoich ludzi. Nieoficjalnie było już wiadomo, że kapitan zostanie awansowany do stopnia majora SS i przejmie dowodzenie nad całym batalionem.

Również Rzeźnik skorzystał z podniosłej atmosfery i poufale porozmawiał z nowo nominowanym majorem. Początkowo Sęp zażarcie odpierał wszelkie oskarżenia, jednak gdy Metzger pokazał ukradzione zdjęcia, oficer zgarbił się i spuścił z tonu. Popatrzył na byłego sierżanta i spytał, czego chce za milczenie.

* Chcę odzyskać moją starą rangę, to wszystko * odparł szantażysta.

* Ale zdajesz sobie sprawę, że będziesz najbardziej nienawidzonym człowiekiem w całej kompanii, a może nawet w batalionie? Ci, co przeżyli, wiedzą o tobie wszystko!

Rzeźnik tępo pokiwał głową.

* Wiem, panie majorze, ale ja chcę tylko odzyskać swój przydział.

Sęp uśmiechnął się cynicznie.

* Oczywiście, zdaję sobie sprawę, jak ważne jest to dla ciebie... i będziesz to miał. Może przyjdiesz któregoś wieczoru do mojej kwatery?

Delikatnie objął szponiastą dłonią grube łapsko Metzgera. Ten zaczerwienił się gwałtownie i wyrwał szybko rękę. Cyniczny uśmiech Geiera stał się jeszcze szerszy.

* Wszyscy musimy płacić za nasze słabości i przyjemności, mój drogi Metzger.

Lecz za uśmiechniętą maską na twarzy Geiera czaił się chłodny umysł. Metzger był zagrożeniem dla jego kariery, więc nie może dopuścić, aby przeżył on następną kampanię. Tak czy inaczej musi zabić tego głupiego sierżanta i pozbyć się zdradzieckiego zdjęcia, na którym został uwieczniony razem z Beppo *

włoskim rybakiem, jedyną miłością jego życia.

Schulzemu czas w szpitalu upływał pod znakiem bardziej przyziemnych spraw.

Gdy von Dodenburg odwiedził go pewnego dnia w szpitalnej sali, zauważył na ścianie, nad łóżkiem ranego żołnierza nakreślone ołówkiem dziwne oznaczenia.

* To są wyniki strzelania * powiedział zadowolony z siebie hamburczyk.

* Wyniki?

* Tak, panie poruczniku, ustrzelone siostrzyczki. Kidy przychodzą zmienid mi opatrunki, niewiele mogą pomóc, ale widząc moją inną złamaną kośd, jako patriotycznie nastawione Germanki poświęcają się w imię narodowej sprawy. Jeszcze dwie i zostanie tylko ten stary sanitariusz * powiedział kpiąco Schulze *

ale on nie jest w moim typie.

Von Dodenburg wydawał się lekko wstrząśnięty tym wyznaniem.

* Czy ty masz coś innego w głowie poza tymi głupotami?

* To, czego potrzebuję, nie jest w mojej głowie * odpowiedział beztrosko Schulze. * Najgorsze zaczyna się od myślenia. Jeśli nie będziesz uważad, będziesz musiał sam sobie robid dobrze. Tak zwykł mawiad mój stary, gdy byłem chłopakiem. I dodawał: jeśli będziesz to robił sam, wypadną ci zęby i wyrosną włosy wewnątrz dłoni.

* Tylko jeden Bóg wie, co powiedziałyby nasz Fuhrer, gdyby zdał sobie sprawę, że w SS ma takich weteranów jak ty!

Trzy tygodnie później pan całej Europy, od Polski do kanału La Manche, przemówił. Gdy Francuzi 20

czerwca zaczęli składać broo, do szpitala przybył prawdziwy pułkownik, przywożąc osobisty rozkaz wodza naczelnego, aby jego żołnierze stawili się w Compiegne koło Paryża. Mieli stanowid straż honorową w czasie podpisywania przez Francuzów traktatu kapitulacyjnego.

W szpitalu natychmiast powstał rozgardiasz. Trzeba było znaleźć wszystkie mundury i je uzupełnid.

Przyczepiano medale za odniesione rany i odznaki stopni wojskowych. Zorganizowano oddział

medyczny, który miał towarzyszyd żołnierzom, gdyby coś się stało w trakcie lotu lub prezentacji, a pułkownik z kwatery głównej Ftłhrera musiał zostać w szpitalu, aby udzielił wskazówek dotyczących przebiegu takiej uroczystości. W koocu udało się wszystko przygotowad i czekano już tylko na rozkaz wyjazdu na pas startowy w Heidelbergu, skąd mieli odleciad do Francji. W ostatniej chwili pojawił się kuśtykający Schulze, który szybkimi ruchami zapinał guziki rozporoka.

* Jaki diabeł cię zatrzymał?! * zżymał się von Dodenburg.

* Zdecydowałem się nie zawracad sobie głowy tym starym sanitariuszem * wyjaśniał rozanielony Schulze

* więc musiałem dopaśd jedną siostrzyczkę w schowku na szczotki.

Do lasu pod Compiegne przybyli w przepiękne, ciepłe czerwcowe popołudnie. Słooce chowało się już za stare drzewa i rzucało przyjemne cienie. Spoceni saperzy z Wehrmachtu ustawili wreszcie

wiekową salonkę kolejową, ten namacalny symbol niemieckiej klęski z pierwszej wojny światowej. W niej właśnie przedstawiciele Kaisera zostali zmuszeni w 1918 roku do podpisania rozejmu, który z zimną krwią podyktował marszałek Foch. Saperzy musieli rozwalid kamienny mur otaczający wagon i przepchnąd go na miejsce, gdzie ten mały galijski kogut * marszałek Francji * odniósł swój największy triumf. Było to o piątej rano tego straszego 11 listopada 1918 roku.

Teraz przyszła kolej na człowieka, który w tamtym czasie był tylko zwyczajnym kapralem. Ranny i oślepiiony leżał w szpitalu w Monachium i płakał, gdy usłyszał tę straszną nowinę. Przysięgł sobie, że zemści się za poniżenie Niemiec i jeśli zajdzie potrzeba, użyje do tego siły. Dokładnie w sześć tygodni zrobił to, na co aliantom w poprzedniej wojnie potrzeba było czterech lat. Francja została pobita, a Brytyjczycy zmykali z kontynentu, unosząc tylko to, co unieśli w rękach.

Dokładnie o godzinie trzeciej piętnaście po południu nadjechał czarny mercedes Hitlera. Razem z nim przybywali ludzie, którzy pomogli mu w wypełnieniu zemsty. Na czele błyszczącej kawalkady wysokich rangą oficerów partyjnych kroczył sprężystym krokiem, z podniesioną dumnie głową wódz narodu.

Von Dodenburg, stojący sztywno na baczność za Geierem, zauważył, jak uwagę Fuhrera przyciąga szary granitowy blok, który ustawili dwadzieścia dwa lata temu Francuzi, aby uczcił swoje zwycięstwo. Wódz zatrzymał się, po czym ruszył wolno, chcąc przeczytać niesławną inskrypcję, która paliła niczym piętno serce Adolfa Hitlera.

TUTAJ 11 LISTOPADA 1918 ROKU UPADŁA PRZESTĘPCZA DUMA

NIEMIECKIEGO IMPERIUM * POKONANA

PRZEZ WOLNYCH LUDZI, KTÓRYCH

CHCIAŁA ZNIEWOLID

Młody oficer patrzył z bliska na Hitlera, który powoli cofnął się o krok. Położył ręce na biodrach, wygiął

łukowato ramiona i szeroko rozstawił nogi, wbijając obcasy w ziemię, a potem spojrział na kamienny blok z nieskrywaną pogardą. Von Dodenburg poczuł w tym momencie, że nigdy nie porzuci opatrnościowego męża Niemiec. Wiedział, że będzie podążał za nim aż do samego końca.

Pulchny mężczyzna z wysokim czołem i przerzedzonymi włosami, przypominający podupadłego boksera wagi średniej, podszedł do Fuhrera i coś mu szepnął na ucho. Był to Bormann, sekretarz Hessa, który zajmował się kwestiami protokołu dyplomatycznego. Hitler słuchał przez chwilę, a potem skinął głową.

Odwrócił się i ruszył w kierunku niewielkiej grupy esesmanów ustawionych na skraju polany.

Major Geier zaprezentował swoją kompanię.

Hitler podziękował mu w surowym, wojskowym stylu. Potem przez dłuższą chwilę przyglądał się

młodym twarzom. Dla von Do* denburga ta chwila była długa jak wieczność. Ciemne oczy wodza zmiękły.

Najpierw zaszklily się, a potem pociekły z nich łzy.

* Tylko dwudziestu zostało, majorze Geier? * spytał łamiącym się głosem.

* Tak jest, mój wodzu * potwierdził szybko

Sęp.

Fuhrer potrząsnął głową, powstrzymując

łzy.

* Moi biedni, dzielni żołnierze * wyszeptał, jakby mówił sam do siebie. * Biedni, odważni żołnierze.

Rzucił się do przodu i, chociaż brakowało na to czasu, uparł się, aby uściskać dłoń każdego z nich, patrząc im prosto w oczy tym przeszywającym spojrzeniem. Von Dodenburg ledwo mógł znieść

przyjemne podniecenie, strach i dumę * cały zakres emocji, których wcześniej w życiu nie doznał.

Jednak wszystko natychmiast uleciało, kiedy Adolf Hitler uściskał dłoń porucznika i spojrzał na jego twarz. Ten moment wart był wszystkiego.

Pozostała część krótkiej ceremonii była jakby zasłonięta mgłą wzruszeń * dekoracje, słowa pełne dumy, pochlebne uwagi o „moim SS, elicie narodu” oraz obietnice, że „wielkie dni jeszcze nadejdą”. A potem ten wielki człowiek odszedł.

Później zobaczyli go ostatni raz, gdy siedział dumnie w fotelu, który w 1918 roku zajmował marszałek Foch, a w którym teraz on czekał na francuską delegację.

Żołnierze Wotana właśnie wsiadali do samochodów mających ich odwieźć na lotnisko Orły, skąd powinni odlecieć z powrotem do

Heidelbergu, gdy przybyli Francuzi. Wyglądali na pokonanych, poniżonych i upodlonych, i to pomimo ceremonialnych mundurów obwieszonych różnokolorowymi medalami. Byli reprezentantami

dekadenckiej cywilizacji, która zasłużyła na zagładę, i wiedzieli o tym. Von Dodenburg spojrzał na nich pobieżnie i szybko skierował wzrok gdzie indziej. Francuzi nie zaszczycili go nawet spojrzeniem.

* Dzień dobry, żołnierze! * ryknął major Geier.

* Dzień dobry, panie majorze! * nowy pobór powitał swego dowódcę w tradycyjny sposób.

Sęp, stojący na wysokim podeście, trzep* nął dżokejską trzcinką po cholewach nienagannie

wypastowanych butów i odezwał się ponownie.

* Żołnierze, nazywam się Geier, czyli Sęp, i to odpowiada mojej aparycji.

Klepnął się lekko po monstrualnym nosie, jakby chcąc podkreślić cechy łączące go z olbrzymim ptaszyskiem. Zrobił tak samo, gdy witał tamtego zimowego, styczniowego poranka poprzedni zaciąg. Ale czy kadra Drugiej Kompanii pamiętała tamten poranek? Tego nie można było wyczytać z twarzy żołnierzy.

Oto Schwarz ze srebrnym medalem i Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy, zdobięcymi

wątlą pierś. Jego ciemne oczy nadal rozpałało nieuleczalne szaleostwo. Starszy sierżant Met* zger noszący stare pagony podoficerskie ku całkowitemu zaskoczeniu tych, którzy przeżyli. Patrzył teraz swoimi świoskimi oczkami z niespotykanym u niego wcześniej sprytem. Schulze, dziś już sierżant, jedyny spoza oficerów, który posiadał Krzyż Żelazny pierwszej klasy za odwagę wykazaną na polu minowym. I garść tych, którzy przetrwali ostatnie walki i byli na tyle zdolni, by powrócił w szeregi kompanii.

* Obecnie, jak możecie zobaczyć * mówił Sęp do słuchających go w skupieniu rekrutów * mam stopień zwykłego majora. Ale mój ojciec został generałem i to jeszcze nim wojna się skooczyła. Obiecuję wam, że też zostanę generałem.

Potem wskazał trzcinką w stronę młodych żołnierzy.

* A wiecie, jak mam zamiar tego dokonać...?

Von Dodenburg patrzył uważnie na przejęte twarze młodych chłopaków, jeszcze nieskażone

okrucieostwem wojny. Byli zieloni, zupełnie niedojrzali. Lecz stanowili najlepszy materiał, jaki Niemcy mogły oferować jesienią 1940 roku, w roku nadzwyczajnych zwycięstw. A do tego każdy z nich był

ochotnikiem.

Jednak tym razem pochodzili nie tylko z terenu Rzeszy. Znaleźli się wśród nich młodzi ludzie z neutralnej Szwecji i Szwajcarii,

jak również z krajów, które jeszcze niedawno były zawziętymi wrogami Niemiec: Flaman* dowie z rolniczej części Belgii, szczupli blondyni z Norwegii i Danii, krzepcy synowie farmerów z Holandii. Dla von Dodenburga stanowili namacalny symbol Nowej Europy, byli chorążymi nowej epoki w długich dziejach kontynentu. Gdy jego wzrok wędrował po długim szeregu rekrutów, wyobrażał sobie tych młodych ludzi jako nowy rodzaj gwardii imperium, nieprzeznaczonej jednak do służby jednemu krajowi, jak w czasach Napoleona, lecz do służenia nowemu ładowi niemieckiemu. Mieli odmłodzić znudzony, dekadenccki kontynent, dać mu nową energię, świeżą krew, nowe cele, by jeszcze raz przypadło mu poczesne miejsce w kierowaniu losami całego świata. Był to poranek nowej ery. Młoda Europa maszerowała i nic nie było w stanie jej zatrzymać!

Stojący na mównicy Sęp bawił się Krzyżem Rycerskim. Otrzymał go jako pierwszy żołnierz w całej dywizji.

* Żołnierze * zachrypiał. * Nie proszę, abyście mnie kochali, nie proszę, byście mnie szanowali. Wszystko, czego od was wymagam, to bezdyskusyjne posłuszeostwo! * przebiegł spojrzeniem po zgromadzonych żołnierzach. * I niech Bóg pomoże temu

z was, szeregowi, podoficerowie i oficerowie, który mnie zawiedzie!

Potem ryknął jeszcze głośniej.

* Żołnierze, witam was w Batalionie Szturmowym SS Wotan!

SPIS TREŚCI

Nota wydawcy angielskiego

Nota tłumacza

KSIĘGA PIERWSZA

DROGA DO BITWY.....

KSIĘGA DRUGA

CHRZEST OGNI.....

Następstwa

Instytut Wydawniczy ERICA poleca książkę

ROZKAZ WYMARSZU

LEO KESSLER

ROZKAZ WYMARSZU jest przejmującym opisem nieudanego desantu wojsk angielskich i kanadyjskich we francuskiej miejscowości Dieppe w sierpniu 1942 roku. Cała operacja, wymuszona przez sowieckiego sojusznika na Brytyjczykach, miała być próbą stworzenia drugiego frontu walki z hitlerowskimi Niemcami. Jednak plany Churchilla, brytyjskiego premiera, były zupełnie inne. Polityka i zdrada spowodowały, że krew i życie wielu tysięcy żołnierzy walczących po obu stronach były daremną daniną.

Niemieccy dowódcy planują obronę Dieppe * wystarczająco sprawna i godna zaufania jest tylko jedna formacja * elitarny batalion szturmowy SS „WOTAN”, dopiero co odtworzony po koszmarze frontu wschodniego i wyznaczany zawsze do najcięższych akcji.

Żołnierze chcą zachować swoją sławę. Ale gra toczy się o coś więcej...

BATALION SZTURMOWY SS to nowy cykl powieści ukazujący nieznane oblicza II wojny światowej.

Leo Kessler był czołgistą podczas II wojny światowej. Napisał kilkadziesiąt książek beletrystycznych i fachowych przetłumaczonych na wiele języków.

Twierdza Eben* Emael